tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 27 (1382)
29.06-5.07.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

CIEMNA STRONA AMERYKAŃSKIEGO SNU

KOLEJNE PAŃSTWA UNII PORZUCAJĄ MICROSOFT

JAZZOWE ŻYCIE HENRYKA MIŚKIEWICZA

POBIEROWO. POLSKI DUBAJ NAD BAŁTYKIEM

POLITYKA WSCHODNIA

JAK SIĘ SKŁÓCIĆ ZE WSZYSTKIMI









ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 1f84aa2a4f

TRAGIFARSA O PUSTCE WSPÓŁCZESNEJ POPKULTURY

ADÈLE EXARCHOPOULOS
JÉRÔME COMMANDEUR
SANDRINE KIBERLAIN



WYPADEK FORTEPIANOWY

REŻYSERIA
QUENTIN DUPIEUX

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD 3 LIPCA

eprasa.pl 1f84aa2a4f



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Wojna domowa na słowa

„Głowa mnie od tego boli”, powiedział Paweł Kozioł z kultowego „Rancza”, wychodząc ze studia telewizyjnego. Były wójt gminy Wilkowyje, później senator, prezes partii i na końcu prezydent Polski, zanim wziął udział w debacie, nałykał się proszków uspokajających. Minęło wiele lat, a ta scena jest jakby żywcem przeniesiona do naszych czasów. W coraz liczniejszych programach dobierani na zasadzie kontrastu politycy uprawiają brutalną nawalankę. Takie zapasy w błocie, tyle że w garniturach lub garsonkach. Bo płeć tu niczego nie zmienia na lepsze. Nowe technologie pozwalają na mnożenie tanich programów z gadającymi głowami. Wystarczą politycy i dziennikarze. Nie muszą mieć wiedzy. Nadmiar kompetencji jest tu wręcz przeszkodą. Wiedząc zbyt wiele, mogą zanudzić widza, który zmieni kanał. Największy popyt jest więc nie na mędrców dzielących włos na czworo, ale na drwali z siekierami. I to takich, którzy skoczą jeden na drugiego bez względu na temat. Nie ma w tym przypadku. Najważniejszy jest interes partii, którą reprezentują. A że przy okazji można się podlizać prezesowi? Będzie większa szansa na awans.

Wojna domowa na słowa trwa w najlepsze. A właściwie w najgorsze. Nieustanne straszenie wrogami. Agresja i kult przemocy. Wywoływanie nienawiści do wytypowanych ofiar. Na czele listy są imigranci. Coraz częściej Ukraińcy, a w przekazach PiS – Niemcy. Jeśli do tego dodać Żydów i Rosjan, to cel, jakim jest nieustanne straszenie, został już osiągnięty. I to nawet w nadmiarze.

Wśród wielu programów i audycji można by się pogubić, gdyby nie epidemia idąca przez kolejne stacje. Epidemia nazywania programów nazwiskami prowadzącej lub prowadzącego. Niedawno były takie programy dwa lub trzy. Dziś jest ich kilkanaście. Śmieszna maniera. No bo jak się nie śmiać, słysząc zapowiedź: „Jan Kowalski zaprasza na program Jana Kowalskiego”? A bywa, że Kowalski jest nieobecny, więc zapowiedź brzmi: „Jan Kowal zaprasza na pogram Kowalskiego”. Niby drobiazg, ale jak to świadczy o autorach tych programów?

A może by zamiast lansowania siebie, lub choćby trochę skromniejszego lansowania, powalczyć z lejącą się z ust gości, pań i panów, dezinformacją i kłamstwami? Krytykujemy – i bardzo słusznie – polityków, ale pora uderzyć się we własne piersi. Nie byłoby nieustannej hucpy, gdyby nie współudział mediów. Jacek Kurski z jego „ciemny lud to kupi” ma w mediach kolejnych naśladowców. A widza coraz bardziej boli od tego głowa.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 1f84aa2a4f

W NUMERZE

KRAJ

8 **To wielka umiejętność – skłócić się ze wszystkimi**
10 **Polityka wschodnia. Coś, czego nie ma**
– rozmowa z Witoldem Juraszem
12 **Derdziuk – człowiek orkiestra**
Odwołanie prezesa ZUS
14 **Planeta Hotel**
Otwiera się kolos w Pobierowie
18 **Nieuchwytny Michał Kuczmierowski**
Ekstradycyjne gierki
22 **Finansowa samowola w ochronie zdrowia**
Chory system i lata zaniedbań
26 **Polska zbrojeniówka: partner czy klient**
29 **Dziewczyny przy decyzyjnych stołach**
– rozmowa z dr Bianką Siwińską

ZAGRANICA

32 **Wykorzystani i wykluczeni**
Korespondencja z USA
50 **Kogo przegna rewolucja flamingów**
Szemrane biznesy w Albanii

OPINIE

36 **Piotr Kimla**
Wieczne wojny Ameryki

TECHNOLOGIE

38 **Koniec technologicznej naiwności**
Europa stawia na bezpieczeństwo

KULTURA

42 **Jazz… To jest całe moje życie**
– rozmowa z Henrykiem Miśkiewiczem
46 **Qulturalia**
66 **17. PLASTER**
Festiwal grafiki projektowej

SPORT

48 **Radości starszych panów**
Mundial po fazie grupowej

OBSERWACJE

54 **Zatrzymani koczownicy**
Polacy w Gagauzji
60 **Upały, upały, upały**
Zwierzętom też gorąco

NAUKA

57 **Dlaczego pamięć się myli**
Co powoduje zmianę wspomnień

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wojna domowa na słowa
21 **Jan Widacki**
Nasza delikatność
25 **Andrzej Szahaj**
Artyści i arywiści
41 **Roman Kurkiewicz**
Tort guerrilla
47 **Tomasz Jastrun**
Rozszarpywanie krzyża
53 **Wojciech Kuczok**
Świstowość, litworowość



29
KRAJ

DZIEWCZYNY PRZY DECYZYJNYCH STOŁACH
– rozmowa z dr Bianką Siwińską



36
OPINIE

PIOTR KIMLA
Wieczne wojny Ameryki

60
OBSERWACJE



UPAŁY, UPAŁY, UPAŁY
Zwierzętom też gorąco



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Prymas Polski Ludowej



Dawno temu Aleksander Merker, który był wtedy zastępcą kierownika Urzędu ds. Wyznań, powiedział mi, że istotnym czynnikiem wpływającym na propaństwowe stanowisko prymasa Wyszyńskiego były relacje polskich misjonarzy, których wielu działało w krajach Afryki i Ameryki Południowej. Gdy któryś z nich przyjeżdżał do Polski, Wyszyński prosił go o informacje. Wnioskował z nich, że są miejsca znacznie gorsze niż Polska z ustrojem socjalistycznym i pod rządami komunistów.

Roman Broszkiewicz

Stulecie niespełnione



W felietonie Andrzej Romanowski pisze: „Zatem przy zachowaniu wszelkich proporcji: w roku 2023 nie mogliśmy być obojętni, jaka Polska wyłoni się z wyborów". Panie Profesorze, czy ja jestem obojętny? Na wybory chodzę, lecz głosuję świadomie nieważnie! A głosuję świadomie nieważnie (z jednym wyjątkiem – wyborów prezydenta miasta), bo uważam, że jestem ubezwłasnowolniony przez partyjniactwo, które demokratyczne wybory do władz – w moim rozumieniu – podmieniło na plebiscyt partyjny. Do Sejmu, Senatu, rady miasta, nawet na prezydenta RP nie wybieramy swoich przedstawicieli, tylko uczestniczymy w plebiscytach, zaznaczając na listach partyjnych, której mafii politycznej udzielamy zgody, stawiając krzyżyk przy jakimś nazwisku, z niewerbalnym błogosławieństwem: „Róbta, co chceta". Pytam więc wszystkich czytelników: czy chodzenie na wybory i oddawanie głosu świadomie nieważnego, nie godząc się z ubezwłasnowolnieniem obywatelskim, należy potępić? Jeśli tak, to dlaczego?

Józef Brzozowski

Wielki amunicyjny szwindel



Nie tylko nie będzie polskich pocisków. Nie będzie żadnego polskiego sprzętu. Dlatego, że w latach 90. zaoraliśmy wszelki przemysł czy to zbrojeniowy, czy okołozbrojeniowy. Teraz trzeba go odbudować, zaczynając od podstaw, czyli kompanii wydobywczych, które zapewnią urobek, np. miedź, złoto, metale ziem rzadkich, wolfram i koltan (...). KGHM nie da rady pokryć takiego zapotrzebowania. (...) Potrzebujemy hut, stalowni, walcowni, skrawarko-obrabiarek na skalę przemysłową, które już mieliśmy. Jeszcze 30 lat temu. Dojdzie to tego przemysł tekstylny (...). Mając te wszystkie podstawy, możemy zacząć budować montownie i zakłady elektroniczne i elektryczne. Mamy oczywiście Bumar. W stanie agonalnym. A co z amunicją i zakładami produkującymi broń? Mamy Mesko, Fam Pionki, manufaktury zajmujące się elaboracją amunicji – pokrywa to ledwie zapotrzebowanie na amunicję myśliwską i sportową. Broń? Mamy FB Radom, która nie jest w stanie wyprodukować działającego karabinka szturmowego, a flagowy pistolet VIS 100 bazuje na konstrukcji pistoletu MAG 95. (...). Skończy się to jak zwykle – zakupami na łapu-capu, byle jak najszybciej kupić cokolwiek od kogokolwiek, kto sprzeda. (...)

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Znów będą wakacje!!! Zakończenie roku szkolnego w podstawówce w Mietniowie, 26 czerwca 2026 r.

FOT. MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Na koniec 2025 r. przeszło **2,4 mln Polaków miało ponad 81,3 mld zł zaległych zobowiązań** (badania BIG InfoMonitor).

•

Ponad 120 tys. wykroczeń kierowców spoza Unii Europejskiej zarejestrowały w 2025 r. fotoradary. Najczęściej byli to Ukraińcy (77,2 tys.). Obcokrajowcom wystawiono tylko 3,3 tys. mandatów. Nie wszyscy łamią przepisy. Bardzo spadła liczba wykroczeń ze strony Białorusinów i Rosjan.

•

Warszawę w 2024 r. odwiedziło **prawie 21 mln osób**, a na przyjezdnych czeka 10 tys. mieszkań na wynajem krótkoterminowy. W Krakowie na 15 mln turystów takich mieszkań jest 8 tys. We Wrocławiu prawie 3,5 tys., a w Gdańsku ponad 6,5 tys. Jak z tym mają żyć stali lokatorzy?

•

Udział OZE w światowej produkcji energii elektrycznej zwiększył się do 33,8% i jest wyższy od udziału węgla (33%).

•

Spośród 24 demokratycznie wybranych przywódców na świecie według firmy Morning Consult najwyższe poparcie (68%) ma premier Indii Narendra Modi, **premier Tusk jest na dziewiątym miejscu** z poparciem 43% obywateli. Najgorzej oceniani są Emmanuel Macron i Friedrich Merz (19%).

•

Laureatami Nagrody Literackiej m.st. Warszawy zostali: **Maciej Sieńczyk** za książkę „Pijaczek", **Katarzyna Wasilkowska** za książkę „Złodziejka", **Krzysztof Mordyński** za „MDM. Marszałkowska dzielnica marzeń" i **Łukasz Wojciechowski** za album „Dum-dum". **Małgorzatę Szejnert** nagrodzono tytułem Warszawskiej Twórczyni 2026.

•

Po prawie dwóch latach rządów **premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer** złożył rezygnację. Nie będzie się ubiegał o przywództwo Partii Pracy, którą prowadził przez sześć lat.

•

W Sądzie Okręgowym w Szczecinie rozpoczął się proces posła PiS Dariusza Mateckiego i siedmiu innych oskarżonych przez prokuraturę o pranie pieniędzy i wyłudzanie środków z Funduszu Sprawiedliwości.

•

Prokuratura Europejska wystąpiła do Sejmu o uchylenie immunitetu Wojciecha Króla z PO, przewodniczącego Rady Mediów Narodowych. Według śledczych miał przyjąć prawie 1,5 mln zł łapówek za załatwienie dotacji unijnych.

•

Artur Zaborski, prorektor Warszawskiej Szkoły Filmowej, pisujący też dla nas, dołączył do grona osób uprawnionych do głosowania w ramach Złotych Globów.

•

Słuchowisko „Potop" w reżyserii Magdaleny Małeckiej-Wippich zdobyło Grand Prix XXV Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej Dwa Teatry-Sopot 2026.

•

Po 33 latach pociągi wróciły do Łomży, skąd jeżdżą do Ostrołęki, Białegostoku i Olsztyna.

•

Przeciętny mieszkaniec Polski spożywa **ponad 200 jaj rocznie.**

PRZEBŁYSKI

Polegli na Biedroniu



Jak ryzykowne jest powierzenie obrony Macierewicza Wojciechowi Biedroniowi, wyjątkowo skromnie utalentowanemu pracownikowi tygodnika „Sieci", przekonała się Fratria, przegrywając proces sądowy. Prawie 10 lat trwała walka Tomasza Piątka, autora książki „Macierewicz i jego tajemnice", z paszkwilem Biedronia. Gorliwy propagandysta dojnej zmiany 18 września 2017 r. zarzucił Piątkowi konfabulację, nonsens i przedstawianie kłamliwego obrazu Macierewicza. W sądzie nie obronił tego, co sam napisał. No bo jak obronić zarzut, że książka Piątka „podważa wiarygodność Polski jako członka NATO"? Tak jakby w NATO były wtedy jakieś wątpliwości co do tego, kim jest ówczesny minister obrony.

Najtrafniej jednak opisał go w Sejmie Radosław Sikorski: „Antek, ty świrze".

Odkrycia Krzysztofa Króla



Minęło wiele lat, od kiedy ten gość był ważny i znany. Nie tyle z powodu szczególnych zalet, ile za sprawą koligacji rodzinnych. Krzysztof Król jako ZIĘĆ Leszka Moczulskiego miał wielkie plany. Ale gdy zabrakło TEŚCIA, Królowi zostało tylko wielkie ego. I zbieranie okruchów z pańskich stołów. Da się z tego żyć. Do edukacji Król nigdy nie miał zamiłowania i teraz potyka się o własne nogi. Co się wyrwie z jakimś tekstem, to wtopa. Stał się chodzącym memem, gdy w TVP Info ogłosił, że „Putina należy pokonać, zamknąć i osadzić tak jak Hitlera w Norymberdze".

A to się trafił Moczulskiemu, dobremu historykowi, zięć analfabeta. Król nie wie, że Hitler popełnił samobójstwo w Berlinie 30 kwietnia 1945 r., nie mógł więc być sądzony w Norymberdze. Po takich bredniach Króla nie dziwi upadek partii, którą mu teść zostawił.

Dwie twarze bp. Jeża



Czy osoba mająca prokuratorskie zarzuty tuszowania pedofilii może występować publicznie jako autorytet moralny? Może, ale tylko wtedy, gdy jest biskupem. Na szczęście nie każdy z nich ma taki tupet jak bp Andrzej Jeż z diecezji tarnowskiej. Choć, kiedy w całej Polsce spada liczba powołań, to tam wyświęcono w tym roku 14 nowych kapłanów. W roli mistrza ceremonii wystąpił ów moralista z oskarżeniami o tuszowanie pedofilii swoich podwładnych. „Pójdźcie za mną", powiedział bp Jeż do leżących krzyżem przed ołtarzem diakonów Wyższego Seminarium Duchowego w Tarnowie. Oby jednak nie. Skandalistów w sutannach jest już i tak za dużo. Mamy nadzieję, że młodzi księża nie będą, jak bp Jeż, kryć kolegów pedofilów.

FOT. YOUTUBE (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polska potrzebuje tak dużo uczelni?

PROF. LESZEK PACHOLSKI,
były rektor UWr, inicjator powołania Międzynarodowego Instytutu Nauki i Technologii

Problemem jest nie liczba uczelni, lecz brak ich dywersyfikacji. W efekcie w jednej placówce uzdolniona młodzież kształci się obok osób szukających wyłącznie łatwego dyplomu, a wybitni uczeni pracują obok przeciętnych, podczas gdy w dobrze zbudowanym systemie ten poziom powinien być wyrównany. Trudno jednak zreformować strukturę, która przez dekady ewoluowała w niedobrym kierunku, a w kraju brakuje dobrych wzorców. Najgorszy wpływ ma jednolite traktowanie przez ministerstwa ambitnych uczelni akademickich i szkół masowych. W dyskusjach nad projektami rozwiązań brakuje głosu spoza akademii: pracodawców i konsumentów, a przede wszystkim ekspertów, którzy potrafiliby realnie ocenić skuteczność oraz konsekwencje rządowych decyzji.

PROF. ANDRZEJ JAJSZCZYK,
członek rzeczywisty PAN, specjalista ds. polityki naukowej AGH w Krakowie

Mamy zbyt wiele słabszych placówek, które na siłę próbują udawać pełnowymiarowe uniwersytety badawcze. Państwa nie stać na tak rozległą sieć. Rozdrabnianie publicznych pieniędzy sprawia, że wiodące ośrodki mają ich za mało na kształcenie elit intelektualnych i badania na światowym poziomie. Wyższe wykształcenie musi być dostępne, ale nie wszędzie potrzebujemy Oksfordu. W mniejszych regionach w zupełności wystarczą trzyletnie kolegia akademickie, odpowiadające na realne potrzeby lokalnego rynku pracy. W dużych miastach czas na konsolidację i bardziej selektywny nabór. Niestety, masowość kształcenia drastycznie obniżyła poprzeczkę – ogólny poziom spada, a jakość wielu magisterek i doktoratów jest po prostu kiepska. Dyplom musi odzyskać swoją realną wartość.

JULIA BEDNARSKA-LEŚNIAK,
przewodnicząca Parlamentu Studentów RP

Dyskusja o liczbie uczelni jest zbyt uproszczona. Prawdziwym problemem nie jest to, ile placówek widnieje w rejestrach, ale czy system pozwala im dobrze kształcić, prowadzić badania i odpowiadać na potrzeby regionów. Mechaniczna likwidacja szkół wyższych nie zwiększy automatycznie nakładów na naukę ani nie poprawi jakości kształcenia. Może za to odciąć młodzież z mniejszych ośrodków od edukacji. Osłabi to lokalny rynek pracy i życie społeczne, których sercem bywa właśnie taka mała uczelnia. Zamiast dążyć do centralizacji i tworzenia problematycznych w zarządzaniu gigauczelni, państwo powinno rzetelnie oceniać jakość i reagować tam, gdzie nie są spełniane standardy. Polska nie potrzebuje mniej uczelni, tylko mniej fikcji jakościowej i więcej odwagi w inwestowaniu w naukę.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 1f84aa2a4f

To wielka umiejętność – skłócić się ze wszystkimi

Polska polityka wschodnia – zapis klęski

Robert Walenciak

Polska polityka wschodnia. To jedno z najczęściej powtarzanych ostatnio haseł. Pięknie brzmi! Można rzec, jak opowieść o Yeti – wszyscy o niej mówią, ale czy istnieje?

Bo cóż to za polityka, której efektem jest to, że ze wszystkimi państwami poradzieckimi mamy stosunki bardzo złe albo złe? Że nigdzie nie mamy wpływów, że patrzą na nas albo z niechęcią, albo z nieufnością? Że jesteśmy od spraw wschodnich i przez USA, i przez Europę Zachodnią, i przez Rosję i Ukrainę odepchnięci? Choć powinniśmy być jednymi z rozgrywających.

Co to więc za polityka? Co tu nawaliło? Założenia? Wykonanie?

Oczywiście w sferze ogólnych tez wszystko wygląda pięknie. Możemy usłyszeć o koncepcji budowy wpływów Polski na Wschodzie. O testamencie Giedroycia. O rozszerzaniu zachodnich wartości na Wschód. O popieraniu sił demokratycznych i demokratycznych przemian. Wszystko to są pięknie brzmiące słowa, tylko – zdaje się – zupełnie puste.

Szef Ośrodka Studiów Wschodnich (OSW) Wojciech Konończuk mówił niedawno w Sejmie, że jego instytut korzysta z osiągnięć polskiej przedwojennej sowietologii, bo zachowała ona wiele wciąż aktualnych tez, zwłaszcza dotyczących charakteru Rosji. Zapewne ta opinia sporo mówi o naszych sąsiadach. Ale chyba jeszcze więcej o Polsce. I o jej polityce wschodniej – bo jeśli definiują ją tak szerokie ramy, w które można wpisać nawet przedwojnie, to znaczy, że nie definiuje jej nic. Że to raczej odruchy.

Wymieńmy je. Na pewno w pierwszych latach III RP polska polityka była tu funkcją polityki USA. Nasza aktywność na Wschodzie, angażowanie się w „promowanie demokracji", w pomarańczowe rewolucje, była – owszem – potrzebą serca środowisk postsolidarnościowych, ale współgrało to mocno z polityką Stanów Zjednoczonych – rozcinania poradzieckiego obszaru. Polska była wygodnym narzędziem, by Moskwę naciskać, drażnić, i z tego narzędzia Wielki Brat korzystał. Ku zadowoleniu polityków w Warszawie…

„Robienie łaski Amerykanom" – dziś realizatorem tej polityki jest Karol Nawrocki, uniżony i zgadujący życzenia Donalda Trumpa...

Nasza polityka wschodnia była również (i jest) funkcją fantomu II RP. Nasze Kresy! Przejawia się to w protekcjonalnych gestach, w poczuciu wyższości. W przekonaniu, że Ukraina i Białoruś to naturalne pola naszej rywalizacji z Rosją. I wspominaniu Giedroycia. Nic z tego nie wychodzi, trudno przecież spodziewać się efektów, gdy prowadzi się politykę sprzed 100 lat. Odpryskiem tego myślenia jest obecny w polskiej polityce mesjanizm. Przekonanie, że musimy demokratyzować Wschód, przerabiać go na swoją modłę. Nieść żagiew Solidarności. Puste to przecież…

Polityka wschodnia jest też funkcją traum historycznych. W jej narracji głównym celem Polski jest uznanie przez Wschód naszego męczeństwa, pielęgnowanie naszych cmentarzy, miejsc kaźni. Przez lata dominował Katyń, teraz od kilku lat mamy do czynienia z Wołyniem. Tu czasy współczesne mieszają się z historią. I, nie umniejszając wagi sprawy wołyńskiej, chyba nie jest zbyt rozsądne do niej sprowadzać stosunki między dwoma państwami.

Poza tym polityka wschodnia jest funkcją polskich strachów. Że przyjdzie Rosja i podbije, i uciemięży. Tłumaczył to w Sejmie szef OSW: „W polskiej polityce wschodniej naprawdę chodzi o to, że jest ona częścią polskiego bezpieczeństwa narodowego". Jeżeli tak, to jej osią musi być walka z Rosją, osłabianie jej. Gdy więc rosyjscy politycy mówią o nas, że jesteśmy obsesyjnymi rusofobami, to trudno z nimi się nie zgodzić, skoro uznajemy, że polska polityka wschodnia to polityka bezpieczeństwa. Mają rację! W tej konstrukcji nasza rusofobia jest zrozumiała i usprawiedliwiona – bo walczymy o przeżycie. Nie ma więc ceny za osłabianie Rosji, ba – lepiej jest dokuczyć Rosji, niż wzmocnić Polskę.

> „Robienie łaski Amerykanom" – dziś realizatorem tej polityki jest Karol Nawrocki, uniżony i zgadujący życzenia Donalda Trumpa.

Ten strach szczególnie uaktywnił się po 24 lutego 2022 r. I w zasadzie zdominował polskie myślenie. A jeżeli zdominował, to wnioski z tego wyciągnęli polscy politycy. Polityka wschodnia, a w zasadzie opowiadanie o Wschodzie stały się elementem politycznej rywalizacji. Spójrzmy na wojnę PiS z PO. Przecież wciąż wymyślają sobie wzajemnie od ruskich onuc i ruskiej agentury.

Ta atmosfera niszczy debatę. Co mówi się dziś o Wschodzie? Nic się nie mówi, wygłasza się banały – że Rosja rozumie tylko język siły, że

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Ukraina walczy za nas, żeby ruskie czołgi nie stały na Bugu, że Białoruś to gubernia… O Azji Centralnej i Kaukazie szlachetnie się milczy, bo to za daleko. A jak ktoś poza truizmy wyjdzie, to natychmiast zostanie okrzyczany ruską onucą.

Nie dziwmy się więc, że politycy chętnie grają kartą ukraińską, rosyjską czy białoruską. Patriotyczne prężenie się – to łatwe i się opłaca. Ostatnie tygodnie były tego klasycznym przykładem – Karol Nawrocki wdał się w orderową awanturę z Wołodymyrem Zełenskim,



bo to mu się opłacało. Konferencja w Gdańsku o powojennej odbudowie Ukrainy też była rozgrywką dla publiczności krajowej – między Tuskiem a Nawrockim. Wojna między obozem rządzącym a opozycją dawno już przekroczyła wszelkie czerwone linie.

Oto więc polska polityka wschodnia. Nie budują jej przemyślane wcześniej działania, ocena sytuacji, zaplanowana strategia. Jest odpryskiem wspomnianych odruchów. Odruchu służalczości wobec Stanów Zjednoczonych. I odruchu „spod wątroby", czyli odbiciem zakorzenionych w społeczeństwie emocji. Prowadzona jest poza rzeczywistością.

A może to opinia krzywdząca? Może coś się udało? Radosław Sikorski do dziś dumnie się przedstawia jako współautor Partnerstwa Wschodniego – planu Szwecji i Polski dotyczącego współpracy z Ukrainą, Białorusią, Mołdawią i państwami Kaukazu. Unia rzuciła na to 2 mld euro, a potem jeszcze dorzucała. I co? Dziś patrzymy na Partnerstwo jak na coś, co zawisło w powietrzu. Jeden z dyplomatów znakomicie znających Wschód tłumaczył tę porażkę w ten sposób: „Pomysł, żeby stworzyć program dedykowany państwom poradzieckim, zrodził się jeszcze za Geremka. Ale Geremek wiedział, że to bardzo delikatne i obliczone na lata przedsięwzięcie. Chodziło mu o bardzo powolne, ewolucyjne zasypywanie różnic i tworzenie wspólnej przestrzeni. Sikorski ten program uznał za dobre narzędzie do agresywnej geopolityki". Nie tylko on, bo Moskwa niemal natychmiast stwierdziła, że jest to „Partnerstwo przeciwko Rosji". Żeby przeciągnąć państwa, którym zaproponowano program, na naszą stronę. Koniec, kropka.

No dobrze, Ukraina została przeciągnięta – czy też sama się przeciąga. Narzuca się więc pytanie, jak to możliwe, że im dłużej trwa wojna ukraińsko-rosyjska i im większy dorobek polsko-ukraińskiej współpracy, tym gorsze są nasze stosunki. Że w rozniecaniu nastrojów przeciwko drugiej nacji politycy obu krajów widzą korzyść. Jakim cudem przez tyle lat Polska nie potrafiła zbudować na Ukrainie swoich przyczółków? Znaleźć wpływowych środowisk, które potrafiłyby tam wytłumaczyć, o co nam chodzi? Wpływowych polityków, którzy docenialiby wartość dobrych stosunków ukraińsko-polskich? Dlaczego nie udało się nam zbudować pozytywnego obrazu Polski na Ukrainie? Tak, by atakowanie jej było, z uwagi na reakcję społeczeństwa, nieopłacalne?

A czy w ogóle nasza wiedza o dzisiejszej Ukrainie jest na odpowiednim poziomie? Otóż to – wiedza. Są przecież w MSZ, w ośrodkach analitycznych, na uniwersytetach fachowcy, którzy znają się na Wschodzie. Nie mogą pomóc? Tak się złożyło, że eksperci od Wschodu padli w ostatnich latach ofiarą różnych plag. Jedną z nich było polowanie na absolwentów rosyjskich uczelni, z MGIMO na czele. Ludzie, którzy znali Wschód z autopsji, mieli unikatową wiedzę, wykraczającą poza gabinetowe mądrości, zostali z MSZ wyrzuceni. A nowy nabór? Okazuje się, że ci, którzy zaczynali w MSZ 10 lat temu i można było mieć nadzieję, że wyrosną z nich dużej wagi fachowcy, już w MSZ nie pracują. Odeszli.

Patriotyczne wzmożenie spowodowało, że poza nawias debaty o Wschodzie wystawiona została także pokaźna grupa ekspertów, którzy mają akurat inne zdanie niż to powszechnie głoszone. Wiedza o wschodnich sąsiadach jest dziś w państwowych agendach po prostu niewielka. Zastępują ją stereotypy.

A ci, co zostali? I nie dali się partyjnie zglajchszaltować? Oni nie tworzą analiz, propozycji? Człowiek z gmachu przy Alei Szucha, gdy go o to pytałem, odparł z rozbrajającą szczerością: „Eksperci mogą napisać wszystko. Ale to nie ma znaczenia, bo klasa polityczna definiuje to inaczej – jak wyobraża sobie naród".

Oto więc tajemnica polskiej polityki wschodniej – wymyśla ją naród. Czy też raczej pracowicie zapełniający nam audycje telewizyjne i radiowe tzw. komentariat. Grupa ludzi, która zna się na wszystkim… I politycy, którzy na takich falach chcą pływać. Efekty widzimy. Co za wstyd… ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Polityka wschodnia
Coś, czego nie ma

Wielu Polaków tłumaczy nam ukraińskie racje. A gdzie są wpływowi Ukraińcy, którzy by tłumaczyli nasze racje

Rozmawia Robert Walenciak

Czy istnieje coś takiego jak polska polityka wschodnia?

– Tak, ale tylko na poziomie bardzo ogólnego planu. Tyle że już Sun Zi uczył, że strategia bez taktyki jest równie bezwartościowa, co taktyka bez strategii. My nigdy nie zoperacjonalizowaliśmy naszych założeń strategicznych. No bo co z tego, że trafnie, w odróżnieniu np. od Niemiec, odczytywaliśmy rosyjskie zagrożenie, skoro nic lub niewiele z tego wynikało. Na przykład w polityce w stosunku do Białorusi gdyby coś z tego wynikało, to należało robić wszystko, żeby Białoruś nie stała się rosyjską półkolonią. A tymczasem my zrobiliśmy wszystko, żeby się stała. Pomyliliśmy też cel z metodą. Celem była niepodległa, niezależna od Rosji Białoruś, metodą miała być demokracja. Tyle że w momencie, w którym się okazało, że demokracja jest niemożliwa, a walka o nią służy Rosji, myśmy już tak zafiksowali się na metodzie, że stała się ona naszym celem.

Zabrakło zimnego spojrzenia na rzeczywistość.

– Owszem. Ale też dyskusji, która nigdy nie miała miejsca.

Dlaczego?

– Polską politykę wschodnią przejęło specyficzne środowisko, które co do zasady nie miało w zwyczaju słuchać kogokolwiek poza samym sobą. Politykę zaczęło kreować nie MSZ, ale polskie służby specjalne i powiązane z nimi ośrodki analityczne.



WITOLD JURASZ
– dziennikarz i publicysta Onetu, publikuje artykuły poświęcone polityce zagranicznej i bezpieczeństwu, prowadzi podcast „Raport międzynarodowy". Autor książek o Rosji i Putinie („Demony Rosji") oraz Białorusi i Łukaszence („Demon zza miedzy"). Wraz z prof. Hieronimem Gralą napisał książkę o kremlowskiej elicie władzy („Wataha Putina").

To znaczy?

– Nie chcę, żeby to było ad personam, więc pomińmy nazwisko, ale jeden z obecnych szefów rządowego ośrodka zajmującego się polityką wschodnią napisał kiedyś, że zadaniem rządowych analityków jest moderowanie debaty na ten temat. Przepraszam – to ma być zadanie analityków? Od kiedy rolą urzędników jest cokolwiek moderować? Poza tym porównajmy… Czym są ośrodki analityczne np. w USA? Są miejscem, do którego trafiają byli ambasadorowie, dyrektorzy, wiceministrowie. A do naszych trafiają ludzie zaraz po studiach. W PISM i w OSW nie mamy ani jednego byłego ambasadora.

To tworzy zamkniętą grupę.

– Owszem. Problemem jest też jednak konformizm. Jeden z twórców resetu polsko-rosyjskiego, Sławomir Dębski, doskonale miał się za rządów PiS. I jakoś nie kojarzę, żeby tak było dzięki temu, że ceniono go za mądrą, konstruktywną krytykę polityki zagranicznej PiS. A było za co PiS krytykować, nieprawdaż? To środowisko doskonale opanowało metodę lawirowania. Metoda jest taka, że jak PiS dochodzi do władzy, to oni nagle dokooptują np. prof. Żurawskiego vel Grajewskiego. Kilka wspólnych imprez i okazuje się, że to są doskonali eksperci. Do tego jeszcze „nasi". A potem, jak przychodzi PO, zapraszają Eugeniusza Smolara na konferencję… I on też mówi, że są świetni, i nie zauważa, że holuje pisowców.

Kolejny problem to źle rozumiana inteligenckość. Przypomnijmy reset z Rosją, z którego nic przecież nie wyszło… Dokładnie w ten sam sposób prowadziliśmy dialog z Ukrainą. To był ten sam pomysł. Outsourcingowanie polityki zagranicznej – w efekcie zamiast dyplomatów zajmowali się nią tzw. intelektualiści.

FOT. MARIUSZ SZACHOWSKI

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Brutalnie rzecz ujmując, rozmawiali ludzie, których nikt nie słucha w Polsce, z ludźmi bez znaczenia na Ukrainie. Zamiast prowadzić negocjacje, myśmy prowadzili klub dyskusyjny.

A potrafimy negocjować?

– Jedyna ekipa, która od tej pustej inteligenckości była wolna, to eseldowcy. Prezydent Kwaśniewski dlatego osiągał sukcesy, ponieważ jako jedyny rozmawiał z elitą, a nie z jakimiś drugorzędnymi akademikami.

Jest jeszcze jeden element, który uważam za niebagatelny. To kwestia rosyjskiej agentury. Uważam, że w Polsce jest rosyjska agentura.

Rosjanie maczali palce w naszej polityce wschodniej?

– Mówił o tym niedawno wybitny historyk i zarazem pułkownik ABW Marek Świerczek. Jesteśmy jedynym istotnym krajem Zachodu, w którego służbach nie wykryto żadnego rosyjskiego kreta. Ja bym tezę płk. Świerczka poszerzył o MSZ i środowiska eksperckie.

Czy dziś dałoby się Łukaszenkę rozmiękczyć?

– Już nie.

A gdybyśmy się na nich otworzyli, uruchomili wymianę?

– To wtedy otwieramy się na Rosję. O tym, żeby się otwierać na Białoruś, mówią dzisiaj ci, którzy przez lata mówili, że nie należało się otwierać na Białoruś. Słowem, najpierw, gdy jeszcze miało to sens, a izolacja Mińska opłacała się Rosji, byli za izolowaniem Mińska. Dziś, gdy Rosja chce wyłomu w sankcjach, są za ich poluzowywaniem. Przepraszam, ale to jest albo głupota, albo zdrada.

A sytuacja polsko-rosyjska? Czy tu jest jakaś szansa na zrozumienie?

– Nie ma. Rosja jest dzisiaj tak głęboko neoimperialna i rewanżystowska, a jej cele są tak głęboko sprzeczne z naszymi interesami, że ktokolwiek twierdzi, że możemy się porozumieć, albo nie ma bladego pojęcia o Rosji, albo jest tzw. pożytecznym idiotą Putina. Z Ukraińcami w sporej grupie spraw mamy różnice, ale w zakresie bezpieczeństwa mamy zbieżne interesy. Z Rosją nie mamy ani jednego punktu stycznego.

A Ukraina? Jak wyjść z tego kryzysu?

– Trzeba wyeliminować z wpływu na politykę ukrainofobów, ale też ukrainofilów. Ci drudzy są – dodajmy – nawet bardziej szkodliwi. W mojej ocenie np. Donald Tusk tak naprawdę musi grać na antyukraińskiej nucie, ale nie z powodu Konfederacji, tylko z powodu takich ludzi jak chociażby Kazimierz Wóycicki... No bo jeżeli mówi się, że „AK też nabijała na widły" i nic więcej nie tłumaczy, to jest po prostu skandaliczne. Donald Tusk, słysząc takie głosy ze strony liberalnej – a jest ich niestety niemało – nie ma wyjścia, bo jeżeli naród skojarzy go z postawami Wóycickiego i jemu podobnych, to KO w wyborach nie będzie miała żadnych szans.

Jestem zdziwiony, że przez tyle lat nie udało nam się zbudować na Ukrainie liczącej się grupy, która potrafiłaby tłumaczyć polskie traumy. Byłaby pomostem...

– Ale myśmy tego nigdy nie robili.

No to co robiliśmy przez te lata?

– Jest znacznie gorzej. Opowiem jedną historię. Półtora roku temu byłem w Kijowie na konferencji. I co widziałem? Nasi eksperci chodzili i prosili Ukraińców o granty. W czasie wojny!

Prosili Ukraińców o wsparcie?!

– Byłem tego osobiście świadkiem! Mamy z Ukrainą model relacji, który na początku lat 90. wypracowaliśmy z Niemcami. Mamy mnóstwo Polaków tłumaczących nam ukraińskie racje. Proszę mi natomiast wymienić jednego wpływowego Ukraińca, który tłumaczyłby polskie racje.

Nie wymienię, bo chyba nie ma takiego. Ale przecież MSZ ma pieniądze na politykę.

– Owszem, ale one idą na konferencje w Warszawie.

A IPN? Ma miliony!

– IPN nie jest od dyplomacji.

To co zrobić?

– Tu i teraz to już nic nie da się zrobić. Takie rzeczy robi się przez lata. Buduje kontakty, tworzy środowisko, kreuje autorytety.

Mogliśmy prezentować filmy, wydawnictwa, współpracować z historykami, z dziennikarzami...

– Ale nie robiliśmy tego. Niedawno rozmawiałem z Michałem Potockim z „Dziennika Gazety Prawnej", który jest człowiekiem rozsądnym, a przy tym naprawdę świetnie zna się na Ukrainie. Zapytałem go, kto odpowiada za obecny fatalny stan relacji polsko-ukraińskich. Odpowiedział: „Dzisiaj prawica. A na przestrzeni 30 lat – liberałowie".

A czy jest szansa, że polski biznes wejdzie na Ukrainę?

– Nie. Paweł Kowal będzie zapewniał, że będzie świetnie, ale nie wierzę, że cokolwiek załatwi. Po pierwsze, ani sam nie ma doświadczenia, ani nie ma wokół siebie ludzi z odpowiednim backgroundem. Po drugie, trzeba być podpiętym pod międzynarodowe linie kredytowe. A tego też nie umiemy załatwić. Po trzecie, biznes widzi stan relacji. Opowiadał mi niedawno poważny biznesmen, którego firma należy do koncernu jednego z krajów skandynawskich, że oni, owszem, będą próbowali wchodzić na ukraiński rynek, ale udając, że nie są z Polski. Po czwarte, dlatego że w MSZ za popieranie biznesu można skończyć karierę, a nie ją zrobić. No i wreszcie po piąte – dlatego że w dużych infrastrukturalnych rzeczach albo nie mamy własnych firm, albo mamy oddziały firm międzynarodowych, które łakome kąski zostawią sobie.

A średni i mały biznes?

– Na Ukrainie jest niezmiennie duże ryzyko. Czego w takiej sytuacji można oczekiwać od państwa? Nie tyle załatwiania umów, bo te ten mniejszy biznes sam sobie załatwi, ile zapewniania osłony w razie kłopotów. I tu pojawia się proste pytanie: czy gdybyś był biznesmenem, uwierzyłbyś, że Polska ci pomoże?

Spójrzmy na te stosunki z drugiej strony. Wydaje mi się, że dla wielu Białorusinów i Ukraińców Polska jest atrakcyjna. Może to nasza soft power?

– Na pewno tak. Tylko jeśli z całej naszej współczesnej wyprawy kijowskiej to jedyne, co mamy, to wynik jest cokolwiek marny. Poza tym i to łatwo zepsuć. Boję się, że nastroje są takie, że będzie dochodzić do coraz częstszych aktów agresji wobec mieszkających u nas Ukraińców. Rosjanie nie będą musieli nawet nikogo wynajmować.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Derdziuk – człowiek orkiestra

Odwołanie prezesa ZUS

Andrzej Sikorski







Obchody 90-lecia Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Nz. ministra Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, marszalek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, prezes ZUS Zbigniew Derdziuk.
Warszawa 24 października 2026 r.

24 czerwca br. rada nadzorcza Zakładu Ubezpieczeń Społecznych odwołała prezesa Zbigniewa Derdziuka. Powodu nie podano, z informacji przekazanych przez szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza wynika, że Derdziuk w ciężkim stanie przebywa od pół roku w szpitalu. Jeśli to prawda, sytuacja jest niepokojąca. Przez wiele miesięcy jedna z najważniejszych instytucji nie miała szefa, problemy wewnętrzne narastały, a premier ani ministra pracy nie reagowali. W połowie czerwca pracownicy przeprowadzili dwugodzinny ogólnopolski strajk ostrzegawczy. Strajkujący domagają się podwyżek pensji w wysokości 1,2 tys. zł brutto oraz poprawy warunków zatrudnienia. Według związkowców w ZUS brakuje pracowników, a zwiększona w ostatnich latach liczba zadań powoduje przeciążenie. Kolejne postulaty to ograniczenie zlecania pracy w godzinach nadliczbowych i wznowienie szkoleń dla kadry kierowniczej z zakresu przeciwdziałania mobbingowi.

W piśmie skierowanym do premiera Donalda Tuska organizacje związkowe alarmowały, że dotychczasowy dialog nie przyniósł oczekiwanych efektów. „Z całą stanowczością podkreślamy, że prowadzone w ramach sporu zbiorowego rokowania oraz mediacje nie doprowadziły do rozwiązania problemów zgłaszanych przez pracowników Zakładu. Pomimo gotowości strony społecznej do dialogu i przedstawiania racjonalnych argumentów mających na celu znalezienie kompromisu Pracodawca nie przedstawił propozycji zadośćuczynienia rzeczywistej skali obowiązków, odpowiedzialności i oczekiwań pracowników”, napisali związkowcy.

Wobec prezesa ZUS podnoszono też zarzut łamania ustawy antykorupcyjnej. Otóż Derdziuk był członkiem rady nadzorczej spółki Relpol, a zgodnie z prawem osoby na kierowniczych stanowiskach w administracji nie mogą prowadzić działalności gospodarczej ani zasiadać w organach nadzoru spółek. „ZUS nie jest urzędem państwowym, a państwową jednostką organizacyjną posiadającą osobowość prawną, więc przepisy ustawy antykorupcyjnej nie znajdują zastosowania wobec zakładu”, odbijał piłkę ZUS, a resort pracy, na czele którego stoi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, podzielał tę argumentację, choć lewicowa ministra, jak powszechnie wiadomo, nie miała zaufania do prezesa, za którym stał premier Tusk.

O Zbigniewie Derdziuku pisaliśmy dwukrotnie („Zbigniew Derdziuk – tajemniczy prezes ZUS”, „Przegląd” nr 39/2025, a także „Morawiecki i tajemnice kościelnych działek”, „Przegląd” nr 9/2025). Były już prezes ZUS jest postacią bardzo wpływową. Ma kontakty w różnych środowiskach politycznych i w Kościele katolickim. Karierę zaczynał na początku lat 90., a jego CV jest imponujące. Pracował w najważniejszych urzędach i instytucjach. Między innymi w Sejmie, Senacie, Ministerstwie Zdrowia, TVP i bankach, zasiadał w radach nadzorczych państwowych spółek, był ministrem w kancelariach trzech premierów: Jerzego Buzka, Kazimierza Marcinkiewicza i Donalda Tuska.

„Ja tych prac nie szukałem. Po prostu dostawałem propozycję.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Podam przykład, jak trafiłem do rządu Jerzego Buzka. Zadzwonił do mnie Wiesław Walendziak. Powiedział, że został szefem kancelarii u premiera Jerzego Buzka. I zapytał: Może byś dołączył do nas?", opowiadał Derdziuk w jednym z wywiadów. Walendziaka poznał, gdy ten był prezesem TVP. Telewizją zarządzali tzw. pampersi – młodzi katoliccy działacze i dziennikarze. Derdziuk był zastępcą dyrektora Biura Zarządu TVP. Później, za rządów AWS, obaj zaangażowali się w tworzenie Telewizji Familijnej – kościelnej telewizji finansowanej przez spółki skarbu państwa. Nic z tego jednak nie wyszło, przedsięwzięcie zakończyło się klapą i prokuratorskimi śledztwami.

Szczególne związki łączą Derdziuka z Kościołem. Ukończył IESE Business School w Barcelonie, podyplomową międzynarodową szkołę dla menedżerów, która jest uważana za kuźnię kadr Opus Dei. Jego bracia są kapłanami. Bliźniak Andrzej to wpływowy zakonnik Warszawskiej Prowincji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów, były prorektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i były rektor Wyższego Seminarium Duchownego Kapucynów w Lublinie. Natomiast Eugeniusz jest egzorcystą i proboszczem parafii w Krasnobrodzie.

W 2020 r. Zbigniew Derdziuk został prezesem zarządu spółki Roma Office Center w Warszawie, będącej częścią imperium biznesowego archidiecezji warszawskiej. Trafił też do rady nadzorczej spółki PW – tej, która zamierza wybudować w centrum Warszawy drapacz chmur Roma Tower, nazywany często Nycz Tower od nazwiska kard. Kazimierza Nycza, forsującego tę kontrowersyjną inwestycję.

Za rządów AWS Derdziuk został członkiem rządowo-kościelnej Komisji Majątkowej, o której było głośno z powodu nadużyć przy zwracaniu Kościołowi mienia zabranego w okresie PRL. Derdziuk formalnie reprezentował rząd, choć można mieć co do tego wątpliwości. Otóż archidiecezja warszawska, na czele której stał wówczas prymas Józef Glemp, upatrzyła sobie cenną działkę w centrum Warszawy, u zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Jasnej. Kościół zażądał od komisji przyznania mu tego gruntu za rzekomo zabrany w czasach PRL zabytkowy pałacyk, zwany Domem Pod Królami, gdzie siedzibę ma Stowarzyszenie Autorów ZAiKS. Prawo do wspomnianej nieruchomości było kontrowersyjne, ale Zbigniew Derdziuk nie zawracał sobie tym głowy i w 2000 r. złożył stosowny podpis pod decyzją przyznającą archidiecezji cenną ziemię. Prymas Glemp wybudował na niej biurowiec Centrum Jasna, z którego archidiecezja czerpie zyski, wynajmując biura międzynarodowym korporacjom, firmom doradczo-finansowym i ubezpieczeniowym, a także Parlamentowi Europejskiemu i Komisji Europejskiej.

Jeszcze za pierwszego rządu PO-PSL Centralne Biuro Antykorupcyjne uznało, że członkowie Komisji Majątkowej dopuścili się przestępstwa, ale prokuratura dała im rozgrzeszenie, twierdząc, że członkowie komisji nie podlegali przepisom o korupcji urzędniczej, ponieważ w świetle prawa nie posiadali statusu funkcjonariuszy publicznych. A nawet gdyby było inaczej, to ewentualne przestępstwo nadużycia uprawnień i działania na szkodę skarbu państwa uległo przedawnieniu. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że kredyt (ok. 50 mln zł) na budowę biurowca na działce wyłudzonej przez archidiecezję warszawską dał Bank Zachodni WBK, którego jednym z wiceprezesów był Mateusz Morawiecki.

Zbigniew Derdziuk jest jednak najbardziej znany z tego, że szefował ZUS. Po raz pierwszy stanął na jego czele w latach 2009-2015. Nie miał dobrej passy ani prasy. Zarzucano mu, że przekształcił ZUS w instytucję religijną. Pracownicy co roku karnie pielgrzymowali do Częstochowy, a msze na Jasnej Górze odprawiał jego brat Andrzej, zachwalając ZUS pod światłym kierownictwem Zbigniewa. W 2014 r. Andrzej Derdziuk napominał, że „jest niesprawiedliwością" obarczanie ZUS, a więc Zbigniewa Derdziuka, konsekwencjami całego prawa ubezpieczeniowego w Polsce. „Niesprawiedliwe stereotypy rozsiewane przez ludzi, którzy łatwo i bez brania odpowiedzialności za wypowiadane słowa oskarżają ZUS o brak wrażliwości na potrzeby ludzi, o inwestowanie we własne zasoby lokalowe i systemy informatyczne, krzywdzą pracowników, którzy całym sercem oddani są codziennej, żmudnej obsłudze setek interesantów niecierpliwie oczekujących załatwienia swoich spraw", mówił duchowny.

NIK miała zastrzeżenia do organizowanych przez ZUS przetargów na obsługę informatyczną. Okazało się, że setki milionów złotych trafiały do jednej firmy – Asseco Poland, która była traktowana w sposób uprzywilejowany. Podejrzenia wzbudziły także niejasne powiązania – otóż urzędnicy ZUS, którzy decydowali o rozstrzygnięciu przetargów, znali się doskonale z przedstawicielami Asseco Poland. Zasiadali razem w radzie nadzorczej kościelnej Fundacji Fundowiczów. Zdaniem NIK takie związki towarzyskie mogły budzić wątpliwości co do bezstronności przy wyborze usług Asseco Poland. Co ciekawe, prezesem fundacji był ks. Sławomir Fundowicz, kolega brata bliźniaka prezesa Derdziuka. Fundowicz w 2008 r. został powołany do Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów, która zajmuje się opiniowaniem najważniejszych ustaw. Chyba nieprzypadkowo w tym czasie Derdziuk był ministrem w KPRM i odpowiadał za kontakty z radą.

Odwołanie Zbigniewa Derdziuka wykorzystała lewica. Nie jest bowiem żadnym sekretem, że partia Włodzimierza Czarzastego rościła sobie prawo do wskazania szefa ZUS (na co wcześniej nie chciał przystać premier). Nowym prezesem będzie Liwiusz Laska, dotychczasowy szef rady nadzorczej ZUS i dyrektor generalny w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej. ■

Za rządów AWS Derdziuk został członkiem rządowo-kościelnej Komisji Majątkowej, o której było głośno z powodu nadużyć przy zwracaniu Kościołowi mienia zabranego w okresie PRL.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Zdjęcie po lewej podpis: W niemieckim Ahlbecku, pierwszym z trzech bogatych w historię, cesarskich kurortów, aż bije po oczach ład przestrzenny.

Planeta Hotel

Gołębiewski resort – polski Dubaj w Pobierowie





Zuzanna Muszyńska

Mamy to. Widać go z odcinka szosy między Wrzosowem a Strzeżewem, ledwo znikną z oczu żyrafopodobne brachiozaury w skali 1:1, przyczajone niedaleko drogi w Bałtyckim Parku Rozrywki. Widać go z odległości 5 km i z kosmosu. Hotel Gołębiewski urósł do 11 pięter (plus dwa pod ziemią). Nadmorski las nie ma z nim szans, sosny są o połowę mniejsze od 50-metrowego kolosa.

Szosa wije się wśród pól w kierunku morza, kolos po chwili znika. Mapy Google prowadzą nas do marketu Dino w Pobierowie i w lewo, w las. Za nami sznurek aut, wszyscy podskakujemy na wertepach. Nie tak miało być. Gdzie luksusy, lokaje i Lamborghini?

Później dowiem się, że hotel toczy batalię z Google o niewysyłanie ludzi w maliny, jeżyny czy co tam rośnie w lesie na terenie byłego poligonu, który przekształcono w obiekt inwestycyjny. Właściwa droga ma nr 102 i dojazd nią z centrum Pobierowa zajmuje kilka minut.

Ruch jak po mszy w niedzielne południe. Parkowanie na cwaniaka na poboczach i w lesie zwiastuje nastrój festynu albo koncertu w plenerze, na który ciągną tłumy. A to tylko pierwszy weekend po otwarciu największego hotelu w Polsce, nad Bałtykiem i jednego z największych w Europie.

Rozmiar XXL

Wyłania się zza sosen, lśni w popołudniowym słońcu. Beton i szkło, duma i potęga. Marynistyczna bryła robi wrażenie. Jej skalę łagodzi efekt pokładów rodem z transatlantyku. Naprawdę jest na co popatrzeć. Setki balkonów jeszcze świecą pustkami. Na frontowej ścianie dwoje sprzątaczy pucuje szklane balustrady.

Parkujemy bez problemu za 6 zł za godzinę. Wokół, jak okiem sięgnąć, błotnista pustynia z rachitycznymi krzaczkami, kępkami traw ozdobnych i młodymi drzewkami, sadzonymi w pośpiechu i wywracanymi przez wichurę. Wykarczowali 1,5 tys. drzew, mają posadzić dwa razy więcej – tu wszystko liczone jest w setkach, tysiącach, hektarach. Na chodnikach walają się setki doniczek oczekujących na swoją kolej. Z olbrzymiego basenu pod chmurką, napełnionego po rant, woda wylewa się strumieniami na chodnik. Na skwerze przed głównym wejściem fontanna, symbol sieci Gołębiewski. Wiatr porywa krople wody. Idziemy dalej, za spacerowiczami, którzy, uciekając przed prysznicem, cykają sobie pamiątkowe foty na tle srebrnego jaja i wchodzą do środka.

Za drzwiami kończy się nowoczesność, zaczyna przepych. Monumentalne lobby razem z przyległościami ma powierzchnię orlika. Zdobią je czerwone dywany, na ścianach i posadzkach marmur, dużo drewna i zieleni, czasem plastikowej, czasem prawdziwej. Błękitne żyrandole podzwaniają przy każdym otwarciu drzwi, a te otwierają się co chwilę: dla tłumów wędrujących przez hotel ku morzu i z powrotem. Trochę jak nad przekopem przez mierzeję, tyle że tu jest co robić. Zaraz przy wejściu stoi budka z hotelowym logo, przed którą ustawiła się kolejka do zdjęć. Można zawrzeć znajomości, podzielić się wrażeniami.

Na przykład para z Częstochowy przyjechała na wczasy do

eprasa.pl 1f84aa2a4f


Hotel Gołębiewski, nadbałtycki transatlantyk

Kołobrzegu. To godzina drogi stąd, pod koniec fatalnej, narzekają, ale – zapewniają niezwłocznie – są fanami Gołębiewskiego, nocowali w Wiśle i w Mikołajkach, w Karpaczu jeszcze nie. Tutaj też przyjadą na nocleg, chociaż wolą ciepłe morza, a basen mają własny. – Widać bogactwo – podsumowują. Para z Wrocławia właśnie wróciła z Alp, teraz jest na wczasach w Międzyzdrojach. Do Pobierowa zaglądają od lat, czekając na otwarcie „Gołębia". Są wzruszeni losem pana Tadeusza. – Szkoda, że nie dożył, byłby dumny – mówią. Chętnie poznaliby nazwiska architektów zaangażowanych w projekt. Czy kiedyś zanocują? Nie stać ich ze skromnego emeryckiego portfela.

Nawet na niemiecki portfel ceny są wysokie – w lipcu za dwuosobowy pokój z widokiem na morze i dwoma posiłkami trzeba zapłacić 1740 zł (407 euro). Apartament z panoramą Bałtyku kosztuje nawet 4970 zł (1163 euro) za noc. Dołączam do wycieczki z Niemiec, która przesuwa się za przewodnikiem. Przystają w drzwiach obu restauracji: Zielonej – po prawej (kuchnia tradycyjna) i Monsoon – po lewej (kuchnia azjatycka). Turyści w wieku senioralnym dostają propozycję: październik, minimum dwa noclegi, o ile Herr Jarek przyklepie promocję dla większych grup – tu przewodnik/naganiacz wyjaśnia, że pan Jarek to jeden ze spadkobierców imperium Gołębiewskich. Oferta nie wzbudza entuzjazmu. Ktoś pyta o hektolitry wody, jakie zużywa hotel z tyloma basenami (mówimy o systemie basenowym zewnętrznym większym niż basen olimpijski, o łącznej długości 104 m i szerokości 60 m, krytych basenach, dzikiej rzece, sztucznej fali, jacuzzi, saunach). Za naszymi plecami w lobby znajduje się akwarium, które napełniało się wodą dwa dni. Nazajutrz uda mi się zobaczyć gigantyczną szatnię dla użytkowników basenów (nie żałuję, że nie było wstępu do pralni – mogłaby się przyśnić). Czas pokaże, ilu niemieckich, świadomych ekologicznie turystów odstraszą te hektolitry.

Zostawiam Niemców, idziemy na plażę – zejście z klifu schodami opisanymi w mediach jako „schody grozy". Faktycznie, mogą być dużym utrudnieniem dla gości z niepełnosprawnością ruchową i dla osób z dzieckiem w wózku.

O świetlanej przyszłości hotelu dobrze się myśli przy popołudniowej kawie. W kawiarni Patio stolik i lampa mają rozmiar XXL. Niewykluczone, że kelnerkom z liczby kroków na jednej zmianie udaje się uzbierać maraton. Klient czeka: na kartę, na kawę z dodatkiem ciasteczka korzennego marki Tago, na deser (dopiero trzeci z wybranych jest dostępny) i wreszcie, żeby zapłacić (słono – 103 zł za dwie kawy i dwie bezy Pavlova).

Z portretu w holu spogląda na nas pan Tadeusz. Wychował się w 30-hektarowym gospodarstwie na Warmii, od pracy na roli uciekł do szkół. Zaczynał od produkcji gofrów, która rozrosła się do fabryki ciastek, po czym wszedł w branżę hotelarską. Zostawił po sobie imperium hotelowe z pięcioma obiektami i największą w Polsce liczbą łóżek. Nie wierzył w małe obiekty. Uważał, że hotel musi być kompletnym światem. I tej idei pozostał wierny do końca.

Przy sąsiednich stolikach pije się piwo i wino musujące za sukces pana Tadeusza. Toasty wznoszą nasi polscy kuracjusze, których słowa „serce" i „tradycja", odmieniane przez wszystkie przypadki, przyciągnęłyby nawet na Księżyc. Na pewno wrócą między obiadem a kolacją, posiedzieć w lobby, a może i popływać w basenach (100 zł od osoby za dwie godziny); to zacne, że zawsze będą tu mile widziani goście non-premium.

Goście premium mają morze opcji: dwa place zabaw dla młodszych i starszych dzieci, zaraz obok kino, Smakolandię, gdzie maluchy zjedzą rosołek bez pietruszki i marchewki; stołówkę tylko dla siebie – pod nazwą Restauracja Czerwona (kolejne miejsce pracy dla maratończyków), w niedalekiej przyszłości salę teatralną, klub nocny, strefę wellness i supermarket. Jest sala kongresowa i wiele mniejszych sal konferencyjnych. Pokoje (docelowo 1,2 tys.) mają średnio rozmiar mieszkania w bloku, 60 m kw. Wszystko razem sumuje się do 180 tys. m kw. powierzchni użytkowej. To dlatego wszyscy są tu bardzo mili, pomocni i… trochę zagubieni.

FOT. ZUZANNA MUSZYŃSKA (2)

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Dwa razy uroczyste otwarcie obiektu? Tak jest, żaden klient nie może poczuć się skrzywdzony. 10 i 26 czerwca, dwa torty powitalne, szampan, truskawki w czekoladzie, kwiaty i pluszaki. A czego mogłoby zabraknąć na planecie Gołębiewski? Gości. Personelu. Docelowo ma tu pracować 500 osób – kiedy zostaną oddane do użytku wszystkie pokoje. Rocznie hotel może przyjąć nawet 1 mln turystów. W jedną noc zmieszczą się trzy Pobierowa, razem z Pustkowem i Łukęcinem.

A może po prostu morze

Pobierowo to szum sosen – niezbędny dodatek do bezkresnych plaż w prawdziwie polskim kurorcie. Wczesnym wieczorem główna ulica prawie śpi, mimo że sezon letni tuż-tuż. Winna jak zwykle pogoda. W blaszakach znika za żaluzjami plastikowo-pluszowy asortyment. Ale można jeszcze coś zjeść. Do Smażalni Pod Dorszem – grillowane na żywo mięsiwa, ziemniaki i kapusta zasmażana – przyciągnęły trzy rodziny, ulewa nagania kolejne. W cenie z kawiarnianego paragonu grozy z „Gołębia" tutaj spokojnie mieszczą się dwa dania obiadowe i zimne napoje. Młody kasjer Hubert ocenia, że od otwarcia „Gołębia" nie zmieniło się nic, i jego zdaniem tak pozostanie. – Klienci zostaną na miejscu, do Pobierowa wpadną może ostatniego dnia po magnes na lodówkę – wieszczy. Nie sądzi, że gigahotel będzie wysysać pracowników z lokalnych biznesów. – Mamy zgraną ekipę, ja tu pracuję od ośmiu lat – oświadcza. Zimą smażalnia jest otwarta od czwartku do niedzieli. I ma stałą klientelę – m.in. gości całorocznego PINEA Resort.

Świat usłyszał o Pobierowie, „Gołąb" zrobił mu darmową reklamę. Pytanie, czy teraz obudzi je z zimowego snu – całosezonowe hotele o wysokim standardzie PINEA Resort i Linea Mare nie dały rady. W PINEA Resort pokoje mają widok na morze, z ukosa, za to bez wyjątku. Co czwarty ma w pakiecie widok na rozległy, zaniedbany plac parkingowy z królikarnią i innymi budkami, które zapełnią się w sezonie „trendującymi" w tym roku towarami lub usługami. Czy goście premium to lubią? Mają tu dwukrotnie taniej, ale mniej atrakcji i pokoje mniejsze niż dwójki w „Gołębiu".

Jeżeli ktoś liczy się z groszem, wybierze „stare" Pobierowo. Tak uważa barman z restauracji Sabat. Przytulne wnętrze jest pełne gości. Że zespół pracowników jest zgrany, widać i słychać, świetnie się dogadują. W „Gołębiu" lane piwo kosztuje 20-23 zł za 500 ml, tutaj można zaoszczędzić 5-7 zł. Campari jest trzykrotnie tańsze u sympatycznego barmana. Naprzeciwko, w lodziarni Sabat, również czekają na gościa premium, ale tak około trzeciego dnia pobytu, kiedy w hotelu all inclusive robi się nudno. Pytanie, kogo będzie stać na dłuższy pobyt, jeżeli w szczycie sezonu rodzina 2+2 zapłaci za tydzień ponad 11 tys. zł, a w apartamencie ponad dwa razy więcej. Czy te ceny też widać z kosmosu?

My wybraliśmy sympatyczny niskobudżetowy pensjonat, w którym pokój ze śniadaniem kosztuje 330 zł. Przy takiej cenie trzeba się liczyć z walką o stolik, którą znakomita większość gości powtórzy podczas obiadu i kolacji, po dopłacie do tutejszego all inclusive. Ominą ich za to wizyty w Los Zapiekankos czy Kac Vegas; między posiłkami pójdą nawdychać się jodu, wyjadą zdrowsi.

Dla pełnego obrazu sytuacji trzeba się oddalić od Pobierowa o ok. 60 km. Po śniadaniu wyruszamy na wyspę Uznam, skąd bacznie obserwują konkurencję niemieccy hotelarze. Za słupkami granicznymi, w Ahlbecku, pierwszym z trzech bogatych w historię, cesarskich kurortów, aż bije po oczach ład przestrzenny. Domy stoją w tej samej odległości od ulicy, nie ma tuj w ogródkach. Im dalej w kurort, tym bardziej jak w katalogu: zabytkowe pensjonaty, bujna, zadbana przyroda. Zabytkowy Ostseehotel w pierwszej linii brzegowej ma podziemny garaż. Od razu po zameldowaniu się biegniemy szpiegować, czy nikt się nie wyłamał, nie postawił blaszanej budy ani piątego czy szóstego piętra w ramach samowolki budowlanej. Niestety – budki z lodami pasują stylistycznie do starych willi, fontanny tryskają rytmicznie, ruch samochodowy wstrzymano, a skromne apartamentowce nie zaburzają charakteru całości. Jeszcze dochodzimy do końca najstarszego niemieckiego molo i czytamy: „Meer Erleben". Przeżyć morze.

Z okien hotelu słychać szum, żadnych dyskotek, potańcówek od południa do północy (jak np. w Kołobrzegu podczas majówki, w hotelu o podobnym standardzie). Tutaj tylko morze. Przed godz. 22 zamiera życie, ostatni spacerowicze znikają w hotelowych barach. W naszym barman miksuje drinki i języki, nas zabawia po polsku, gości przy sąsiednich stolikach po

Żegnamy

redaktora

Andrzeja Martynkina,

wybitnego dziennikarza sportowego i autora wielu książek.
Kochał sport, a najbardziej lekkoatletykę, biegi narciarskie i wyścigi samochodowe.
Pisał w „Sportowcu" i przez 17 lat w „Sztandarze Młodych".
Prawdziwy lider, kompetentny i dociekliwy.
Autorytet. Koleżeński, lubiany i szanowany przez sportowców.
Miał barwny życiorys. Żal, że to już koniec.

Rodzinie i Bliskim serdecznie współczujemy

Jerzy Domański i byli dziennikarze „Sztandaru Młodych"
oraz członkowie Stowarzyszenia Dziennikarzy RP

eprasa.pl 1f84aa2a4f

niemiecku. Z recepcjonistką, Olą ze Świnoujścia, porozmawiałam już wcześniej: ośmioletni staż w Ahlbecku, wcześniej praca w świnoujskim Radissonie. Dojazd do pracy: 10 minut. O Gołębiewskim Ola nie ma wiele do powiedzenia, generalnie nie widzi powodu, żeby przenosić się do pracy w Polsce (chyba że dla wyższych zarobków). Nauczyła się niemieckiego, chwali rodzinną atmosferę w międzynarodowym zespole. Większość zatrudnionych tu osób to Polacy. Grupa hotelowa Seetelhotel ma kilka obiektów na wyspie Uznam, jest największym pracodawcą w jej niemieckiej części, zatrudnia ponad 500 osób, w tym pracowników z polskiego pogranicza. O nich szefostwo martwi się mniej niż o ten 1 mln dodatkowych noclegów u polskiej konkurencji.

Zapleczem Ahlbecku, Heringsdorfu i Bansin, trzech siostrzanych kurortów zwanych „wanną Berlina", od zawsze była stolica oddalona o dwie i pół godziny drogi. Kiedy przyjeżdżają Berlińczycy, zwłaszcza młodzi, chcą się zabawić. – Odsyłamy ich do Świnoujścia – słyszę od polskiego personelu. To samo pisze „Ostsee-Zeitung", o rosnącym niezadowoleniu turystów korzystających z oferty w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, szczególnie wśród rodzin. Im młodsi, tym bardziej wymagający. Kiedyś wymienią motto z końca molo na oczywiste „Mehr Erleben" – przeżyć więcej. Więcej niż odbywający się tu co roku polsko-niemiecki festiwal literatury (tabliczka dedykowana Oldze Tokarczuk zdobi, obok nazwisk innych znamienitych gości, ścianę siostrzanego hotelu z dodatkową gwiazdką). Więcej niż kursy gotowania, degustacje win. Dzieciom zaleca się sprzątanie okolicznych lasów w towarzystwie rodziców. Sądząc po tłumach seniorów, maszerujących lub pedałujących rekordowo długą promenadą w kierunku Heringsdorfu i Bansin, wymiana nastąpi nieprędko. Zresztą coraz chętniej ciągną tu nasi – nie tylko na spacer ze Świnoujścia, ale na dłużej, do cichych kurortów z klasą, kameralnym klimatem i… cenami, które mogą spokojnie konkurować z Gołębiewskim.

Szansa czy katastrofa?

Niemiecka prasa odnosi się do „Gołębia" przeważnie lekceważąco. Polski Dubaj, wygląda jak mrówkowiec z powojennych blokowisk, takich jak Gropiusstadt w Berlinie czy Neuperlach w Monachium. Megalomański, kolosalny, absurdalny. Największy i najbrzydszy kolos w regionie, niszczący lokalny charakter i środowisko.

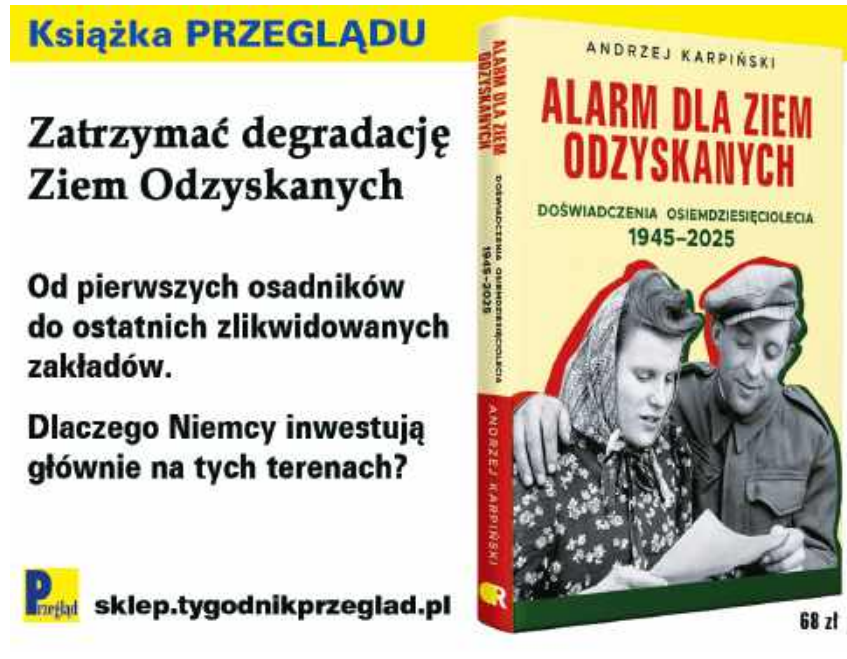
Największe hotele na niemieckim wybrzeżu Bałtyku to karły wobec Gołębiewskiego: Morada Resort w Kühlungsborn czy Hotel Neptun w Warnemünde dysponują mniej niż 500 pokojami. Wiosną ogłosił upadłość czterogwiazdkowy Hotel Kaliebe na wyspie Uznam. Podobny los spotkał Usedom Palace, który po 125 latach przestał przyjmować gości. Zabytkowe placówki, poza wszechobecnym problemem z kosztami zatrudnienia, wysokimi cenami żywności i energii, mają pod górkę bez nowoczesnych basenów i stref SPA. Ale Niemcy nie zamierzają się poddawać. Przyznają, że konkurencja po obu stronach granicy podbija stawkę. Liczą na inicjatywy władz regionalnych, pomoc w marketingu i modernizacji infrastruktury turystycznej.

W Polsce również nie brakuje krytyków „gołębiewszczyzny" czy „patohotelarstwa". W tej Polsce z dala od Pobierowa – tu, lokalnie, nikt nie protestował, kiedy dziewięć lat temu gmina Rewal sprzedawała Tadeuszowi Gołębiewskiemu tereny wojskowe pod inwestycję. Dziś mówi się o dodatkowych milionach dochodów z podatków i setkach nowych miejsc pracy. Przyrodnicy piętnują sąsiedztwo pożeracza przyrody i wody, zwiększoną nawet o 300% liczbę mieszkańców, czyli nowy, patohotelowy ekosystem.

Lato będzie gorące, ponad połowa Polaków planuje spędzić urlop w kraju. Zapewne wielu przyjedzie na Wybrzeże Rewalskie – jeśli nie zanocować, to obejrzeć kuriozum, jakim jest nasz nadbałtycki transatlantyk. Czy poza sezonem, płacąc nawet o połowę mniej, przybędą tłumnie Polacy premium, Niemcy bez ekologicznych skrupułów, Czesi bez morza? Bo 2 tys. osób w sali śniadaniowej, kilkaset na basenie – to trzeba lubić.

Wszyscy kochamy Bałtyk. Cała Polska ma prawo, a nawet powinna, zastanawiać się, ile apartamentowców i wielkich hoteli udźwignie niepowtarzalny nadbałtycki krajobraz. Czy na pewno chcemy zbudować nad Bałtykiem drugą Hiszpanię.

Zuzanna Muszyńska



eprasa.pl 1f84aa2a4f

Nieuchwytny Michał Kuczmierowski

Były szef Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych skutecznie unika wymiaru sprawiedliwości

Andrzej Sikorski

Taka postawa nie pasuje do absolwenta filozofii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego i instruktora Związku Harcerstwa Rzeczpospolitej, prawicowej organizacji odwołującej się do wartości chrześcijańskich, który po katastrofie smoleńskiej postawił słynny krzyż pod Pałacem Prezydenckim. Ale, jak stwierdził angielski filozof i polityk John Dalberg-Acton, „władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie". Dzięki politycznym koneksjom Kuczmierowski stał się człowiekiem majętnym i o potężnych wpływach w rządzie PiS, a ostentacyjne okazywanie religijności i odwoływanie się do patriotyzmu były tylko zasłoną dymną.



Były szef RARS Michał Kuczmierowski w Londynie, 18 grudnia 2025 r.

Przestępczy proceder

Prokuratura chce postawić Kuczmierowskiemu zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej oraz przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Chodzi o kilkaset milionów złotych (według Jacka Harłukowicza, dziennikarza Onetu, który ujawnił aferę, mogło to być nawet 700 mln) wyprowadzonych z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych do zaprzyjaźnionych biznesmenów, którzy zbili gigantyczne fortuny na państwowym majątku. Tylko do Pawła S., producenta patriotycznej odzieży Red is Bad, trafiło co najmniej 300 mln zł, a Dominik B., który w 2019 r. odpowiadał za kampanię wyborczą Mateusza Morawieckiego, wzbogacił się o 150 mln zł. Przekręt polegał na tym, że w wyniku nieformalnych decyzji Kuczmierowskiego (ale pewnie też premiera Morawieckiego) dostawali oni zlecenia na zakup m.in. agregatów prądotwórczych i środków ochrony osobistej, na które narzucali gigantyczne marże. Jakby tego było mało, okazało się, że zakupiony towar był wadliwy. I np. niesprawne agregaty, które miały trafić na Ukrainę, politycy PiS rozdawali strażakom w czasie kampanii wyborczej.

Szokujące jest to, że o złodziejstwie Centralne Biuro Antykorupcyjne wiedziało jeszcze za rządów PiS, kiedy to ferajnę objęto inwigilacją, ale śledztwo wszczęto dopiero 1 grudnia 2023 r., czyli na chwilę przed zaprzysiężeniem gabinetu Donalda Tuska.

W aferze RARS zarzuty usłyszało kilkanaście osób, w tym Anna W., zaufana Mateusza Morawieckiego i szefowa jego biura w KPRM. Prokuratura zarzuciła jej udział w zorganizowanej grupie przestępczej oraz przyjęcie 3,5 mln zł łapówki. Wiele wskazuje, że zarzuty usłyszy również Morawiecki, który był patronem przestępczego układu. Justyna G., szefowa działu zakupów w RARS (także z zarzutami), zeznała, że nad Kuczmierowskim „na pewno był ktoś, kto polecał mu określone działania i nadawał mu główne kierunki postępowania". A tą osobą mógł być tylko ówczesny premier. To Morawiecki bezpośrednio nadzorował RARS i to on ulokował Kuczmierowskiego na stołku prezesa agencji.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Warto mieć na uwadze, że nie kto inny jak właśnie Morawiecki stał za karierą ambitnego harcerza. Gdy był jeszcze prezesem BZ WBK, ściągnął go do banku i zrobił z niego menedżera (choć młodzieniec nie miał żadnych kompetencji ani doświadczenia w bankowości). Po przejęciu władzy przez PiS awansował zaś na szefa marketingu w państwowym banku PKO BP, a potem skierował do zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Kuczmierowski był tak bezczelny, że marzył mu się nawet fotel prezesa PGZ! W mejlu do Morawieckiego pisał: „Jeśli uznasz, że warto jednak w tym temacie powalczyć o moją kandydaturę, mogę zorganizować sobie, oprócz zapewne Twojego (najważniejszego), wsparcie ze strony o. Tadeusza oraz Pani A. Bieleckiej".

Ojciec Tadeusz to oczywiście Rydzyk, a Anna Bielecka to architektka, pierwsza żona Czesława Bieleckiego, byłego posła AWS i kandydata PiS na prezydenta Warszawy w 2010 r. Dama ta uchodziła za nieformalną doradczynię Jarosława Kaczyńskiego. W jej mieszkaniu przy ul. Wilczej 23 w Warszawie, zwanym salonikiem pani Bieleckiej, spotykać się mieli najbliżsi współpracownicy prezesa PiS. To tam zapadały najważniejsze decyzje personalne co do obsady państwowych stanowisk i podziału politycznych łupów.

Ucieczka, więzienie i przyjaciele

Wydaje się to dziwne, ale po zmianie władzy Kuczmierowski kierował rządową agencją jeszcze przez ponad trzy miesiące. Został odwołany pod koniec marca 2024 r.

W sierpniu 2024 r. prokuratura chciała postawić byłemu prezesowi RARS zarzuty. Okazało się, że Kuczmierowski uciekł z Polski. Wystawiono za nim list gończy, europejski nakaz aresztowania i nakaz aresztowania obejmujący Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej (zgodnie z umową podpisaną między UE a Wielką Brytanią i Irlandią Północną), sąd zaś podjął decyzję o zastosowaniu tymczasowego aresztu na trzy miesiące. Zbieg szybko został zatrzymany w Londynie.

Tuż przed ujęciem zdążył jeszcze udzielić wywiadu propisowskiemu portalowi wPolityce.pl. Stwierdził, że wyjechał z kraju za pracą, bo został publicznie napiętnowany i nie mógł znaleźć zajęcia, które pozwoliłoby mu utrzymać rodzinę. „Nie uciekam przed wymiarem sprawiedliwości, nie szukam żadnego schronienia. Jestem jednak zainteresowany uczciwym procesem. Chcę wrócić do Polski w momencie, gdy będę miał gwarancję uczciwego postępowania, uczciwego procesu", powiedział protegowany Mateusza Morawieckiego. Jak można się domyślać, uczciwy proces mieliby mu zapewnić usłużni wobec PiS sędziowie pokroju Łukasza Piebiaka, Przemysława Radzika i Piotra Schaba.

> To jest gra o wysoką stawkę i o to, żeby Kuczmierowski się nie „rozpruł", żeby miał poczucie, że go nie zostawiają.

Jednocześnie Luka Szaranowicz, adwokat Kuczmierowskiego, poinformował, że skierował do Sądu Okręgowego w Warszawie wniosek o wydanie listu żelaznego na rzecz jego klienta. Zgodnie z deklaracją były prezes RARS miał stawić się w prokuraturze i odpowiadać z wolnej stopy, czyli nie trafiłby do aresztu. Jednak sąd na to nie przystał.

We wrześniu 2024 r. decyzją londyńskiego sądu Kuczmierowski trafił do aresztu w więzieniu Wandsworth, gdzie miał czekać na decyzję o ekstradycji. Sąd nie zgodził się na przedstawione przez obronę propozycje, tj. poręczenie majątkowe w wysokości 200 tys. funtów, przebywanie pod stałym adresem w Wielkiej Brytanii i regularne meldowanie się na policji. Uznano, że zarzuty są zbyt poważne, ponadto istnieje ryzyko, że aresztant będzie próbował uciec. Kuczmierowski nie skorzystał z możliwości poddania się procedurze dobrowolnego powrotu do kraju.

W styczniu 2025 r. sąd zmienił zdanie. Uznał, że były szef RARS będzie mógł opuść areszt i czekać na decyzję o przekazaniu do Polski, jeśli wpłaci 565 tys. funtów jako poręczenie i zabezpieczenie majątkowe. Dodatkowo nakazano mu przebywanie pod stałym adresem, bez możliwości wychodzenia w nocy (został objęty monitoringiem elektronicznym), i meldowanie się każdego dnia na komisariacie policji. Kuczmierowskiemu, nie bez trudu, udało się zebrać potrzebne pieniądze. Wiadomo, że zrzucili się najwierniejsi przyjaciele, m.in. były minister cyfryzacji Janusz Cieszyński wysupłał 50 tys. funtów. „To jest gra o wysoką stawkę i o to, żeby Michał się nie »rozpruł« (nie zaczął zeznawać i obciążać innych), żeby miał poczucie, że go nie zostawiają", cytowała anonimowego polityka PiS „Gazeta Wyborcza".

Cieszyński nie jest w tej układance osobą przypadkową. Jako wiceminister zdrowia zlecił kupno respiratorów handlarzowi bronią Andrzejowi Izdebskiemu. Choć wziął on ponad 150 mln zł zaliczki, z umowy się nie wywiązał. W dodatku zapadł się pod ziemię. Mający powiązania ze służbami specjalnymi i szemranym środowiskiem biznesmen ukrywał się w Albanii i w Tiranie podobno zmarł, choć nikt, nawet bliscy, nie widział jego ciała, bo zostało skremowane.

> Obrońcy zastosowali przewrotną taktykę. Twierdzą, że sędziowie w Polsce są upolitycznieni. Dowodem na to mają być… neosędziowie.

10 lutego 2025 r. Kuczmierowski opuścił areszt. Jak ustalili dziennikarze TVP Info, zamieszkał u polskiej rodziny „środowiskowo powiązanej z PiS" w dzielnicy Hounslow

FOT. MARCIN NOWAK/REPORTER

eprasa.pl 1f84aa2a4f

w zachodniej części Londynu. Pani domu była mocno zaangażowana w kampanię wyborczą Andrzeja Dudy i uczestniczyła w zamkniętym spotkaniu z prezydentem Karolem Nawrockim podczas jego wizyty w Wielkiej Brytanii w styczniu 2026 r. Mało tego! Rodzina ta przyjaźni się z Mateuszem Morawieckim, a pisowski premier miał być jej gościem, gdy odwiedzał swojego protegowanego. Podobno Kuczmierowskiego odwiedzają także inni politycy PiS.

Dziwne przypadki, triki i uniki

Zaraz po wyjściu z aresztu Kuczmierowski udzielił wywiadu zaprzyjaźnionej telewizji wPolsce24. Stwierdził, że jest niewinny, a oskarżenie ma charakter polityczny i „opiera się nie na dowodach, ale na wymuszanych zeznaniach w ramach właśnie aresztu wydobywczego", i jest zdeterminowany, żeby „wykazać swoją niewinność i żeby wygrać z reżimem, który obecnie rządzi w Polsce". Przy czym zaprzeczył wcześniej lansowanej wersji, że o tym, że jest poszukiwany i ma trafić do aresztu, dowiedział się, będąc w Londynie. Okazuje się, że były szef RARS przebywał na Cyprze na rzekomo rodzinnych wakacjach, „ale jedyny samolot, który miał do dyspozycji, to był samolot do Wielkiej Brytanii". Kuczmierowski mijał się z prawdą, bo mógł skorzystać z połączeń do Polski.

Według moich informacji Kuczmierowski początkowo zamierzał opuścić Europę, ale ostatecznie wybrał Wielką Brytanię. Skalkulował, że gdyby postąpił jak jego wspólnik w interesach Paweł S., który uciekł przed aresztowaniem do Dominikany, jego linia obrony o sprokurowanym politycznym śledztwie szybko by runęła. A tak, będąc w Londynie, nawet za kratami znalazł licznych obrońców, m.in. jednego z liderów skrajnie prawicowej partii Reform UK i byłego eurodeputowanego Bena Habiba, który w mediach społecznościowych alarmował, że „brytyjski system wymiaru sprawiedliwości wykonuje brudną robotę dla zagranicznych reżimów, przetrzymując w więzieniu byłego polskiego ministra".

W aferze RARS zarzuty usłyszało kilkanaście osób, w tym Anna W. Prokuratura zarzuciła jej udział w zorganizowanej grupie przestępczej i przyjęcie 3,5 mln zł łapówki.

We wrześniu 2025 r. w londyńskim sądzie miało się odbyć posiedzenie ekstradycyjne Kuczmierowskiego. Nie odbyło się, bo doszło do awarii sieci wodociągowej, która uniemożliwiała pracę sądu. Kolejne posiedzenia, zaplanowane na luty i kwiecień 2026 r., także zostały odroczone. Podobnie jak to ostanie, z 19 czerwca. Według doniesień TVN 24 powodem było wezwanie jednej z brytyjskich prawniczek byłego prezesa RARS do izby adwokackiej. Inną wersję przedstawił polski obrońca Kuczmierowskiego, mec. Adam Gomoła. Zdaniem adwokata rozprawa została odroczona, „ponieważ przedstawiciele polskich władz złożyli wniosek o krzyżowe przesłuchanie eksperta obrony oraz w celu przeprowadzenia końcowych wystąpień". Kolejny termin wyznaczono na wrzesień. Nawet jeśli wtedy sąd podjąłby decyzję, to zostanie ona zaskarżona przez którąś ze stron do sądu wyższej instancji. Na prawomocny wyrok poczekamy jeszcze długo.

Podobno obrońcy Kuczmierowskiego zastosowali przewrotną taktykę, aby nie dopuścić do ekstradycji swojego klienta. Ponieważ nie mają żadnych rzeczowych argumentów, twierdzą, że oskarżenie ma charakter polityczny, a sędziowie w Polsce są upolitycznieni. Dowodem na to mają być… neosędziowie. Zgodnie z orzeczeniami Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej powołani przez uzależnioną politycznie Krajową Radę Sądownictwa sędziowie nie dają gwarancji bezstronności, a składy orzekające z ich udziałem nie są sądem w rozumieniu prawa UE. Wyciąganie kwestii neosędziów jest wyjątkowo bezczelne, bo przecież tacy prawnicy to wytwór PiS, czyli zaplecza politycznego Kuczmierowskiego, a politycy partii Jarosława Kaczyńskiego sabotują wszelkie projekty obecnego rządu zmierzające do przywrócenia praworządności. Ciekawe, czy londyński sąd nabierze się na takie sztuczki.

Andrzej Sikorski



eprasa.pl 1f84aa2a4f



Z Galicji Jan Widacki

Nasza delikatność

Można na powitanie kanclerza Niemiec odśpiewać „Rotę", a zwrotkę „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz" nawet w przekładzie niemieckim. Można w Nowym Targu przywitać delegację z partnerskiego miasta słowackiego, np. Kieżmarku, wykonując widniejący do niedawna na stronie internetowej starostwa „Hymn Podhala" ze zwrotką „Nie damy Popradowej fali, Spisza z Orawą, z praojców sławą", a nawet postraszyć gości dalszą zwrotką: „W Dunaju Chrobry bił granice, pójdziem na znoje, po ziemie swoje". Można wreszcie, witając prezydenta Ukrainy, wręczyć mu książkę o zbrodniach ukraińskich na Wołyniu. Pewnie, że można. Byłby to afront? No chyba nie ma wątpliwości, że by był. Ale co, oprócz zademonstrowania chamstwa i wyrządzenia afrontu, można w ten sposób osiągnąć? Gdyby to miało prowadzić do jakiegoś pożytecznego celu, można by przeboleć nawet chamstwo. Jaki byłby jednak cel takiego afrontu? Co pożytecznego miałoby z niego wyniknąć? Sama przyjemność, że można go wyrządzić? Przełamanie kompleksu i pokazanie, że z nikim i z niczym się nie liczymy i stać nas na takie kabotyńskie gesty?

Gdy mam do załatwienia coś z sąsiadem, to nie idę do niego i nie rozpoczynam konwersacji od stwierdzenia: twoja prababka była k… a pradziadek złodziejem, choćbym informacje o prababce i pradziadku sąsiada posiadał z najbardziej wiarygodnego źródła. Nawet gdyby ofiarą tej strasznej pary pradziadków sąsiada padł w młodości, przed blisko stuleciem, mój pradziadek.

Polityka to – jak wyjaśnia słownik języka polskiego – „zręczne i układne działanie podjęte w celu osiągnięcia określonych zamierzeń". Co zatem sądzić o „polityce", która posługuje się takimi afrontami? Nie jest to ani zręczne, ani układne, na ogół też nie prowadzi do osiągnięcia określonych zamierzeń. Z reguły przeciwnie. To nie polityka zatem, tylko jej zaprzeczenie. Sposób na nieosiąganie zamierzonego celu.

To normalne, że te same zdarzenia są odmiennie oceniane przez dwa sąsiadujące państwa. Anglikom Trafalgar czy Waterloo kojarzą się ze zwycięstwem i napawają ich dumą. Francuzi mają tu akurat zupełnie przeciwstawne odczucia.

Gdy w 1992 r. przyjechałem do Wilna, ze zdumieniem stwierdziłem, że wileńska Armia Krajowa, która nam kojarzy się przede wszystkim z operacją „Ostra Brama" – udziałem w wyzwoleniu Wilna spod niemieckiej okupacji – Litwinom kojarzy się zgoła inaczej. Z wymordowaniem przez brygadę „Łupaszki" kobiet i dzieci we wsi Dubinki i z licznymi aktami terroru, którego ofiarami padli litewscy cywile. Dla nas bohaterowie, dla Litwinów bandyci i terroryści. Jak uzgodnić te stanowiska?

A w tym przypadku był to spór nie tylko o historię, lecz także o przyszłość żyjących jeszcze na Wileńszczyźnie weteranów Armii Krajowej, obywateli litewskich. O ich prawo do zrzeszania się, o możliwość uznania ich kombatanctwa, o zorganizowanie dla nich pomocy socjalnej, bo wielu z uwagi na wiek, stan zdrowia i sytuację materialną takiej pomocy wymagało. Chodziło wreszcie o możliwość nadania im polskich odznaczeń, które otrzymywali ich koledzy weterani AK w Polsce. Chciano też uhonorować i upamiętnić zmarłych i poległych na ziemi wileńskiej żołnierzy AK oraz ich czyn zbrojny.

Trzeba było Litwinów przekonać, że AK na Wileńszczyźnie to nie tylko haniebny mord w Dubinkach i nie tylko akty terroru wymierzone w ludność litewską, ale przede wszystkim zbrojna walka z hitlerowskim okupantem. Na koszt państwa polskiego zaopatrzono wszystkie duże biblioteki litewskie, w tym wszystkie akademickie, w dobrany zestaw literatury dotyczącej Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Trzeba pamiętać, że w tym czasie większość litewskich elit znała co najmniej biernie język polski. Sfinansowano wydanie na Litwie, w języku litewskim, zbioru kilku prac o Armii Krajowej na Wileńszczyźnie („Kai kurie istorinės tiesos faktai", Vilnius 1993). Ambasador, zabierając ze sobą przedstawicieli litewskich władz, na Wszystkich Świętych składał wieńce i palił znicze na grobach pomordowanych przez Litwinów Polaków w Glinciszkach i na grobach Litwinów pomordowanych przez V Brygadę AK „Łupaszki" w Dubinkach.

Nie ustawano w działaniach dyplomatycznych, ale dyskretnych. Przyniosło to efekt. Klub Weteranów AK na Litwie został zarejestrowany, groby żołnierzy AK (łącznie z kwaterą na wileńskiej Rossie) zostały uporządkowane. W 2004 r. pod patronatem prezydenta Adamkusa doszło do symbolicznego spotkania i pojednania dawnych wrogów: ostatnich żyjących weteranów AK i weteranów litewskiego korpusu gen. Plechavičiusa. Da się? ■

To normalne, że te same zdarzenia są odmiennie oceniane przez dwa sąsiadujące państwa.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Finansowa samowola w ochronie zdrowia

Bez rozmowy o rzeczywistych kosztach niczego nie naprawimy

Beata Igielska

– Codziennie odbieram telefony: przyjmij go, czeka na SOR, da się skrócić czas oczekiwania? To jest powszechne działanie – opowiada znajomy dyrektor szpitala. Gdy go pytam, ile „Szpitali Południowych" jest w Polsce, bez wahania odpowiada: wszystkie. Po PRL załatwianie po znajomości mamy w DNA. Szukamy po sąsiadach, babciach, ciotkach. Pytamy, czy ktoś kogoś zna, czy może do kogoś zadzwonić. Nie zastanawiamy się, że to niewłaściwe i niedobre dla systemu, czytaj: niekorzystne dla nas wszystkich.

Afera w Warszawskim Szpitalu Południowym pokazała więc to, co wie każdy dorosły Polak – że w ochronie zdrowia przenikają się systemy prywatne i państwowe i że zarobki lekarzy są zastanawiające. To były dwa narodowe trupy w szafie – kiedy nagle wypadły, jest słuszne oburzenie, mimo że niemal każdy z nas, a politycy różnych partii w szczególności, chce mieć swój salonik VIP.

Przypomnijmy wspomniany skandal: Dawid Kacprzyk, 29-letni radny KO, lekarz z Warszawskiego Szpitala Południowego, w ciągu roku wypracował łącznie prawie 4 tys. godzin, czyli po 12-14 godzin na dobę przez 365 dni w roku. Oprócz tego sprawował funkcję radnego oraz bywał w mediach.

W Sosnowcu jeden z chirurgów przepracował na umowie cywilnoprawnej łącznie ponad 4,8 tys. godzin. 14 godzin pracy dziennie, 420 miesięcznie. Na tym samym oddziale pięciu pracowników na umowie o pracę przepracowało łącznie 4587 godzin w roku. Jak chirurg funkcjonował? Jak leczył i kiedy odpoczywał?

Klinika Otolaryngologii, Chirurgii Głowy i Szyi w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym WUM przeszła dwukrotną kontrolę za nieprzestrzeganie kolejek. Za pierwszym razem kara wyniosła 50 tys. zł, za drugim – prawie 300 tys. zł. Znaczy to, że między kontrolami nic się nie zmieniło. Opłaca się placówce zapłacić z naszych podatków karę i nadal kilku lekarzy może tłuc prywatnie pieniądze, załatwiając szybsze przyjęcie do kliniki.

Z kolei szpital w Tomaszowie Lubelskim ma 5,2 mln zł straty po pierwszym kwartale. Dyrektor Dariusz Gałecki, który jest jednocześnie radnym powiatu z PiS, ostrzega przed pogorszeniem sytuacji. A z jego oświadczenia majątkowego wynika, że w ubiegłym roku zarobił w tym szpitalu 864 tys. zł brutto.

Lata zaniedbań

To rządzący mają w rękach instrumenty, które mogą spowodować, że dostępność procedur medycznych dla Kowalskiego się zwiększy, ale od lat niewiele robią w tym kierunku. Nie mamy nawet pełnej wiedzy, ile zarabiają polscy lekarze. Bartosz Fiałek, reumatolog, menedżer ochrony zdrowia, opublikował w mediach społecznościowych zestawienie, z którego wynika, że w większości krajów Europy lekarze specjaliści zatrudnieni na etacie zarabiają od trzech do pięciu średnich krajowych, a samozatrudnieni najczęściej od pięciu do siedmiu średnich krajowych. Są wyjątki, szczególnie w krajach skandynawskich, ale tam również średnia krajowa jest bardzo wysoka. Z kolei w biedniejszych państwach, np. na Węgrzech, relacja wynagrodzenia lekarza do średniej krajowej pozostaje wysoka. „10-krotność lub więcej średniej krajowej nie jest europejską normą. To kolejny obszar, który wymaga uporządkowania", stwierdza Fiałek we wpisie.

Podobnych przemyśleń algorytm w ostatnim czasie podsunął mi kilka. To znak, że do części środowiska lekarskiego zaczyna docierać, że są w sytuacji uprzywilejowanej w stosunku do kolegów z Zachodu. A straszenie, że będą wyjeżdżać za granicę, jest zwykłym szantażem. Aby to sprawdzić, poprosiłam Naczelną Izbę Lekarską o statystyki wyjazdów zagranicznych z ostatnich czterech lat, z rozbiciem na staże i stypendia, czyli na rozwój, oraz na wyjazdy „za pracą". Odpowiedziano, że nikt nie gromadzi takich statystyk. Dość to osobliwe.

Z kolei zestawienia Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji dają obraz zarobków z jednego miejsca pracy – i dowiadujemy się, że aż 560 lekarzy wyciąga powyżej 1 mln zł rocznie! A takich miejsc lekarz ma czasem pięć. Szacuje się, że zarabiających powyżej 100 tys. zł miesięcznie może być w systemie ok. 10%. Zważywszy na fakt, że według danych GUS w minionym roku liczba lekarzy czynnych wyniosła 141,2 tys., a prawo do wykonywania zawodu miało 166,5 tys. medyków, 10% to całkiem niezła armia. W grudniu 2025 r. liczba lekarzy pracujących z pacjentem wzrosła o 3773. Zwiększyła się także liczba lekarzy przypadających na 10 tys. mieszkańców – z 36,5 w 2023 r. do 37,7. Średnia unijna wynosi 40-42 lekarzy na 10 tys. mieszkańców.

eprasa.pl 1f84aa2a4f



Nie należy jednak bezpośrednio przekładać liczby lekarzy na sprawne działanie ochrony zdrowia. Są bowiem kraje, np. Japonia, gdzie na 1 tys. mieszkańców przypada 2,4 lekarza i system działa sprawnie, a są i takie jak Grecja, gdzie na 1 tys. mieszkańców przypada 5,9 lekarza, a system działa bardzo źle.

Próbujesz zabrać, co dałeś – to nie takie proste

Dr n. med. i n. o zdr. Maria Libura, członkini Rady Ekspertów przy Rzeczniku Praw Pacjenta oraz Polskiej Sieci Ekonomii, podkreśla, że wszystkie państwa regulują zarobki lekarzy, a jak nie państwa, to ubezpieczyciele lub pracodawcy – tak jest w Stanach Zjednoczonych.

– Problemem są nie tylko bardzo wysokie stawki w części kontraktów, ale też duże różnice między specjalizacjami, regionami i formami zatrudnienia. Dochodzi do paradoksów – czasem praca wysoko wykwalifikowanego specjalisty na oddziale klinicznym, gdzie trafiają skomplikowane przypadki, jest tańsza w przeliczeniu na godzinę niż dyżur w szpitalu powiatowym – zwraca uwagę Maria Libura.

Owszem, lekarze powinni zarabiać dobrze, adekwatnie do odpowiedzialności, kompetencji i trudności pracy. Ale publiczny system musi mieć narzędzia, by wynagrodzenia kształtować. – Wiemy z badań i doświadczeń innych państw rozwiniętych, że rynek zdrowia sam się nie ureguluje. Nie jest dobrze, gdy lekarz jednej specjalizacji zarabia dużo gorzej niż lekarz drugiej, gdy ten na etacie zarabia gorzej niż ten na kontrakcie. A kominy płacowe powodują, że na studia lekarskie decydują się częściej osoby motywowane głównie finansowo. To jest ich nieszczęście, bo lekarz to bardzo ciężki zawód. Jeżeli ich główną motywacją są pieniądze, nie lubią tego, co robią, bardzo szybko się wypalą – wskazuje dr Libura.

Te spostrzeżenia potwierdzają cytaty z zamkniętych forów rezydenckich: „Powołanie? Jakie powołanie? Ja tu przyszłam zarabiać". „Jaka chora dyskusja o kasie. Muszę mieć na siłkę".

Dr Libura: – Oczywiście lekarze powinni zarabiać powyżej średniej krajowej. Ale pytanie, ile więcej. Na pewno nie 10-krotność. Ta granica jest też ważna dla uczciwości, prawości, wspólności moralnej tego zawodu.

– Lekarze milionerzy prywatyzują zyski, a uspołeczniają straty, na czym traci cały system ochrony zdrowia – dodaje dr Łukasz Połowczyk, filozof, etyk.

Współbrzmią te głosy z wymową audycji w Radiu 357, kiedy to przedstawicielka rezydentów powiedziała: „Niech pierwszy uderzy w stół ten, który ma czyste sumienie". Czytaj: obywatel musi się pogodzić z tym, że niektórzy lekarze będą naciągać system.

– Byłem gościem tej audycji i zaskoczył mnie jej wydźwięk – mówi dr n. o zdr. Tomasz Kopiec, dyrektor SPSK im. prof. W. Orłowskiego CMKP w Warszawie. – Usłyszałem, że za wysokie stawki lekarzy odpowiadają dyrektorzy, bo podpisują takie umowy. Ale dyrektor musi zapewnić realizację kontraktu z NFZ i ciągłość świadczeń. Jeżeli specjalistów brakuje, a ich oczekiwania finansowe stale rosną, pole manewru jest bardzo ograniczone. Opowieści o powszechnie niskich zarobkach lekarzy coraz częściej rozmijają się z tym, co obserwujemy na rynku pracy.

Na kursie kolizyjnym

Jasne, że nie należy antagonizować lekarzy i pacjentów. Lekarz to zawód zaufania publicznego i jego status powinien wreszcie zostać tak uregulowany, żeby móc pełnić tę funkcję. – Rola lekarza przedsiębiorcy jest na kursie kolizyjnym z ideą zawodu zaufania publicznego. Te światy rządzą się innymi regułami. W biznesie cenimy ryzyko. W medycynie cenimy standard i wiedzę. Mają więc w wielu punktach różne kodeksy moralne, inne zobowiązania. Powinniśmy powoli doprowadzić do sytuacji, w której system ochrony zdrowia będzie oparty przede wszystkim na idei *not for profit.* Ludzie w nim zatrudnieni będą zarabiać dobrze, czyli np. cztery średnie krajowe, a nie 10 średnich krajowych. W Skandynawii utrzymano etat jako podstawową formę zatrudnienia, co ułatwia nie tylko kontrolę kosztów, ale też zapewnienie jakości świadczeń – mówi Maria Libura.

Pytam ekspertkę, czy skoro wykształcenie lekarza kosztuje

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

eprasa.pl 1f84aa2a4f

podatników pół miliona złotych, to państwo powinno mieć prawo tym kapitałem ludzkim zarządzać, np. wysłać młodych ludzi na Opolszczyznę, gdzie od lat brakuje lekarzy.

– Trzeba by uwzględnić sytuację osobistą, żeby długo trwająca rezydentura nie była zesłaniem. A przede wszystkim należałoby uregulować dodatkowe zarobkowanie rezydentów. W niektórych krajach europejskich, ale i w Stanach Zjednoczonych, ogranicza się czas pracy rezydentów, zakładając, że mają się uczyć. Ustawa o minimalnym wynagrodzeniu miała służyć właśnie temu, żeby ucząc się, nie byli pokrzywdzeni. Mieliby zapewniony dzięki niej całkiem rozsądny zarobek. Ale zostawiono furtki, które premiują omijanie systemu. Bardzo trudno zabrać ludziom to, co raz zostało dane – odpowiada dr Libura.

Państwo się dowie tego, co już dawno wie: że niektóre procedury są przepłacane. I że mamy problem z obsadzeniem oddziałów, ponieważ zostały jako jedyne w regionie, są ciężkimi miejscami pracy i nikt tam nie chce pracować.

Jak naprawić system wynagradzania lekarzy?

Po pierwsze, zmienić wycenę świadczeń – kardiologia inwazyjna, okulistyka są bardzo dobrze wycenione, ale już najbardziej potrzebna pacjentom interna – jest wyceniona źle. Chodzi nie o to, by stały się deficytowe, ale by miały inną marżę zysku. Warto jednak pamiętać, że nawet jeśli obniżymy wyceny dziedzin teraz dobrze wycenionych, najprawdopodobniej z tych oszczędności nie wystarczy funduszy na procedury słabo wycenione. Wyceny te są niskie, bo interna czy chirurgia ogólna, w przeciwieństwie do świadczeń dla relatywnie wąskich grup, dotyczą bardzo wielu pacjentów. Nie ma więc wyjścia, trzeba podnieść nakłady na system ochrony zdrowia.

Po drugie, ktoś musi być w końcu odpowiedzialny za bezpieczeństwo pacjentów i dostępność świadczeń. Na słynnym SOR w Bielsku-Białej nikt nie chce pracować mimo wysokich stawek. – Zamknięto szpitalne oddziały ratunkowe w najbliższej okolicy i tam dyżur jest jak misja na wojnie w Wietnamie. Trzeba by się zastanowić, jak poprawić jakość pracy: czy zwiększyć obsady, czy otworzyć inny SOR na tym terenie – mówi dr Libura.

Po trzecie, trzeba ograniczyć arbitraż podatkowy, czyli duże różnice w obciążeniach podatkowych i składkowych pomiędzy jednoosobową działalnością gospodarczą i umową o pracę.

Po czwarte, musimy odchodzić od płatności za procedury na rzecz opieki koordynowanej i płatności pakietowych za powiązane ze sobą świadczenia, które tworzą logiczną i spójną ścieżkę pacjenta.

– Nie można także stosować identycznych kryteriów wobec placówki akademickiej, zlokalizowanej w dużej aglomeracji miejskiej, i wobec szpitala funkcjonującego w małym mieście. Takie podejście nie uwzględnia realiów kadrowych i demograficznych poszczególnych regionów – zauważa Tomasz Kopiec. – Szpitale powiatowe powinny przede wszystkim zabezpieczać podstawowe potrzeby zdrowotne lokalnych społeczności, dysponować odpowiednim zapleczem diagnostycznym i kadrą zdolną do oceny pacjenta oraz kierowania go do określonego ośrodka o wyższym stopniu referencyjności, gdy wymaga tego jego stan zdrowia.

Niezbędne jest również uporządkowanie relacji pomiędzy sektorem publicznym i prywatnym. Dziś część prywatnych podmiotów koncentruje się na wybranych, dobrze wycenianych procedurach, np. w dziedzinie neurologii, neurochirurgii, ortopedii, nie ponosząc jednocześnie kosztów utrzymywania SOR, oddziałów intensywnej terapii czy całodobowego zabezpieczenia wielospecjalistycznego. W przypadku powikłań pacjenci trafiają do szpitali publicznych, które przejmują odpowiedzialność za dalsze leczenie.

– Potrzebna jest szersza dyskusja o kosztach funkcjonowania ochrony zdrowia. Analizie powinny podlegać także usługi zewnętrzne i catering czy ceny produktów i usług dostarczanych szpitalom – uzupełnia Tomasz Kopiec.

Świadczenia finansowane ze środków publicznych nie mogą stawać się dobrem luksusowym, dostępnym wyłącznie dla wybranych. A przykład Warszawskiego Szpitala Południowego potwierdził, że publiczne szpitale pozostają fundamentem systemu ochrony zdrowia. Nawet pacjenci, których stać na leczenie prywatne, w najtrudniejszych sytuacjach oczekują dostępu do wysokospecjalistycznej opieki zapewnianej przez sektor publiczny.

Beata Igielska

Czy skoro wykształcenie lekarza kosztuje podatników pół miliona złotych, to państwo powinno mieć prawo tym kapitałem ludzkim zarządzać?

Minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda w wypowiedzi dla „Przeglądu" podkreśla, że wcześniejsze propozycje Ministerstwa Zdrowia dotyczące wynagrodzeń spotkały się ze sprzeciwem strony społecznej (lekarzy) i nie udało się wypracować konsensusu. Fundamentalnym problemem jest brak wiarygodnych danych o kosztach zatrudnienia personelu medycznego.

– Uchwalone w ostatnim czasie przez Sejm przepisy pozwolą prowadzić AOTMiT analizy na podstawie numeru PESEL lub numeru prawa wykonywania zawodu, łącząc dane o zatrudnieniu tej samej osoby w różnych podmiotach. Po raz pierwszy uzyskamy pełniejszy obraz rzeczywistych kosztów w systemie, co przełoży się na bardziej wiarygodną wycenę procedur finansowanych przez NFZ – podsumowuje Jolanta Sobierańska-Grenda.

Inne zdanie na temat wspomnianych przepisów ma Maria Libura. – Jaki sens ma zbieranie danych o zarobkach lekarzy „po PESEL-u"?

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Artyści i arywiści

Kim są artyści – mniej więcej wiadomo. A kim arywiści? Słowo arywista, dziś nieco zapomniane, wedle trafnej podpowiedzi AI z popularnej przeglądarki internetowej oznacza „człowieka, który dąży do zrobienia kariery za wszelką cenę, często nie licząc się z innymi i nie przebierając w środkach. Słowo to jest synonimem karierowicza i dorobkiewicza". Konflikt pomiędzy artystami i arywistami jest stary. Po jednej stronie stoją bogacze ubodzy duchem, po drugiej ubodzy materialnie, lecz bogaci duchowo wrażliwcy. Zatem nic nowego. A jednak w ostatniej burzy medialnej związanej z projektem pomocy artystom w zabezpieczeniu ich bytu zaskakuje mnie skala pogardy wobec artystów.

Wydawało się, że po latach edukacji szkolnej i uniwersyteckiej, budowania muzeów, chwalenia się poetami i pisarzami uwagi bogatego filistra na temat artystów nie mają szans na zdobycie popularności. Tymczasem to on triumfuje. Co się stało? Głupiejemy. Obserwujemy niebywały regres w skali całej kultury zachodniej. Wydawało się, że nie cofniemy się już do epoki, w której genialni artyści przymierali głodem, a ich profesja była hurtowo zaliczana do niskich, podejrzanych moralnie i bezwartościowych. Albowiem wydawało się, że nie powrócą już czasy dzikiego, prostackiego, chamskiego kapitalizmu. Ale powróciły. A wraz z nimi powrócił bogaty prostak. Wie dobrze, że jego bzdurna gadanina o bezwartościowości sztuki i artystów trafi dziś na podatny grunt, że mózgi milionów osób, wyprane przez neoliberalny kapitalizm, z radością podchwycą tę starą melodię: tyle jesteś wart, ile możesz ze swego życia materialnie wyciągnąć. Im bogatszy więc jesteś, tym lepszy. Pod każdym względem. To pozwala bogatym chamom z taką bezwstydnością obnosić się ze swoim prostactwem.

I tak oto dochodzi do dzisiejszego triumfu arywistów: dorobkiewiczów i karierowiczów, którzy dumni ze swego cwaniactwa patrzą na artystów z góry. Wszak ci z reguły nie chcą przekuwać swojego talentu na jedyną rzecz, która naprawdę dziś się liczy: na pieniądze. Dlatego są nieprzydatni, bezwartościowi i niepraktyczni. A przecież wszystko musi być dziś praktyczne, tzn. znaleźć nieomal natychmiastowe zastosowanie w życiu pojmowanym jako walka o coraz większy zysk. W tym kontekście charakterystyczne jest zdawanie sprawy z osiągnięć naukowych w mediach. Zawsze wskazuje się jakiś praktyczny rezultat danych badań. Dziennikarze wyliczają, co też dane odkrycie naukowe może przynieść dobrego w kategoriach namacalnych i mierzalnych.

To podejście jest znakiem charakterystycznym naszej kultury, która mniej więcej od XVIII w. jest owładnięta obsesją korzyści życiowych pojmowanych jako wzrost bogactwa lub przynajmniej wygody. Ma to ścisły związek z narodzinami kapitalizmu. Wszystko to stanowiło istotną nowość na tle dziejów kultury zachodniej. Jej podejście do nauki wyznaczał bowiem przez wieki starożytny ideał grecki poznania jako bezinteresownego kontemplowania bytu. Tyleż mniej więcej oznaczało greckie *theorein*, od którego pochodzi słowo teoria. Skądinąd jeszcze pod koniec XIX w. wykształcenie dżentelmena polegało przede wszystkim na znajomości łaciny i greki oraz studiowaniu filozofów starożytności. Czysta koncentracja na bogactwie była czymś wstydliwym i nieraz ukrywanym, manifestowane zaś były cnoty moralne (jak skromność) oraz klasyczne wykształcenie. Gardzono postaciami dziś stawianymi za wzór, a czasami wybieranymi na istotne urzędy państwowe: bogatymi i zadufanymi w sobie prymitywami.

Obserwujemy niebywały regres w skali całej kultury zachodniej.

Wspomniana obsesja praktyczności stopniowo degraduje kulturę zachodnią, pozbawia ją głębszych sensów, trywializuje. Odbija się to na pozycji artystów czy naukowców uprawiających tak niepraktyczne z punktu widzenia kapitalizmu dziedziny wiedzy jak filozofia, muzykologia bądź literaturoznawstwo. Tymczasem dla tego, co najważniejsze i w kulturze, i w ludzkim życiu, nie ma zajęć szlachetniejszych i ważniejszych niż te pogardzane przez prostackiego filistra. W tej perspektywie napisanie jednego pięknego wiersza, wspaniałej powieści, skomponowanie znakomitej muzyki czy namalowanie ciekawego obrazu jest sto razy cenniejsze niż dokonanie najbardziej wyrafinowanej operacji finansowej. Miliony zgromadzone na koncie są nic niewarte w obliczu tego, co niesie sztuka czy filozofia.

Jest zatem dokładnie odwrotnie, niż to próbuje nam wmówić zadowolony z siebie mieszczuch, bogaty prostak i bezwstydny cham, a wraz z nim tysiące jego wielbicieli tęskniących za światem bez artystów czy filozofów. To oni są żałośni i godni litości, nie artyści. Ci mogą chodzić z podniesionym czołem. Podobnie jak filozofowie i naukowcy z dziedzin uznawanych za niepraktyczne. Wybrali najlepszy sposób ludzkiego bytowania – poszukiwanie prawdy, piękna i sensu. Tylko temu warto poświęcić życie. Może jeszcze pomocy innym. Na pewno nie zarabianiu pieniędzy dla samych pieniędzy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Polska zbrojeniówka: partner czy klient?

Co kryje się za kontraktami zbrojeniowymi?

Marek Czarkowski



Zajęcia pokazowe z wykorzystaniem amunicji krążącej Warmate. Kijewo koło Torunia, 3 października 2024 r.

Podczas wielu edycji Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach prezesi polskich firm zbrojeniowych w świetle fleszy, przy fanfarach i kieliszkach ściskali dłonie zagranicznych partnerów, podpisywali memoranda, listy intencyjne i „strategiczne partnerstwa". Decyzje, które wówczas zapadały – mówiąc delikatnie – nie budziły zachwytu. Miliardy dolarów za gotowy sprzęt kupiony przez Wojsko Polskie wypływały za granicę, a polskie fabryki dostawały resztki z pańskiego stołu albo nie dostawały niczego.

W ostatnich latach polski przemysł obronny rozpięty był między dwoma biegunami – od spektakularnych sukcesów, głównie jednej prywatnej firmy, do równie spektakularnych porażek, które miały silny zapaszek polityczny.

W 2022 r., po ataku Rosji na Ukrainę, Ministerstwo Obrony Narodowej ruszyło na zakupy. Wszak trzeba było uzupełnić magazyny po przekazaniu Kijowowi (w postaci darowizny) 48 pakietów pomocy wojskowej o łącznej wartości przekraczającej 4,2 mld euro, czyli ponad 18 mld zł. W tym: 350 czołgów, 400 bojowych wozów piechoty BWP-1, 100 kołowych transporterów opancerzonych Rosomak, 54 armatohaubic Krab, 14 samolotów myśliwskich MiG-29 i 10-12 śmigłowców szturmowych Mi-24 – by wymienić tylko najważniejsze rodzaje uzbrojenia.

Zbrojeniowe zakupy

Już w lipcu 2022 r. Polska podpisała z Koreą Południową umowy ramowe, które obejmowały dostawę około tysiąca czołgów K2 Black Panther, produkowanych przez Hyundai Rotem, 360 haubic K9 z Hanwha Aerospace i 48 samolotów FA-50 z Korea Aerospace Industries. Łącznie kosztowało to równowartość kilkudziesięciu miliardów złotych. Plusem tych umów była rzadko uzyskiwana w przypadku naszego kraju zgoda zagranicznych partnerów na transfer technologii. Koreańczycy zgodzili się na stopniową polonizację czołgów – wariant Black Panther K2PL ma być montowany w zakładach Bumar-Łabędy, haubice K9PL zejdą z linii produkcyjnej Huty Stalowa Wola, a Hanwha wraz z prywatną Grupą WB uruchomi w Polsce produkcję rakiet do wyrzutni Homar-K, czyli polską wersję południowokoreańskiego systemu artylerii rakietowej K239 Chunmoo, będącą odpowiednikiem amerykańskich wyrzutni HIMARS.

Wydawać by się zatem mogło, że odchodzimy od modelu lansowanego głównie przez Amerykanów, czyli kupowania gotowych produktów bez przenoszenia know-how nad Wisłę. Problem w tym, że polonizacja koreańskiego uzbrojenia idzie wolniej, niż zapowiadano. Część komponentów wciąż płynie z Korei, a przedstawiciele krajowego przemysłu obronnego ostrożnie przyznają, że pełne uniezależnienie potrwa lata. Na podobne rozwiązania nie możemy liczyć w przypadku zakupów w Stanach Zjednoczonych. A za ocean popłynęły największe pieniądze.

W marcu br. szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz przy okazji podpisania umów offsetowych do kontraktu na śmigłowce Apache powiedział, że polskie „obecne zobowiązania związane z pożyczkami i zakupami w USA to ponad 200 mld zł". Kwota obejmuje wartość wszystkich głównych umów: na dostawy systemów artylerii rakietowej HIMARS, wyrzutni

eprasa.pl 1f84aa2a4f

rakietowych systemu Patriot, czołgów Abrams, śmigłowców Apache, myśliwców F-35, wyrzutni pocisków rakietowych Javelin itp. Niestety, zakupy te nie przyniosły korzyści polskiej zbrojeniówce.

Co prawda, zakup systemu Patriot obwarowano umowami offsetowymi z koncernami Raytheon i Northrop Grumman, ale już wyrzutnie HIMARS kupiono praktycznie bez offsetu. Najgłośniejszy zgrzyt dotyczył dwóch flagowych zakupów: 250 czołgów Abrams i myśliwców F-35. W obu przypadkach rodzimy przemysł nie dostał w zasadzie żadnego transferu technologii ani realnego udziału w produkcji tych rodzajów uzbrojenia. Przy zakupie F-35 koncern Lockheed Martin proponował Polsce pakiet przemysłowy rzędu 1 mld dol., lecz Ministerstwo Obrony Narodowej wydało negatywną rekomendację, rezygnując z korzyści dla krajowego sektora. W przypadku czołgów Abrams krytycy – w tym ówcześni politycy opozycji – wprost mówili o setkach milionów złotych przepuszczonych obok polskich firm, bo umowy zawarto w trybie międzyrządowym, bez offsetu i bez serwisu w kraju.

Eksperci szacowali, że na polityce zakupów bez offsetu polska zbrojeniówka straciła setki milionów złotych potencjalnych przychodów. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że jesteśmy dziś jednym z największych klientów amerykańskich koncernów zbrojeniowych. Nasi politycy, bez względu na opcje, które reprezentują, dowodzili, że w ten sposób kupowaliśmy sobie bezpieczeństwo, gdyż w razie czego Amerykanie będą nas bronili przed przeciwnikiem ze Wschodu.

Bez przetargu kupiliśmy też w Turcji 24 drony Bayraktar TB2, które w 2022 r. podobno sprawdziły się na ukraińskim froncie, lecz dziś jest o nich głucho. Ich producent, koncern Baykar zarobił na tym ok. 1 mld zł. MON tłumaczyło tryb bezprzetargowy pilną potrzebą operacyjną i wyjątkową skutecznością tureckiego sprzętu. Krytycy wskazywali brak konkurencyjnej procedury, ryzyko uzależnienia od jednego dostawcy oraz pominięcie krajowych bezzałogowców, których Polska sama jest poważnym eksporterem. W tym przypadku chodziło o Grupę WB – największy polski prywatny koncern zbrojeniowy mający korzenie w firmie WB Electronics z Ożarowa Mazowieckiego.

Władysław Kosiniak-Kamysz: Polskie obecne zobowiązania związane z pożyczkami i zakupami w USA to ponad 200 mld zł.

Warto odnotować, że w ostatnich latach doszło do lawinowego wręcz wzrostu wartości eksportu rodzimej zbrojeniówki. Z poziomu 400 mln euro w roku 2020, wartość wyprodukowanego w Polsce i przeznaczonego na eksport uzbrojenia wzrosła do prawie 3,14 mld euro. Lokomotywą stały się produkty Grupy WB: amunicja krążąca Warmate oraz cenione przez ukraińskich wojskowych za odporność na rosyjskie zagłuszanie drony rozpoznawcze FlyEye. Świetnie zaprezentowały się również armatohaubice Krab i ręczne wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych Piorun.

Okazało się, że firmy prywatne, które same tworzyły technologie i rozwijały produkcję, były w stanie odnieść sukces, a tam, gdzie państwo pod presją aktualnych potrzeb politycznych kupowało gotowe uzbrojenie – traciliśmy pieniądze i kompetencje.

Ukraińscy sojusznicy

Wojna w Ukrainie zmieniła wszystko. Głęboką transformację przeszła współpraca polskich i ukraińskich spółek zbrojeniowych – od okazjonalnych dostaw i skromnych kontraktów serwisowych po systematycznie budowaną kooperację przemysłową. Jej filarem są relacje między Polską Grupą Zbrojeniową a ukraińskim państwowym koncernem Ukroboronprom/Ukrainian Defense Industry. Ukraina jest dziś największym klientem polskiej zbrojeniówki oraz potencjalnym współproducentem wnoszącym do partnerstwa świeże doświadczenie bojowe i wiedzę o tym, co naprawdę działa na polu walki. Kooperacja ta obejmuje produkcję artylerii i amunicji oraz systemów bezzałogowych, remonty sprzętu pancernego, obronę przeciwlotniczą i technologie rakietowe. W latach 2025-2026 strony przeszły od memorandów intencyjnych do podpisywania umów i tworzenia spółek joint venture.



Ćwiczenia z dronami w Ośrodku Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Wędrzynie, 5 marca 2026 r.

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS,NEWSLUBUSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Najbardziej znanym kontraktem jest umowa z 2022 r. na dostawę 54 armatohaubic AHS Krab wyprodukowanych przez Hutę Stalowa Wola, spółkę wchodzącą w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W tamtym czasie wartość kontraktu wyniosła 2,7 mld zł, co było kwotą rekordową w historii polskiego przemysłu zbrojeniowego. Umowa obejmowała też dostawę pojazdów dowodzenia oraz wsparcie amunicyjne i techniczne. Konieczność serwisowania Krabów na froncie stała się kolejnym impulsem do poszerzenia współpracy. PGZ uruchomiła na terenie Ukrainy serwis armatohaubic, w tym wymianę luf.

W kwietniu 2023 r. Zakłady Mechaniczne Bumar-Łabędy w Gliwicach utworzyły z PGZ i Ukroboronpromem wspólne centrum technologiczne napraw czołgów rodziny T-64. Prowadzi ono naprawy i przywraca do pełnej sprawności ukraińskie wozy bojowe. Umowa przewiduje również współpracę przy montażu, produkcji i rozbudowie łańcucha dostaw T-64. W tym samym ośrodku remontowane były dostarczone Ukrainie czołgi Leopard 2A4. Pierwsze wyremontowane wozy strona ukraińska odebrała już w październiku 2023 r. Wiele wskazuje na to, że w polskich zakładach remontowane są także przekazane Kijowowi polskie czołgi T-72 i PT-91, które zostały uszkodzone w trakcie walk.

5 kwietnia 2023 r. przy okazji wizyty prezydenta Zełenskiego w Warszawie spółka Mesko wchodząca w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej podpisała porozumienie z ukraińską spółką ARTeM w sprawie wspólnej produkcji amunicji czołgowej kal. 125 mm. Zakładało ono uruchomienie nowych linii produkcyjnych zarówno w Polsce, jak i na terenie Ukrainy, przewidywało transfer technologii oraz udział specjalistów ukraińskich w produkcji pocisków, które miały być przeznaczone wyłącznie dla armii ukraińskiej. Zakłady Mesko cieszą się renomą wśród tamtejszych wojskowych ze względu na produkowane w Skarżysku-Kamiennej zestawy Piorun – rakiety służące do zwalczania nisko lecących celów: śmigłowców i samolotów.

Wiele wskazuje na to, że ukraińskie spółki zdecydowały się umieścić w Polsce produkcję dronów. Na początku stycznia 2025 r. chargé d'affaires w Kijowie Piotr Łukasiewicz w wywiadzie dla ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnia" powiedział: „Polska od dawna współpracuje z Ukrainą w produkcji broni i amunicji, ale ze względów bezpieczeństwa nie ujawnia tej współpracy". Dodał, że obejmuje ona produkcję dronów zastosowania bojowego, remonty czołgów oraz nowe technologie wojskowe, poza tym w Polsce działają bezpośrednio ukraińskie przedsiębiorstwa zbrojeniowe.

W przypadku 250 czołgów Abrams i myśliwców F-35 rodzimy przemysł nie dostał żadnego transferu technologii ani realnego udziału w produkcji.

W mediach można znaleźć informacje, że koncern Ukroboronprom ulokował u nas produkcję dronów dalekiego zasięgu AN-196 Lutyj – uderzeniowych bezzałogowych statków powietrznych o zasięgu do 1 tys. km.

W listopadzie 2024 r. Lutyj został użyty do ataku na rosyjską rafinerię ropy naftowej w Saratowie, ponad 600 km od granicy z Ukrainą. W kwietniu 2026 r. drony te zaatakowały zakłady chemiczne w Sterlitamaku w Baszkirii, w europejskiej części Rosji, powodując pożar na terenie obiektu. W ubiegłym roku czeski „Security Magazyn" podał, że ukraiński przemysł dostarczył armii ok. 6 tys. dronów dalekiego zasięgu, z czego większość stanowiły właśnie AN-196 Lutyj.

Z kolei prywatna spółka Ukrspecsystems ma produkować w Polsce drony RAM-2X. To amunicja krążąca o zasięgu 100-150 km w układzie X-skrzydła, zaprojektowana do precyzyjnych uderzeń na cele opancerzone i dobrze chronione w strefie przyfrontowej oraz na głębokim zapleczu.

Informacje o innych ukraińskich firmach, które produkują u nas uzbrojenie – zwłaszcza drony – od dawna krążą w internecie, lecz zweryfikować je bardzo trudno. Nie jest tajemnicą, że Polska stała się bezpiecznym zapleczem dla ukraińskich sił zbrojnych. To tutaj prowadzone były szkolenia żołnierzy, leczono i nadal się leczy rannych, dostarczamy Ukraińcom produkowaną u nas amunicję, nie tylko artyleryjską, ale też moździerzową i strzelecką, hełmy, kamizelki kuloodporne, smary, gaz ziemny i paliwa. O wymianie danych wywiadowczych oraz kooperacji z centrum NATO-Ukraina (JATEC) w Bydgoszczy nie wspominając.

Trafiłem także na informację, że Amerykanie uruchomili w Polsce specjalną linię wsparcia z szyfrowanymi kanałami łączności obsługiwaną przez kilkudziesięciu żołnierzy US Army. Mają oni wspierać ukraińskich żołnierzy obsługujących wyrzutnie pocisków rakietowych HIMARS oraz inne zachodnie systemy używane przez Ukrainę.

We wrześniu 2025 r. Władysław Kosiniak-Kamysz w czasie wizyty w Kijowie podpisał porozumienie o współpracy sił zbrojnych obu państw w rozwoju programów dronowych. Minister obrony tłumaczył, że chodzi w nim nie o zakupy czy pozyskiwanie systemów, lecz o nabywanie umiejętności przez inżynierów i naukowców obu stron.

Z oczywistych względów trudno oszacować skalę współpracy polsko-ukraińskiej w sferze zbrojeń. Rządowy raport „Polska pomoc Ukrainie 2022-2023" oraz późniejsze aktualizacje mówią, że łączna wartość pomocy wojskowej (sprzęt + szkolenia + serwis + logistyka + medycyna) przekroczyła 18 mld zł. Są też szacunki, że w latach 2022-2026 łączne koszty zaangażowania państwa polskiego wyniosły co najmniej 50-60 mld zł.

Jak będzie dalej? Nie wiadomo, zwłaszcza w kontekście ostatnich wydarzeń na linii Kijów-Warszawa. Informacja, że żołnierze z jednostki im. Bohaterów UPA korzystają z polskiej broni, mogłaby wielu wzburzyć.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Dziewczyny przy decyzyjnych stołach

Przechodzimy od kibicowania kobietom na starcie do budowania ich pozycji jako liderek

Rozmawia Maciej Belowski



DR BIANKA SIWIŃSKA
– naukowczyni, aktywistka i menedżerka

Na otwarciu Perspektywy Women in Tech Summit 2026 padły mocne słowa: „Jesteśmy masą krytyczną potrzebną do wywołania reakcji łańcuchowej". Czy ten punkt zwrotny w nauce właśnie nastąpił?

– Myślę, że jesteśmy w bardzo szczególnym momencie: masa krytyczna już się wytworzyła, ale reakcja łańcuchowa musi być teraz mądrze podtrzymana. Tysiące osób podczas konferencji to dowód, że temat kobiet w technologiach przestał być niszowy, nie jest społeczną ciekawostką czy egzotycznym dodatkiem, który dobrze wygląda w raportach. Ta skala pokazuje, że zjawiska nie da się już zepchnąć na margines. Dla mnie ta „masa krytyczna" oznacza moment, w którym pojedyncze historie zaczynają się łączyć w jedną globalną siłę. Jedna dziewczyna na politechnice może być traktowana jak wyjątek, ale tysiące kobiet rozmawiających w jednym miejscu o AI, energetyce jądrowej, kosmosie czy cyberbezpieczeństwie – to już jest realna zmiana społeczna. Ta widoczność przełamuje dotychczasowe poczucie osamotnienia, które przez lata towarzyszyło kobietom wchodzącym do świata nauk ścisłych.

Co w takim razie stoi na przeszkodzie ogłoszeniu sukcesu?

– Byłabym ostrożna z ogłaszaniem „ostatecznego zwycięstwa". Punkt zwrotny w nauce i technologii zaczyna się wtedy, gdy zmieniają się wyobraźnia społeczna, język instytucji, ambicje młodych ludzi i oczekiwania wobec rynku pracy. To już się dzieje. Coraz trudniej otoczeniu powiedzieć dziewczynom „to nie dla was", a firmom ignorować brak kobiet na stanowiskach decyzyjnych. Przekroczyliśmy ważny próg, ale teraz kluczowe jest pytanie: gdzie te kobiety będą za 5, 10, 15 lat? Prawdziwym sukcesem będzie sytuacja, w której wejście do branży przełoży się na trwałą obecność na szczycie. Zadaniem systemu jest otworzyć przed nimi realne ścieżki wpływu, awansu, decyzyjności i przywództwa, zamiast oferować jedynie pozycje startowe.

Wróćmy na chwilę do przeszłości. Flagowa akcja „Dziewczyny na Politechniki!" trwa od kilkunastu lat. Co w tym czasie zmieniło się na uczelniach?

– Zmieniła się przede wszystkim norma. Kiedy zaczynaliśmy, obecność kobiet na wielu kierunkach technicznych była traktowana jak osobliwość, z którą nie do końca wiadomo, jak należy się obchodzić. Dziś kobiety są częścią strategii rekrutacyjnych, kół naukowych czy programów mentoringowych. Uczelnie zrozumiały, że różnorodność nie jest dodatkiem wizerunkowym, ale warunkiem jakości nauki i innowacji. Wydziały, które dawniej były całkowicie zdominowane przez jedną płeć, dziś aktywnie rywalizują o utalentowane studentki, dostrzegając w nich ogromny potencjał rozwojowy.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 1f84aa2a4f

A jak reaguje na to środowisko, do niedawna typowo męskie?

– Młodsze pokolenia mężczyzn są już dużo bardziej oswojone z obecnością kobiet w laboratoriach i projektach. Partnerstwo w zespołach badawczych staje się dla nich codziennością, a nie powodem do zdziwienia. Kiedyś trzeba było pokazać dziewczynom, że mają prawo wejść do świata technologii i nauk ścisłych. Dziś musimy zadbać o to, żeby były obecne na wszystkich poziomach: od studentek po ministry. W czerwcu odbyła się druga edycja European Summit of Women Leaders in Science and Technology i widzimy, jak proces ewoluował od ubiegłorocznych deklaracji do konkretnych inicjatyw i budowania agendy wpływu dla ponad 100 liderek z całego świata. Przechodzimy od kibicowania kobietom na starcie do systemowego zabezpieczania ich pozycji liderek.

W ciężkich sektorach, energetyce czy atomie, na najwyższych stanowiskach mamy zaledwie kilka procent kobiet. Gdzie jest główny hamulec?

– Hamulec jest podwójny. Samo przełamywanie stereotypów w mentalności już nie wystarcza. Dziewczyny można zachęcić do studiów, ale jeżeli struktury awansu i oceny kompetencji pozostają niejasne, na szczycie hierarchii wciąż będą dominować mężczyźni.

Chodzi o specyfikę tych konkretnych branż?

– W energetyce, atomie czy cyberbezpieczeństwie problem jest szczególnie widoczny, bo to obszary historycznie budowane wokół męskich sieci zawodowych, gdzie decyzje często zapadają w nieformalnych kręgach zaufania. To hermetyczne środowiska, do których trudno wejść bez odpowiedniego kapitału relacyjnego. Kobiety muszą mieć dostęp do kapitału społecznego, projektów strategicznych oraz przy projektach decydujących o fizycznym bezpieczeństwie kraju.

Chcecie odczarować mit, że kobiety w techu to tylko programistki?

– Chcemy jasno pokazać, że kobiety w techu to nie tylko specjalistki w software house'ach. To także konstruktorki, badaczki, fizyczki, ekspertki od cyberbezpieczeństwa, osoby budujące satelity i systemy energetyczne. Właśnie tam potrzebujemy dzisiaj ich kompetencji.

Podczas poprzednich edycji konferencji politycy byli niezwykle widoczni – zdominowali wręcz jej otwarcie. W tym roku postawiliście na hasło „Unleash New Energy" (Uwolnij nową energię) i czystą merytorykę. Skąd ta zmiana?

– Summit dojrzewa razem z rzeczywistością. W tym roku świadomie chcieliśmy oddać centrum sceny ludziom technologii, nauki, edukacji i innowacji. To oni powinni nadawać ton dyskusji o wyzwaniach przyszłości. Hasło „Unleash New Energy" oddaje potrzebę uruchomienia nowej energii: eksperckiej, kobiecej, międzysektorowej i międzypokoleniowej.

Czy to oznacza, że klasyczna polityka zaczęła nauce ciążyć?

– Polityka oczywiście jest ważna, bo bez decyzji publicznych nie da się budować dobrego systemu. Chcieliśmy jednak uniknąć sytuacji, w której wydarzenie zostaje zdominowane przez oficjalne wystąpienia polityków, przemówienia pełne pozytywnych ogólników, które rzadko przekładają się na praktykę. Zależało nam na nadaniu otwarciu konferencji merytorycznego i energetycznego wymiaru. Nie uciekamy od polityki, ale centrum summitu stanowią osoby, które codziennie tworzą technologię, prowadzą badania i realnie przesuwają granice możliwego.

Ta mniejsza ekspozycja polityków oznacza, że chcecie aktywnie współtworzyć agendę dla rynku pracy, zamiast słuchać obietnic zza ministerialnych biurek?

– Fundacja Edukacyjna „Perspektywy" od lat stara się być głosem eksperckim i bardzo praktycznym. Nie chcemy dyktować warunków w sensie politycznym, chcemy jednak bardzo stanowczo współtworzyć agendę rozwoju kompetencji i rynku pracy. Skoro od lat budujemy programy mentoringowe, raporty i sieci współpracy, to mamy prawo mówić: wiemy, co realnie działa, a co jest tylko dobrze brzmiącą deklaracją.

Skąd czerpiecie tę pewność?

– Nasza niezależność polega na tym, że możemy łączyć różne środowiska i zadawać trudne pytania: firmom o awanse, uczelniom o rekrutację, państwu o finansowanie nauki, a w końcu sobie samym – czy metody wypracowane 20 lat temu nadal są skuteczne? Świat pędzi

Temat kobiet w technologiach przestał być społeczną ciekawostką czy egzotycznym dodatkiem, który dobrze wygląda w raportach.

Dr Bianka Siwińska – prezeska Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy". Jej działalność i inicjatywy od lat rewolucjonizują obecność kobiet w sektorze STEM (ang. Science, Technology, Engineering, Mathematics – nauki przyrodnicze, technologie, inżynieria i matematyka). Pomysłodawczyni Perspektywy Women in Tech Summit – największej tego typu imprezy naukowej w Europie i Azji, która odbyła się 10 i 11 czerwca w Warszawie.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

naprzód, a rynek pracy zmienia się dynamicznie, więc nasze narzędzia również muszą przechodzić ciągłą ewolucję.

Wasza konferencja jawi się jako globalne centrum przyciągania talentów. Polska staje się hubem STEM czy jednak wciąż mamy problem z zatrzymywaniem tych najlepszych?

– Polska ma ogromny potencjał, aby stać się ważnym europejskim zbiorowiskiem talentów STEM – mamy świetne uczelnie, zaplecze inżynierskie i rozwijający się sektor tech. Summit pokazuje, że możemy przyciągać osoby z całego świata. Jednak przyciąganie talentów to dopiero pierwszy etap – najtrudniejsze jest zatrzymanie ich w systemie.

Czego brakuje, by utalentowani zostali u nas na stałe?

– Do tego potrzebne są przewidywalne ścieżki kariery, sprawne procedury administracyjne, wsparcie językowe i poczucie bezpieczeństwa. Międzynarodowe talenty nie zostają w kraju dlatego, że raz zostały zaproszone na konferencję czy pochwalone na forum. Zostają wtedy, gdy widzą tu swoją przyszłość: zawodową, społeczną i osobistą.

Studenci informatyki głośno mówią o strachu przed AI i brakiem pracy dla juniorów. Co mogłaby pani im przekazać?

– Wasz lęk jest zrozumiały, bo nam wszystkim towarzyszy niepewność. AI zmienia sposób pracy, automatyzując proste, powtarzalne zadania, co budzi naturalny niepokój wśród osób stawiających pierwsze kroki w branży. Ale historia technologii pokazuje, że największą przewagę mają ci, którzy nie próbują konkurować z narzędziami, lecz uczą się mądrze z nimi współpracować. Rezyliencja zawodowa wymaga dziś elastyczności, gotowości do uczenia się przez całe życie i łączenia kompetencji technicznych z rozumieniem człowieka i biznesu.

Na czym w takim razie budować swoją wartość na rynku?

– Juniorzy nadal będą potrzebni, ale ich rola będzie się zmieniać. Młodym ludziom powiedziałabym: budujcie kariery nie wokół jednej technologii, tylko wokół własnej zdolności do adaptacji. Temu poświęcone były nasze warsztaty, a nasz nowy program „Dreams into Jobs" (przeznaczony dla osób w wieku 18-25 lat, bez względu na płeć) wspiera wejście na rynek pracy właśnie poprzez rozwój kompetencji przyszłości – technologicznych i miękkich oraz przedsiębiorczości. Właśnie te interdyscyplinarne umiejętności dają największą odporność na rynkowe zawirowania.

Współczesna inżynieria wymaga obecności kobiet przy projektach decydujących o fizycznym bezpieczeństwie kraju.

W halach EXPO XXI w Warszawie podczas konferencji było widać wielu chłopaków. Czy włączanie mężczyzn w tę debatę to kluczowy element strategii Fundacji „Perspektywy"?

– Rozdaliśmy ponad 5 tys. bezpłatnych biletów studentkom i studentom, bo zmiana kultury technologicznej nie może być rozmową jednej grupy z samą sobą. Nie zbudujemy inkluzywnego środowiska, rozmawiając wyłącznie we własnym gronie. Przez lata mówiłyśmy dziewczynom, by siadały przy stołach decyzyjnych. Ale dziś równie ważne jest to, żeby młodzi mężczyźni rozumieli, że odwaga i sukces kobiet nie są wymierzone przeciwko nim, lecz stanowią wartość dodaną dla całego sektora.

Co może się stać, jeśli zostawimy ich samym sobie?

– Musimy pracować nad młodym pokoleniem, które często czuje się zagubione w obliczu zmian społecznych. Jeśli nie zaprosimy ich do rozmowy o współpracy i nowoczesnej męskości, to ktoś inny – np. internetowi guru manosfery – bardzo chętnie zagospodaruje ich lęk, frustrację i poczucie utraty miejsca. Da im proste, radykalne odpowiedzi, które tylko pogłębią kryzys. Włączanie chłopaków nie rozmywa naszej pracy na rzecz kobiet, lecz ją wzmacnia. Pełny sukces tej zmiany nie będzie możliwy, gdy jej ciężar będą niosły same kobiety.

Tysiące kobiet rozmawiających w jednym miejscu o AI, energetyce jądrowej, kosmosie i cyberbezpieczeństwie to realna zmiana społeczna.

Jak brzmiałoby krótkie przesłanie do kobiet, które szukają odwagi?

– Powiedziałabym: nie czekajcie, aż poczujecie się gotowe w 100%, bo bardzo wiele osób wokół was też improwizuje, uczy się i rośnie w trakcie drogi. Macie prawo wejść do technologii z własną historią, wątpliwościami i w swoim tempie. Wejdźcie, pytajcie, szukajcie sojuszniczek, bo odwaga bardzo często rodzi się dopiero wtedy, kiedy zobaczymy, że nie jesteśmy same i że nasz punkt widzenia ma ogromne znaczenie.

Co uważa pani za najtrwalszy społeczny pomnik ruchu Women in Tech w Polsce?

– To zmiana wyobraźni. Przez lata pracowałyśmy nad tym, żeby dziewczynki i studentki mogły zobaczyć kobiety przy reaktorach, w sektorze kosmicznym czy w deep techu. To zmienia całe społeczne wyobrażenie o tym, kto ma prawo projektować przyszłość i podejmować kluczowe decyzje technologiczne. Pomnik nie musi być z kamienia. Czasem jest nim język, którym młode dziewczyny zaczynają mówić o sobie, pierwsze zgłoszenie na staż lub pierwsze ekspertki w największych biznesach i przemysłach. Czasem to całe pokolenie kobiet, które już nie pyta, czy technologia jest dla nich, ale po prostu wybiera, jaki fragment przyszłości chce współtworzyć i na jakich zasadach zamierza go budować.

Maciej Belowski

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Wykorzystani i wykluczeni

Stosunek Ameryki do imigrantów zawsze kształtowały rasizm i cynizm

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA



Obraz „Narodziny flagi naszego narodu" Charlesa H. Weisgerbera z 1893 r. Według legendy szwaczka Elisabeth „Betsy" Ross uszyła amerykańską flagę dla gen. George'a Washingtona (z lewej) i członków komitetu Kongresu, George'a Rossa (stoi) i finansisty Roberta Morrisa.

Gdybyśmy mogli przenieść się w czasie i zapytać ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, jak sobie wyobrażają swój kraj za 250 lat… Można założyć, że nie spodobałyby się im ani dzisiejsza korupcja, ani autorytarne zapędy Donalda Trumpa. Ale już forsowana przez jego gabinet idea kraju rządzonego przez białą, zamożną elitę jako jego jedynych prawomocnych właścicieli?

Historycy są obecnie zgodni: fundamentalne słowa z Deklaracji niepodległości „all men are created equal", wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi, nigdy nie były egalitarnym manifestem. Odnosiły się wyłącznie do wolnych, białych mężczyzn z majątkiem, i to z myślą o nich została napisana późniejsza konstytucja.

A skoro tak, to patrząc na tę 250-letnią historię kraju, ojcowie założyciele najpewniej poczuliby szczere zdumienie, że przetrwał, mimo iż cyklicznie rozszerzał demokrację na grupy pierwotnie z niej wykluczone. I że legendarna już żywotność USA i zdolność do autoregeneracji napędzająca ich rozwój na wszystkich frontach wzięła się z tego właśnie, że grupy dyskryminowane podejmowały walkę o swoje ekonomiczne i obywatelskie prawa.

Opowieść o wykluczeniu w USA biegnie trzema torami. Pierwszy zarezerwowany jest oczywiście dla Afroamerykanów, których ojczyzna uznała za swoich obywateli dopiero po wojnie secesyjnej, w 1865 r., ponad 250 lat od chwili, gdy ich przodkowie po raz pierwszy wylądowali na amerykańskiej ziemi (1619 r.). Na równe prawa cywilne i wyborcze musieli jednak zaczekać kolejne 100 lat, do roku 1965. Jest to opowieść o uwłaczającym istocie człowieczeństwa procederze niewolnictwa, utrwalona już w świadomości społecznej nie tylko w Ameryce, ale i na świecie.

Tor drugi to historia rdzennych mieszkańców amerykańskiej ziemi – włączonych w projekt demokracji dopiero w 1924 r., do dziś walczących, z różnym powodzeniem, o prawa, odszkodowania i swoją godność.

Ja jednak uwagę poświęcę torowi trzeciemu – wykluczeniu, którego obiektem jest… imigrant. To bowiem historia nie tylko najbardziej przypudrowana i mitotwórcza, ale też kluczowa dla zrozumienia obecnej polityki imigracyjnej i wywołanego przez Biały Dom, kuriozalnego dla obserwatorów z zewnątrz, sporu o to, kto i dlaczego „zasługuje" na bycie Amerykaninem. Do drastycznego ograniczenia legalnej imigracji, a nawet prób unieważnienia zapisów konstytucji, dochodzi w momencie, gdy Ameryka potrzebuje imigrantów bardziej niż kiedykolwiek. Kraj stoi na krawędzi kryzysu demograficznego i grozi mu brak rąk do pracy, zwłaszcza w rolnictwie. Warto zatem

Ameryka potrzebuje imigrantów bardziej niż kiedykolwiek. Grozi jej kryzys demograficzny i brak rąk do pracy, zwłaszcza w rolnictwie.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

przy okazji tak doniosłego jubileuszu zapytać, czy trwające do dziś wykluczanie imigrantów ma rację bytu i społeczną oraz wyborczą nośność.

Tylko biali mężczyźni

Pierwszy ruch wykluczający osoby „niewłaściwe" z wizji budowy kraju młodziutkie państwo wykonało już w roku 1790, uchwalając Ustawę o naturalizacji. Była pilna, bo o planach ekspansji na zachód i zapotrzebowaniu w związku z tym na nowych osadników architekci państwa rozmawiali ze sobą, już pracując nad Deklaracją niepodległości. Służyła temu także sławetna koncepcja Manifest Destiny, Oczywistego Przeznaczenia, sformułowana w 1845 r. – rozszerzanie państwa na cały kontynent USA uznawały za swoje „boskie" prawo i obowiązek.

Nowo powstały Kongres przyjął ustawę jako jedną ze swoich pierwszych – otwierała ona drogę do obywatelstwa białym, wolnym mężczyznom. Szczytne idee oświecenia poszły w kąt, kolor skóry był dla ojców założycieli najistotniejszy. W świecie, w którym wyrośli, rasa była czynnikiem porządkującym życie społeczne i ekonomiczne. Benjamin Franklin publicznie wyrażał lęk przed „plagą śniadych Niemców" nieposługujących się językiem angielskim. Nawet Alexander Hamilton, sam urodzony w Indiach i uważany za najważniejszego imigranta w historii USA, przestrzegał przed naturalizowaniem zbyt wielu obcokrajowców. „U zarania państwa (…) dekret o naturalizacji był potrzebny politycznie, dziś jednak sytuacja się zmieniła", pisał na łamach „New York Post" (wówczas „New York Evening Post"), krytykując pomysł Thomasa Jeffersona, ówczesnego prezydenta, by skrócić czas oczekiwania na obywatelstwo. 60 tys. Meksykanów, którzy po wojnie amerykańsko-meksykańskiej w 1848 r. znaleźli się na terenach przyłączonych do USA, otrzymało obywatelstwo – ale tylko na papierze. Nowy Meksyk z najliczniejszą populacją Meksykanów nie uzyskał statusu stanu aż do roku 1912. Nawet najsłynniejszy abolicjonista Abraham Lincoln przez całe swoje życie gorąco popierał projekt dobrowolnego „przesiedlania się" czarnoskórych Amerykanów do Afryki, Ameryki Centralnej i na Karaiby.

Gorączka XIX-wiecznych nastrojów antyimigranckich o podłożu rasistowskim znalazła ujście w roku 1882 w Akcie o wykluczeniu Chińczyków, który formalnie zamknął kraj przed azjatyckimi imigrantami, a tym, którzy już w USA przebywali, zablokował drogę do obywatelstwa. Sąd Najwyższy orzekł wtedy: „Imigracja jest pryncypialnie kwestią polityki rasowej, międzynarodowej oraz bezpieczeństwa wewnętrznego". Wykluczenie Chińczyków przyszło po okresie ogromnego skoku rozwojowego USA, szczególnie zachodnich części Stanów, a przecież to Chińczycy byli motorem tych przemian. Ściągnięci do USA w setkach tysięcy zbudowali zachodnią część Kolei Transkontynentalnej, a bagnistą, jałową Dolinę Kalifornijską przeobrazili w rolniczą potęgę, która do dziś karmi cały kraj. Nie byłoby to możliwe bez ich wiedzy rolniczej przywiezionej z własnej ojczyzny. W 1870 r. co czwarty dolar odprowadzony w podatkach do kalifornijskiej kasy pochodził od robotnika chińskiego.



Członkowie Ku Klux Klanu na tle Kapitolu, 1926 r.

Biedny znaczy też kolorowy

Co ciekawe – i co jest historią prawie w ogóle już dziś nieopowiadaną – imigranci z Europy Środkowej i Wschodniej, którzy przybywali masowo do rozwijających się ośrodków przemysłowych (byli w tej grupie i Polacy), też doświadczali systemowego wykluczenia w wieku XIX i na początku XX. Nie tylko na tle religii – amerykańscy protestanci fanatycznie zwalczali katolików – ale paradoksalnie również na tle rasy, choć tu mechanizm dyskryminacji był bardziej skomplikowany. Dobrze wyjaśnia to politolog Daniel Denvir z Uniwersytetu Browna: „Byli dyskryminowani po części dlatego, że ich całkowite uzależnienie od pracodawcy i najemnej pracy na godziny oraz ich pauperyzacja czyniły ich »niegodnymi« obywatelstwa, a przez to osobami nie do końca białymi!" („All-American Nativism: How the Bipartisan War on Immigrants Explains Politics as We Know It", 2020). Pionier badań nad rasą i rasizmem w USA, socjolog i historyk William Du Bois, już pod koniec XIX w. dowodził, że okres niewolnictwa wyrobił w Amerykanach przekonanie, iż „czarnuchy są służącymi, a służący są czarnuchami" („The Philadelphia Negro", 1899).

W 1911 r. specjalna komisja ds. imigracji pod przewodnictwem senatora Williama Dillinghama opublikowała raport, który uznawał imigrantów z Europy Wschodniej i Południowej za bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa USA. W roku 1924 raport ten będzie podstawą do uchwalenia najbardziej restrykcyjnych i najniższych w historii kraju limitów narodowościowych. Po części stał za nimi lęk przed masową imigracją Europejczyków dotkniętych zniszczeniami I wojny światowej, ale powodem była też natywistyczna doktryna „Ameryki tylko dla Amerykanów". Metoda przyznawania wiz w praktyce sprowadzała się do tego, że w 75% miały być odtąd przydzielane wyłącznie białym mieszkańcom

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Europy Północnej i Zachodniej. Restrykcje te zniesie dopiero reforma imigracyjna z roku 1965.

Mechanizm, który doprowadził do reformy z roku 1924, był identyczny z tym sprzed 40 lat. Wykluczenie uderzało w klasę ludzi, którzy na przełomie wieków stali się kołem zamachowym następnej fazy rozkwitu gospodarczego kraju. „Populacja i lokalizacja społeczności imigranckich, z ich koncentracją w wielkich miastach, czyniła z nich trzon amerykańskiej siły roboczej. Imigranci i ich dzieci stanowili połowę pracowników fabrycznych w 1920 r., a jeśli wliczymy w to wnuki imigrantów, to dwie trzecie tej siły roboczej", przypominają autorzy raportu „Immigration and the American Industrial Revolution from 1880 to 1920" (National Institute of Health, kwiecień 2009).

Tłem dla tego wykluczenia była również historia rosnących w siłę ruchów robotniczych. Szczególnie cenne były tu doświadczenia związkowe przywożone do USA przez „śniadych Niemców", ale i polscy imigranci odegrali w nich wielką rolę. W latach 90. XIX w. stanowili większość w najpotężniejszym wówczas związku zawodowym zrzeszającym górników – United Mine Workers of America.

Wypierani przez system imigranci przyczynili się jednocześnie do rozwoju cywilizacyjnego USA. To naciski związkowców po krachu giełdy z 1929 r. zmusiły w 1933 r. prezydenta Franklina Delano Roosevelta do historycznych reform w ramach projektu Nowy Ład, które historycy określają jako „punkt zwrotny gruntownie przebudowujący fundamenty Ameryki", dający początek „nowemu, bardziej sprawiedliwemu społecznie państwu" (Carl N. Degler, „Out of Our Past: The Forces That Shaped Modern America", 1959).

Jakże ironiczny w tym kontekście wydaje się fakt, że najsłynniejszy wiersz Ameryki o imigrantach, „Nowy Kolos" Emmy Lazarus, został umieszczony na tablicy na cokole Statuy Wolności w samym środku fali sentymentów natywistycznych i antyimigracyjnych, bo w roku 1903. Jego wymowa kompletnie rozmijała się z rzeczywistym ówczesnym stosunkiem USA do imigrantów. Nie przeszkodziło to w zrobieniu z niego narzędzia propagandy – ale to temat na osobne rozważania.



Polska rodzina pracująca na farmie niedaleko Baltimore w stanie Maryland, 1909 r.

Inny język, rasizm ten sam

Ustawa z 1924 r. nie ograniczyła imigracji zza południowej granicy USA. Była odpowiedzią na lobbing sektora rolniczego, który od czasów abolicji borykał się z brakiem pracowników i nie przestawał szukać taniej siły roboczej tam, gdzie szukał jej zawsze – wśród osób kolorowych. Miejsce wypchniętych z systemu Europejczyków zajęli więc Meksykanie, a chcąc przeciwdziałać ich masowej nielegalnej imigracji, nasilonej w czasie wojny, w 1942 r. Waszyngton otworzył przed nimi możliwość migracji cyrkulacyjnej – legalnej, okresowej pracy w USA, którą nazwał Programem Bracero. Program ów jednak zamknięto w roku 1964 na fali ruchów upominających się o prawa cywilne i społeczne, w tym imigrantów, by przeciwdziałać – jak argumentowali aktywiści – jawnemu wyzyskowi Latynosów, który przekładał się na niższe płace dla wszystkich. Słaba egzekucja nowych przepisów o karach za zatrudnianie nielegalnych imigrantów sprawiła, że rozpoczęła się kolejna era masowej, nielegalnej imigracji z Meksyku, a z czasem także z innych krajów południowoamerykańskich. Trwa ona do dziś, a Stany Zjednoczone odpowiadają na nią w typowy sposób: potrzebują imigrantów, a jednocześnie odmawiają im praw i wykorzystują ich politycznie. Najlepszym tego przykładem są tzw. dreamers, częściowo chronieni programem DACA (Deferred Action for Childhood Arrivals, odroczona deportacja wobec osób przybyłych do Stanów jako dzieci – przyp. red.), czyli potomkowie nielegalnych imigrantów przywiezieni do USA, tutaj już wychowani i wykształceni.

Szczytne idee oświecenia poszły w kąt, kolor skóry był dla ojców założycieli sprawą najistotniejszą.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

O ścieżkę do naturalizacji walczą od 2001 r.

Tym, co zmieniło się po roku 1965, jest sposób mówienia o konieczności wykluczania z życia obywatelskiego osób „niewłaściwych". Ustawa o prawach cywilnych wprowadziła wymóg języka rasowej neutralności, wobec czego

Chińczycy zbudowali zachodnią część Kolei Transkontynentalnej, a bagnistą Dolinę Kalifornijską przeobrazili w rolniczą potęgę, która do dziś karmi kraj.

natywiści sięgnęli po maltuzjanizm (pesymistyczna teoria ekonomiczno-demograficzna Thomasa Malthusa – przyp. red.) i słynną teorię „tragedii wspólnego pastwiska" Garretta Hardina (z 1968 r.), duchowego przywódcy wszystkich współczesnych ruchów antyimigracyjnych na świecie. Uszczelnianie granic przedstawia ona jako konieczność ekonomiczną i środowiskową. Po niestabilnych gospodarczo latach 70. ubiegłego wieku, które w USA zapoczątkowały jednocześnie proces przeobrażania się prawicy w partię religijnych nacjonalistów, polityka imigracyjna w ich wydaniu wskazała nielegalnych imigrantów – kojarzonych w tym momencie automatycznie z Latynosami – jako przyczynę problemów fiskalnych i największych społecznych bolączek: rosnącej przestępczości i zwiększających się kosztów życia. Te ma napędzać drenowanie usług publicznych przez „nielegalsów".

Tymczasem – to powtarzający się wątek – demonizowani imigranci odegrali główną rolę we wzroście gospodarczym. „W latach 90. gospodarka USA odnotowała największy nieprzerwany wzrost w historii. Imigracja, legalna i nielegalna, odpowiadała za podniesienie produktywności i tym samym bogactwa, (…) oraz przyczyniła się do transformacji USA w gospodarkę globalną, generując wskaźniki rywalizujące z rekordami pobitymi w pierwszej dekadzie XX w.", donosił w styczniu 2010 r. raport waszyngtońskiego Instytutu Polityki Migracyjnej „Immigration and the United States: Recession Affects Flows, Prospects for Reform". Z kolei w tegorocznym raporcie libertariańskiego think tanku Cato Institute czytamy: „Jeśli uwzględnimy narastające odsetki od długu publicznego, imigranci zaoszczędzili Ameryce 14,5 bln dol. w ciągu 30 lat (1994-2023 – przyp. aut.). Bez imigrantów PKB dramatycznie by się skurczył, o co najmniej 4,8 bln dol. w 2023 r., (…) przekładając się na wyższy dług (…). Dług osiągnąłby w 2023 r. poziom ok. 205% PKB. (…) Innymi słowy, imigranci już dzisiaj być może ocalili Amerykę przed kryzysem finansowym".

Trump nie jest na zawsze

Donald Trump wkroczył do polityki, gdy prezydentura Baracka Obamy podsyciła odwieczne, motywowane rasowo lęki części amerykańskiego społeczeństwa o to, w czyich rękach

Polscy imigranci w latach 90. XIX w. stanowili większość w najpotężniejszym związku zawodowym górników, United Mine Workers of America.

będą spoczywać władza i zasoby. Ścieżkę dla jego etnopolityki przetarli już w latach 90. minionego wieku tacy ludzie jak Ross Perot i Pat Buchanan. Ten ostatni, aż trzykrotny kandydat na prezydenta (w latach 1992, 1996 i 2000), położył fundamenty pod spójną ideologię białego nacjonalizmu ekonomicznego, w którym rasizm i antyimigranckość grały pierwsze skrzypce.

Czy Donald Trump wierzy we wszystko, co mówi? O to można się spierać. Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że otaczający go etnokonserwatyści pokroju J.D. Vance'a, Russella Voughta, Pete'a Hegsetha czy Stephena Millera – już tak. W swoim mniemaniu są tylko wykonawcami wizji i woli architektów państwa. Pragną przywrócić Stany Zjednoczone ich rzekomo jedynym prawowitym właścicielom, białym i z krzyżem chrześcijańskiego Boga na szyi. Wierzą – choć przeczy temu każdy moment w historii – że Ameryka będzie mogła dalej się rozwijać tylko wtedy, gdy się okopie i zamknie.

Nie brakuje ekspertów bijących na alarm, że bezprecedensowe nierówności ekonomiczne i kumulacja abstrakcyjnie już wielkich majątków w rękach jednostek, które zarazem coraz mocniej kształtują samą politykę, osłabią szanse na to, by Ameryka i tym razem wyszła ze swojej ksenofobicznej, natywistycznej fazy zreformowana instytucjonalnie, zdrowsza społecznie i bardziej demokratyczna.

Optymistką pozostaje jednak najpopularniejsza dziś amerykańska historyczka, Heather Cox Richardson, której światową sławę przyniosły newslettery na platformie Substack – „Letters from an American". Analizując w maju ub.r. pomysł Donalda Trumpa, by anulować 15. poprawkę do konstytucji gwarantującą obywatelstwo z urodzenia (ius soli), a tym samym przedefiniować amerykańską tożsamość, powiedziała rozgłośni WBUR: „Zawsze różniliśmy się od świata tym, że każdy, kto tutaj przyjedzie, może zostać Amerykaninem. Naszą ideą założycielską było przecież i to, że Ameryka jest taka, jaką ty ją dla siebie stworzysz, jaką przyszłość w niej sobie wypracujesz, bez oglądania się na pochodzenie, status, wiarę religijną. Wystarczy tylko determinacja. Może jestem w mniejszości, ale wciąż wierzę w ten kraj, w jego siłę samonaprawy i korekty. Trump nie jest na zawsze i tego się trzymajmy".

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 1f84aa2a4f



Start myśliwca F-35B z pokładu okrętu desantowego USS America na Morzu Filipińskim, 11 lutego 2026 r.

Wieczne wojny Ameryki

Dlaczego współczesne Stany Zjednoczone tak łatwo wkraczają na ścieżkę wojenną

Piotr Kimla

Wydaje się, że gorąca faza wojny prowadzonej przez USA i Izrael z Iranem – boleśnie odczuwana przez cały świat – zbliża się do końca. W tym kontekście warto się pokusić o odpowiedź na pytanie, dlaczego współczesne Stany Zjednoczone tak łatwo wkraczają na ścieżkę wojenną, choć w najstarszym znanym traktacie o sztuce wojennej (chińskim, rzecz jasna) czytamy, że wojna „jest sprawą życia i śmierci; drogą do bezpieczeństwa lub ruiny". Odpowiedź na to pytanie musi być złożona. Przyszło mi do głowy pięć powodów tego stanu rzeczy.

W gąszczu teorii stosunków międzynarodowych i teorii polityki w ogólności błąka się koncepcja mówiąca, że demokracje nie walczą. Że ze swej natury są pacyfistyczne. Na pierwszy rzut oka wydaje się to całkiem sensowne. Czy obywatele demokratycznych państw nie wolą spędzać czasu w galeriach handlowych, zamiast tkwić w okopach? Czy nie wolą być leczeni ze zwykłych chorób w normalnych szpitalach, zamiast wylizywać się z ran w szpitalach polowych? Ponieważ ostatecznie to oni decydują w wyborach, będą wywierali ciągłą presję na swoich reprezentantów, aby ci stale przedkładali pokój nad wojnę.

Demokratyzujący się świat – z coraz większą liczbą demokratycznych państw – miał być światem bezpiecznym, światem bez wojen. Notabene teoria demokratycznego pokoju była także fundamentem, na którym po I wojnie światowej zbudowano Ligę Narodów – pierwszą organizację międzynarodową, która miała ostatecznie zapobiegać prowadzeniu wojen. Państwo agresywne w stosunku do innego państwa miało natychmiast napotykać opór pozostałych członków Ligi i być w ten sposób demokratycznie – to znaczy głosami zdecydowanej większości – przywoływane do porządku.

Tyle teorii. Praktyka jest inna. Dawno temu zauważył to Alexander Hamilton: „Sparta, Ateny, Rzym, Kartagina były republikami. Ateny i Kartagina były nawet republikami handlowymi. A jednak państwa te były zaangażowane w wojny tak ofensywne, jak defensywne w nie mniejszym stopniu aniżeli sąsiadujące z nimi w owym czasie monarchie. W brytyjskim systemie przedstawiciele ludu konstytuują jedną z gałęzi legislatywy. Od wieków handel jest zasadniczym znakiem rozpoznawczym tego kraju. Niewiele narodów jednakże prowadziło wojny tak często jak Brytyjczycy".

Prawdopodobnie ustrojom demokratycznym trudniej zaangażować się w wielkie wojny absorbujące ogół obywateli. Wymaga to

eprasa.pl 1f84aa2a4f

przygotowania gruntu, i to przez dłuższy czas. Wymaga grania na odpowiednich strunach emocjonalnych. Wymaga przekształcenia takiej wojny w rodzaj krucjaty, w której obywatele demokratycznego państwa pod wpływem perswazji rządzących dochodzą do przekonania, że zło wcielone zagrażające istocie ich życia znalazło się nagle na powierzchni ziemi i trzeba je z niej zetrzeć. Inaczej starty zostanie umiłowany przez obywateli demokracji system wartości. To zarazem powód, dla którego ustrojom demokratycznym trudniej zakończyć wojnę, nawet gdy osiągnęły one już w niej swoje cele.

Przed tym dylematem stanęli przywódcy zachodnich aliantów podczas II wojny światowej. Gdy było już wiadomo, że Hitler przegra wojnę, a prawdziwym wyzwaniem będzie ekspansja Związku Radzieckiego, kontynuowali oni politykę *unconditional surrender* – bezwarunkowej kapitulacji Niemiec Hitlera. Kontynuowali ją m.in. dlatego, że po latach demonizowania Niemców (dali oni do tego powody) trudno było nagle oświadczyć własnym obywatelom, że są to tacy sami ludzie jak my. Że, owszem, prowadziliśmy z nimi wojnę, ale właśnie ją wygraliśmy, a Niemcy jako diabły wcielone to był tylko taki chwyt retoryczny. Nieśmieszny żart.

Ewentualne uwikłanie w wojnę w najmniejszym stopniu nie dotyka elit społecznych USA.

Stany Zjednoczone po II wojnie światowej nie prowadziły już wojen w pełni angażujących wszystkich obywateli w tym sensie, że bezpośrednio, natychmiast konflikty te uderzały amerykańskich podatników po kieszeni. Z wyjątkiem wojny w Korei. Była to ostatnia wojna, kiedy amerykańskie władze podniosły podatki, aby sfinansować działania zbrojne. Następnie amerykańscy prezydenci nauczyli się powiększać deficyt budżetowy i przerzucać problem spłaty długów na kolejne pokolenia.

Trudno w to uwierzyć, ale Amerykanie nie odczuli w zasadzie skutków dwóch długotrwałych wojen – w Iraku i Afganistanie, które kosztowały 5 bln dol. W każdym razie jest to pierwszy i zasadniczy powód ciągłego i łatwego wikłania się USA w konflikty zbrojne. Konflikty te rzadko kiedy przynoszą trwałe i sensowne rozwiązania problemów politycznych, nie służą także interesom i bezpieczeństwu Ameryki oraz, co oczywiste, są śmiertelnie niebezpieczne dla krajów będących celem ataku.

Amerykańscy prezydenci nauczyli się powiększać deficyt budżetowy i przerzucać problem spłaty długów na kolejne pokolenia.

Drugi powód ponad miarę częstych zaangażowań Ameryki w działania wojenne wiąże się z procesem konsolidacji i wzrostu władzy prezydenta USA. Proces ten postępuje od początku zimnej wojny, ale radykalnie przybrał na sile w związku z wojną z terrorem ogłoszoną przez prezydenta Busha młodszego. Amerykańscy prezydenci mają wolną rękę, jeśli chodzi o wypowiadanie wojen i zawieranie pokoju, to oni decydują o posunięciach dyplomatycznych, do nich ostatecznie raportuje horrendalnych rozmiarów aparat wywiadowczy działający w ukryciu. Wszystko to przy de facto abdykacji Kongresu z kontroli nad egzekutywą.

Trzeci powód łatwości podejmowania działań wojennych przez USA to sama łatwość prowadzenia wojen. Ściślej chodzi o fakt, że Ameryka jest w stanie prowadzić kampanie wojenne praktycznie w całości z powietrza. Żaden amerykański żołnierz nie musi stawiać stopy na ziemi atakowanego kraju. Uderzenia następują przy użyciu rakiet manewrujących, bomb kierowanych wystrzeliwanych z trudnych do wykrycia samolotów oraz dronów. Ponadto atakowane kraje nie mają środków (może też odwagi), by odpowiedzieć uderzeniami w amerykańskie miasta i wsie. Zasada nie drażnić ponad miarę Ameryki – mściwego mocarstwa – wciąż jeszcze obowiązuje.

Czwartym powodem jest istnienie osławionego kompleksu militarno-przemysłowego. Nie chodzi o to, że Boeing czy Lockheed Martin lobbują za pójściem na wojnę z konkretnym przeciwnikiem. Jednak kiedy sprzedajesz broń, jesteś zawsze zainteresowany stwarzaniem wrażenia, że świat runie zaraz w otchłannie głęboką przepaść, przygnieciony tonami różnorakich niebezpieczeństw, o ile nie nastąpi atak wyprzedzający ze strony USA. Niebezpieczeństwom tym zaradzi nie dyplomacja, lecz tylko decyzja prezydenta dającego zielone światło tzw. wojnie kinetycznej.

Powód ostatni, ale równie ważny, to skład osobowy oddziałów, które potencjalnie będą zaangażowane w walkę. Nie pochodzą z poboru, tworzą je ochotnicy. Jest to istotne, bo oznacza, że żołnierze będą mniej skłonni do utyskiwań, skoro sami zgodzili się na ryzyko wzięcia udziału w wojnie. Ponadto zawodowa armia amerykańska coraz bardziej odzwierciedla dysproporcje majątkowe w USA. Do służby zgłaszają się ludzie z uboższych klas społecznych, którym armia stwarza perspektywy osiągnięcia wyższego poziomu życia.

Skutek jest taki, że ewentualne uwikłanie w wojnę w najmniejszym stopniu nie dotyka elit społecznych USA. Ludzi bogatych i z koneksjami politycznymi. Oni śpią spokojnie, a gdy nie śpią, mogą swobodnie obmyślać kolejną wojnę Ameryki.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT. US NAVY

eprasa.pl 1f84aa2a4f



Koniec technologicznej naiwności

Kolejne państwa Unii porzucają Microsoft. Europa bierze na celownik chińskie big techy, a Wojsko Polskie blokuje wjazd chińskim autom

Kornel Wawrzyniak

Jeszcze niedawno wybór technologii był prosty – decydowały cena, funkcjonalność i przyzwyczajenia użytkowników. Dziś w Europie podważa się ten model, stawiając na cyfrową suwerenność i bezpieczeństwo danych. Efekt? Odejście od amerykańskich rozwiązań, rosnąca nieufność wobec chińskich technologii i coraz śmielsze decyzje, także na poziomie służb i wojska. Coraz więcej państw Unii Europejskiej ogranicza obecność amerykańskiego oprogramowania w administracji, powołując się na potrzebę odzyskania kontroli nad danymi i infrastrukturą. Jednocześnie Bruksela wyraźnie sygnalizuje nieufność wobec chińskich gigantów technologicznych – na początku maja br. Komisja Europejska zarekomendowała wycofywanie produktów Huawei i ZTE z infrastruktury krytycznej. Tę samą ostrożność widać u nas w kraju: Wojsko Polskie zamknęło wjazd do swoich obiektów dla samochodów wyprodukowanych w ChRL, podobne zasady wprowadziła już Służba Ochrony Państwa, a policja analizuje, czy również nie powinna pójść w tym kierunku.

Office z Europy

Chociaż alternatywa dla pakietu biurowego od Microsoftu jeszcze do niedawna wydawała się abstrakcją, na rynku właśnie pojawiło się Euro-Office. Dziennikarze technologiczni wskazują, że ta usługa na Starym Kontynencie ma stanowić kluczowy element cyfrowej niezależności od amerykańskich big techów.

Kolejne europejskie kraje konsekwentnie odchodzą od rozwiązań oferowanych przez amerykańskie koncerny. W dążeniu do cyfrowej suwerenności prym wiedzie ostatnio Francja. Na początku kwietnia francuska Międzyresortowa Dyrekcja ds. Cyfryzacji (DINUM) zapowiedziała rezygnację z systemu Windows na rzecz Linuksa. Jednocześnie zobowiązano wszystkie agencje i ministerstwa do opracowania – do jesieni – planów ograniczenia zależności od dostawców spoza Europy. Strategie te mają objąć różne dziedziny, od systemów operacyjnych, przez narzędzia komunikacji i pracy biurowej, po rozwiązania z zakresu sztucznej inteligencji oraz usług chmurowych. Francuzi mają już wprawę w przechodzeniu na system Linux – żandarmeria działa na nim od 2008 r.

Podobny kierunek deklarują Niderlandy, zapowiadając odzyskanie kontroli nad danymi, infrastrukturą

eprasa.pl 1f84aa2a4f

i technologią, a także Dania, która pilotażowo wdrożyła pakiet LibreOffice, otwartoźródłowy, czyli takie oprogramowanie, którego kod jest publicznie dostępny, więc każdy może go obejrzeć, sprawdzić, a nawet zmienić lub ulepszyć. Norwegia rozważa współpracę z Kanadą w ramach Sovereign Technology Alliance, natomiast w Niemczech minister cyfryzacji Karsten Wildberger zapowiedział stopniowe uniezależnianie administracji i służb bezpieczeństwa od takich firm jak Microsoft i Palantir.

Na poziomie regionalnym Niemcy już wcześniej podejmowały podobne inicjatywy. Szlezwik-Holsztyn od 2024 r. wprowadza rozwiązania open source, zaczynając od pakietu biurowego LibreOffice, a następnie modernizując systemy pocztowe. W dalszej perspektywie region planuje zastąpienie platformy Microsoft SharePoint europejskim rozwiązaniem Nextcloud oraz pełne przejście administracji na Linuksa. Według danych serwisu The Next Web do początku 2026 r. na ten system przeniesiono już 30 tys. stacji roboczych, co dało 15 mln euro oszczędności na licencjach. Z kolei raport Digital Sovereignty Index (DSI), uwzględniający m.in. wykorzystanie własnej infrastruktury hostingowej, wskazuje Finlandię jako lidera cyfrowej suwerenności. Francja zajmuje w nim czwarte miejsce, ustępując jeszcze Niemcom i Niderlandom.

Co jest największym problemem w przejściu na europejskie rozwiązania? Oczywiście przyzwyczajenia. Właśnie dlatego w miejsce dobrze znanego tria Word, Excel i PowerPoint pojawiła się europejska alternatywa Euro-Office: zestaw narzędzi, które na pierwszy rzut oka wydają się znajome. W istocie reprezentują zupełnie inną filozofię działania. Na pierwszy plan wysuwają się tu bezpieczeństwo i prywatność użytkownika, traktowane jako fundament całego ekosystemu. Kluczowa różnica? Dane nie krążą po globalnych serwerach, lecz pozostają w granicach Unii Europejskiej, przechowywane i przetwarzane zgodnie z rygorystycznymi wymogami RODO. To oznacza koniec zaglądania do naszych plików przez amerykańskie służby czy wykorzystywania ich jako paliwa dla amerykańskich modeli sztucznej inteligencji.

Strategicznym posunięciem twórców jest to, że korzystanie z pakietu nie wiąże się z żadnymi opłatami. Już na etapie projektowania Euro-Office postawiono na ścisłą integrację z kluczowymi komponentami sieciowymi oraz pełnoprawne funkcjonowanie w bezpiecznej, europejskiej chmurze. Dla firm czy instytucji publicznych, które stawiają na rozwiązania łączące wysoką kompatybilność, prywatność i pełną funkcjonalność może to być realna alternatywa dla amerykańskiego Microsoft Office.

Komisja Europejska zarekomendowała wycofywanie produktów Huawei i ZTE z infrastruktury krytycznej.

Szybkie pojawienie się europejskiego pakietu biurowego to rezultat dążenia do technosuwerenności spowodowanej w dużej mierze antyeuropejską polityką Donalda Trumpa. To ona popchnęła państwa unijne do zintensyfikowania działań, a temat przebił się do mainstreamu. Obecny prezydent USA pokazał już Europejczykom, że w każdej chwili może wyciągnąć wtyczkę. Przypomnijmy chociażby, jak w grudniu 2025 r. USA nałożyły sankcje na pięć osób działających na rzecz europejskich regulacji i praw człowieka. Ukaranym zablokowano możliwość korzystania z amerykańskich usług technologicznych i płatniczych. Wcześniej Trump w podobny sposób mścił się na sędziach Międzynarodowego Trybunału Karnego, którzy również trafili na amerykańską czarną listę.

Francuski sędzia Nicolas Guillou, który zdecydował o wydaniu nakazu aresztowania dla premiera Izraela Beniamina Netanjahu, opisał w wywiadzie udzielonym „Le Monde", jak amerykańskie sankcje wpływają na jego codzienne życie: „W praktyce już nie robisz zakupów online, bo nie wiesz, czy opakowanie produktu nie pochodzi z Ameryki. Bycie objętym sankcjami jest jak cofnięcie się do lat 90." W ramach sankcji zamknięto jego konta w amerykańskich firmach, takich jak Amazon, Airbnb czy PayPal. Guillou nie może też używać kart płatniczych, ponieważ zarówno Visa, jak i Mastercard są firmami amerykańskimi.

Oprócz groźby wyciągnięcia wtyczki przez Trumpa kwestią napędzającą dążenie do cyfrowej suwerenności jest bezpieczeństwo danych i ochrona praw europejskich użytkowników. Jeśli bowiem usługodawca i jego serwery nie znajdują się w Europie, użytkowników nie chroni europejskie prawo ani RODO.

Dzisiaj cena inwestycji we własne oprogramowanie i infrastrukturę może wydawać się wysoka, jednak w dalszej perspektywie te działania są bardzo opłacalne, także od strony finansowej. Widać to już właśnie we Francji i w Niemczech, gdzie zmiana systemu Windows na Linuksa w urzędach zaczyna przynosić realne oszczędności. Po pierwsze, Linux nie jest płatny. Po drugie, można go dostosować do swoich potrzeb, a wiele wskazuje na to, że jego późniejsza obsługa informatyczna może być nawet tańsza niż produkt od Microsoftu. Cyfrowa suwerenność ma jednak swoją cenę – od kosztów migracji, które są najwyższe, po konieczność szkolenia pracowników i chwilowy spadek efektywności. Są to jednak utrudnienia przejściowe.

Chińskie wjazdu nie mają

Urządzenia i aplikacje pochodzące z Chińskiej Republiki Ludowej od dawna budzą w Europie kontrowersje. Wątpliwości koncentrują się przede wszystkim na kwestiach bezpieczeństwa. Eksperci i politycy podkreślają ryzyko szpiegostwa – obawę, że infrastruktura telekomunikacyjna mogłaby zostać wykorzystana do pozyskiwania danych wrażliwych lub monitorowania komunikacji. W debacie pojawiają się też ostrzeżenia przed tzw. backdoorami, czyli ukrytymi mechanizmami dostępu, które

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1f84aa2a4f

w skrajnym scenariuszu mogłyby umożliwić zdalne przejęcie kontroli nad systemami. Szczególnie niepokojąca jest możliwość zakłócenia lub wyłączenia kluczowych elementów sieci, co w przypadku infrastruktury 5G miałoby poważne konsekwencje dla funkcjonowania państwa i gospodarki. Te obawy dotyczą zwłaszcza dwóch chińskich gigantów technologicznych: Huawei, uznawanego za największego producenta sprzętu telekomunikacyjnego na świecie, oraz ZTE (nazwa firmy nawiązuje do pomyślności Chin), drugiego kluczowego gracza w branży. Sprzęt obydwu koncernów znalazł się pod lupą Komisji Europejskiej, ponieważ jest szeroko wykorzystywany w europejskiej infrastrukturze krytycznej opartej w dużej mierze właśnie na 5G.

Do listy problemów dochodzi zjawisko uzależnienia od jednego dostawcy i ryzyko związane z globalnym łańcuchem dostaw.

Firmy takie jak Huawei konsekwentnie odrzucają zarzuty o współpracę z chińskimi służbami, a część ekspertów uspokaja, że nie ma jednoznacznych dowodów potwierdzających te obawy. Warto jednak pamiętać o kontekście geopolitycznym – dziś sprzęt telekomunikacyjny jest elementem rywalizacji między państwami, a kontrola, szczególnie nad infrastrukturą 5G, oznacza bezpośredni wpływ na gospodarkę i bezpieczeństwo. Właśnie dlatego UE zalicza chińskich dostawców do kategorii „wysokiego ryzyka" i dąży do ograniczenia zależności od nich.

Obawy ma również Wojsko Polskie, które zaostrzyło kurs wobec chińskiej motoryzacji. Szef Sztabu Generalnego WP zdecydował o wprowadzeniu zakazu wjazdu pojazdów wyprodukowanych w Chińskiej Republice Ludowej na teren chronionych obiektów wojskowych. To jednak dopiero początek – podobne ograniczenia wdrożyła już Służba Ochrony Państwa, a i policja zastanawia się, czy i w jakim zakresie pójść tą samą drogą. Jak tłumaczy rzecznik Sztabu Generalnego płk Marek Pietrzak, decyzja nie jest przypadkowa, lecz wynika z rosnących obaw wywołanych cyfryzacją współczesnych pojazdów. Samochody coraz bardziej przypominają mobilne centra danych – zbierają, przetwarzają i przesyłają informacje, często w sposób trudny do pełnej kontroli.

Na rynku właśnie pojawiło się Euro-Office. Ta usługa ma stanowić kluczowy element cyfrowej niezależności od amerykańskich big techów.

Właśnie to ryzyko związane z potencjalnym nieautoryzowanym dostępem do danych stało się kluczowym czynnikiem stojącym za nowymi ograniczeniami. Co istotne – wojsko wskazuje, że chodzi nie o logo na masce, ale dokładnie o kraj produkcji. Oznacza to, że zakaz wstępu dostają zarówno BYD, MG, Jaecoo czy Omoda, jak i np. nowe modele od Volvo, które dziś należy do chińskiego koncernu Geely.

Na tym środki ostrożności się nie kończą. Wprowadzono zakaz podłączania służbowych smartfonów do systemów multimedialnych infotainment w pojazdach wyprodukowanych w ChRL. To ruch nieprzypadkowy, każde takie połączenie, czy to przewodowe, czy bezprzewodowe, otwiera dodatkowy kanał przepływu danych, który z punktu widzenia bezpieczeństwa trudno w pełni kontrolować. Rozważane są również ograniczenia dla nowoczesnych aut niewyprodukowanych w Chinach. Współczesne pojazdy potrafią rejestrować i przesyłać ogromne ilości informacji, od lokalizacji, przez obraz i dźwięk, aż po szczegółowe parametry jazdy. Dla służb problem zaczyna się tam, gdzie samochód przestaje być środkiem transportu, a staje się mobilnym systemem zbierania danych. Być może już niedługo część nowoczesnych aut będzie mogła wjechać na tereny wojskowe jedynie wtedy, gdy uda się wyłączyć w nich niektóre systemy.

Czy te restrykcje jeszcze kogoś dziwią? W świecie, w którym samochód widzi, słyszy i zapamiętuje więcej niż jego kierowca, zaufanie staje się towarem deficytowym. Coraz częściej trzeba je egzekwować – przepisami, ograniczeniami i zdrową dozą podejrzliwości. Niezależnie od tego, czy chodzi o samochód, czy o oprogramowanie, dzisiaj liczy się to, kto jest z nami na pokładzie, kto zagląda w nasze pliki i śledzi nasze ruchy. To znak nowych czasów, w których jako użytkownicy powinniśmy przenieść uwagę z wygody na bezpieczeństwo danych. Zmieniły się bowiem reguły gry – technologia nie jest już neutralna, stała się narzędziem wpływu.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 1f84aa2a4f



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Nazbierało się prezydentowi Poznania Jackowi Jaśkowiakowi, który 12 lat wcześniej przejmował stanowisko po baronie prezydenckim Ryszardzie Grobelnym. Dla m.in. aktywnych wówczas ruchów miejskich był nadzieją na inną politykę miasta. Miał być bliżej ludzi, działać bardziej społecznie, niezależnie od nacisków deweloperów i ich lobbystów. Miał zmierzać w kierunku rozwiązywania nabrzmiałych problemów mieszkaniowych, docenić wagę i dostępność komunikacji miejskiej. Po tych wszystkich latach z oczekiwań nie zostało nic, za to przybywa z dnia na dzień zarzutów. Do tego prezydent dorzucił demonstracyjną butę, zamknięcie nie tyle nawet na konfrontacje z problemami miasta, ile na rozmowę z mieszkańcami czy ich przedstawicielami. Ale już dla przyjmowania ciosów Masternaka z plaśnięciem śmietaną ośmiesza pracowicie wykreowany wizerunek. Lamenty nad przekroczeniem granic brzmią zaś kuriozalnie w ustach kogoś, kto demonstracyjnie unika rozmów z przedstawicielami mieszkańców.

Inicjatywa Pracownicza przypomina główne zarzuty wobec prezydenta:

„• Osiedle Maltańskie: Jaśkowiak poparł poznańską kurię w przehandlowaniu osiedla z »wkładką mięsną« – z kilkuset rodzinami deweloperowi za prawie pół miliarda złotych. Zamiast walczyć o miejską własność terenu, Jaśkowiak do dziś odgradza się od mieszkańców, odmawia spotkań z nimi, obraża ich i traktuje jak hołotę, którą da się swobodnie przesiedlić.

Tort guerrilla

deweloperów i możnych interesantów ma szeroko rozpostarte ramiona. Najbardziej spektakularnym wyrazem tej postawy była rejterada podczas interwencji poselskiej Marceliny Zawiszy – odmawiając rozmowy, w obecności kamer Jaśkowiak ostentacyjnie opuścił spotkanie (ale „trzeba rozmawiać”).

Kilkanaście dni temu podczas posiedzenia rady miasta, która miała udzielić prezydentowi absolutorium, na salę weszli przedstawiciele środowisk społecznych od dawna krytykujących prezydenta Jaśkowiaka, a członek Krajowej Komisji Rewizyjnej Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Inicjatywa Pracownicza oraz poznańskiej komisji międzyzakładowej Kamil Siemaszko, świętujący tego dnia 40. urodziny, przyłożył prezydentowi śmietanowym tortem. Został zatrzymany w dość brutalnej interwencji i oddany w ręce policji. Z towarzyszącym mu działaczem związkowym Patrykiem Szynkowskim trafił na policyjny dołek, gdzie obydwaj spędzili noc. Obecnie policja przygotowuje akt oskarżenia o naruszenie nietykalności urzędnika państwowego i szafuje groźbami trzech lat więzienia.

Jacek Jaśkowiak, który uwielbia się prezentować jako „silny” prezydent, na dodatek jest bokserem i bierze udział w walkach bokserskich (w 2023 r. stoczył w celach charytatywnych walkę z byłym mistrzem Europy i wielokrotnym medalistą mistrzostw Polski Mateuszem Masternakiem), w kontakcie z bitą śmietaną oświadczył, że doznał radykalnej przemocy, i nazwał krytykujących go działaczy hołotą.

Rzucanie w polityków tortem to dobrze znana metoda bezprzemocowego obywatelskiego nieposłuszeństwa. Zdrowie prezydenta nie było zagrożone. Nic nie wiemy o tym, by był uczulony na śmietanę. A porównanie

• Droga komunikacja miejska, stały kurs na podwyżki, skutkujący jednymi z najwyższych cen biletów w Polsce.

• Kolejne skandale w miejskich spółkach, horrendalne pensje dla ich szefów oraz brak realnej odpowiedzialności za ich funkcjonowanie.

• Patodeweloperka: Jaśkowiak podporządkował rozwój miasta interesom deweloperów kosztem przestrzeni wspólnej i miejskiej zieleni. Kolejne protesty mieszkańców są kompletnie ignorowane”.

Zaiste – fenomenem jest niezauważanie skrajnie przemocowych działań prezydenta i koncentrowanie się na niezwykłym podobno wymiarze przemocy śmietanowej, której doznał. Gorzkie żale wylewa Jaśkowiak na temat swojego – a jakże – bardzo drogiego garnituru, gdy o losie kilkuset mieszkańców Osiedla Maltańskiego, zawłaszczonego i obecnie przehandlowanego przez Kościół katolicki – nie ma zamiaru rozmawiać i unika konfrontacji z miejską tragedią.

Każdy opór społeczny wywołuje we władzy reakcje histeryczne i nieadekwatne do ich realnego znaczenia. Tort śmietanowy na twarzy zadufanego polityka zaczyna się jawić jako zrzucenie bomby atomowej. Tymczasem kontakty z politykami z Izraela, państwa oskarżanego przez międzynarodowe trybunały sprawiedliwości o zbrodnie ludobójstwa, jakoś wrażliwych na przemoc nie zmuszają do reakcji. A czym jest kultywowanie takich kontaktów jak nie pokazem skrajnej przemocy władzy? Rozmowy z ludźmi odpowiedzialnymi za zbrodnie ludobójstwa są wygodniejsze i łatwiejsze niż rozmowa z polską posłanką?

Wielkie uznanie za urodzinowy gest Kamila, wszystkiego najlepszego na drodze do bardziej sprawiedliwego i równego Poznania i świata w ogóle. Śmietana w służbie sprawiedliwości – jestem bardzo za. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Jazz… To jest całe moje życie

Muzykowanie na żywo. Nie same nuty

Rozmawia Robert Walenciak



HENRYK MIŚKIEWICZ
– saksofonista, kompozytor, aranżer, legenda polskiego jazzu, muzyk wszechstronny. Trzykrotny laureat Fryderyka – nagrody polskiego przemysłu fonograficznego. Członek Akademii Fonograficznej ZPAV. Ojciec perkusisty jazzowego Michała Miśkiewicza i piosenkarki Doroty Miśkiewicz. W czerwcu 2026 r. świętuje 75. urodziny.

Jest jazz?

– To jest cały czas żywa muzyka.

A dixie?

– Te początki? Młodzież tego już nie gra. Szkoda, bo to świetna muzyka, pod nóżkę… Ludzie do tego tańczyli. Od tego zaczęła się moja przygoda z jazzem. Miałem 12 lat i do Kożuchowa, gdzie mieszkaliśmy, przyjechał zespół Zygmunta Wicharego, który grał dixieland. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem jazz. I poczułem: to jest to! A tydzień wcześniej słyszałem Trubadurów.

I?

– I nic. A tu przyjechał zespół, który grał trudniejszą muzykę. I od razu tak mnie wzięło, że nie mogłem usiedzieć.

Na początku miał pan grać na akordeonie.

– W Kożuchowie było ognisko muzyczne. Grałem tam na akordeonie, potem na klarnecie. A później mój profesor powiedział, że powinienem iść do szkoły, do Wrocławia, że tam się więcej nauczę. Widział we mnie talent. Dużo zawdzięczam nauczycielom. Bo później ci z Wrocławia mówili, żebym jechał do Warszawy. I tam zdawał.

Od najmłodszych lat ciągnęło pana do muzyki.

– Jak ojciec szedł grać na wesele – bo co sobotę, niedzielę albo była zabawa, albo wesele – to ja jako 10-latek stawałem w drzwiach i prosiłem: „Tata, weź mnie z sobą!”. Często więc mnie brał i grałem. Umiałem już wtedy grać na akordeonie. Na saksofonie też trochę, bo się od ojca uczyłem. I jak to na weselu, każdy muzyk miał swoją chwilę słabości. Perkusista miał kłopoty? Wtedy wskakiwałem za bębny i grałem na bębnach. Trębacz zasłabł – to na trąbce też się nauczyłem.

Człowiek orkiestra!

– To najlepsza szkoła – muzykowanie na żywo. Nie same nuty, tylko żeby znaleźć się w muzyce. Mama opowiada – jeszcze żyje, ma 102 lata – że jak wojna wybuchła i Niemcy wysiedlili jej rodzinę z dużego gospodarstwa w województwie poznańskim – a mieli piękne gospodarstwo, z dorożkami – to najcenniejsze dla nich były instrumenty. Chowali je pod podłogą z nadzieją, że jak wrócą, to je odzyskają. Żeby Niemcy ich nie zniszczyli. To były przecież dawne czasy, nie było radia, nic. We wsi wiele rodzin grało po to, by sobie pośpiewać, potańczyć. A moja rodzina była wyjątkowa, wszystkie siostry grały. Ludzie wspólnie muzykowali. I świetnie się bawili.

We Wrocławiu wszedł pan w klubowe granie. Kluby studenckie!

– Było ich kilkanaście. Przychodzili młodzi ludzie, jedni potańczyć, drudzy posłuchać. Widownia była żywiołowa. To był wzajemny wpływ – sceny na publiczność i publiczności na scenę. W ogóle – bez koncertów jazz nie żyje. Dziś są głównie w salach koncertowych, bo klubów jest coraz mniej. A w klubach było najbardziej ekscytujące granie.

I mając 16 lat, w roku 1967, zdobył pan nagrodę na festiwalu Jazz nad Odrą. Do polskiego jazzu wszedł pan z futryną.

– Wyglądałem też po jazzowemu. Jak przyjechałem do Kożuchowa, miałem długie włosy, zarost, długi płaszcz w jodełkę… Jak szedłem ulicą, starsze panie pluły na mój widok. A teraz jestem honorowym obywatelem Kożuchowa!

Mówi pan o sobie: muzyki słucham coraz mniej, koncertów gram coraz więcej. Pięknie jak na 75 lat!

– Mam swój zespół Full Drive. Energetyczny, bardzo podoba się publiczności: gitara elektryczna, gitara basowa. To jest fajne granie. Mam też nową rolę, środowisko uznało, że jestem następcą Ptaszyna, mam przejąć po nim pałeczkę. Gram więc z jego starym zespołem jego utwory, dajemy koncerty. To niezapomniana postać, ważne jest, żeby pamięć o nim trwała. Polskie Radio z kolei zamówiło program poświęcony pamięci Jerzego „Dudusia”

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Matuszkiewicza. To jeden z twórców polskiego jazzu.

Potem komponował muzykę filmową.

– Do muzyki filmowej stosuję kwartet akustyczny, gramy filmowe melodie „Dudusia". Przearanżowałem je, to są znane utwory.

„Stawka większa niż życie", „Czterdziestolatek", „Janosik"... Pańska muzyka jest na wielu ścieżkach filmowych. Jak pan trafił do filmu?

– Nie byłem wtedy muzykiem stricte jazzowym, ponieważ grałem w orkiestrze Andrzeja Trzaskowskiego. Tam nagrywaliśmy różną muzykę, piosenki, muzykę do filmów, do teatru.

To była Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji Studio S-1 w Warszawie.

– Tak więc ta muzyka była różna. Grałem przecież na płytach z Ireną Santor, Anną Jantar, z Krzysztofem Cugowskim i wieloma innymi...

A muzyka filmowa, którą pan grał? To kompozytorzy pana zapraszali?

– To było trochę później. Jak się zorientowali, że z jedną piosenką dałem sobie radę, z drugą, to wiedzieli, że będzie dobrze. Pamiętam pracę z Michałem Lorencem. Jak mnie brał na nagranie, to siedziałem i słuchałem, a on opowiadał mi cały film. Żebym wszedł w klimat, bo później będzie jakaś scena. Potem brałem instrument. On mówił, ja grałem: „No i tutaj, wiesz... No tu ci opowiadałem, to teraz... musisz czuć! Teraz zagraj coś tutaj... Dobrze! Teraz scena miłosna będzie, wiesz... Tu się całują i tam później to wszystko idzie, wiesz jak... Rozkręca się". Więc gram, gram. Na początku spokojnie... Potem rozkręcam się, rozkręcam, jest szybko... Patrzę, a Michał macha! Przerywa mi! „Heniu! – woła – za szybko! Oni się dopiero całują...".

Trzeba więc było jeszcze raz?

– Później mówił: „Heniu, jeszcze raz mi uratowałeś film! Zawsze wiedziałem, że tylko ty!".

Myślałem, że pan widzi ten film i gra pod obraz, z nut.

– Różnie różni kompozytorzy pracowali. Byli tacy, którzy opowiadali. A byli tacy, co napisali, od początku do końca, wszystko precyzyjnie. Tak jak „Duduś" Matuszkiewicz. Wszystko było policzone. Daje nam nuty: „Oto fragment, cztery minuty, siedem sekund". Więc gramy. Skończyliśmy. O dwie sekundy się nie zgadzało. Patrzy. „Trochę za szybko... Jeszcze raz zagrajcie".



Koncert urodzinowy. Nz. od lewej z tyłu: Sławomir Kurkiewicz i Robert Kubiszyn, z przodu Adam Nowak, Grzegorz Turnau,Dorota Miśkiewicz, jubilat, Michał Miśkiewicz i Marek Napiórkowski. Łomianki, 2 czerwca 2026 r.

A w „Czterdziestolatku"?

– Do „Czterdziestolatka" muzyka była napisana. Tylko zagrać. A „Psy" – to już nie było napisane. Podkład był nagrany, orkiestra też, a ja solo, tak jak Michał Lorenc opowiadał. Nastrój miałem oddać. Tak samo było w „07 zgłoś się", tam też mój saksofon się pojawia. Kompozytor Włodzimierz Korcz mówił: „Słuchaj, pościg będzie, tu milicja goni, wiesz, zamieszanie musisz zrobić". A ja grałem.

Łatwo tak opowiadać...

– Każdy jazzman by to zrobił, tylko w różny sposób, jeden tak, drugi inaczej. Jazzmani są szanowani za to, że potrafią się znaleźć w sytuacji muzycznej czasami niespotykanej i nieznanej dla siebie. Zaimprowizować.

Kiedyś jeden ze współczesnych kompozytorów, dość uważany, napisał na Warszawską Jesień utwór dla jazzmanów, pięciu nas zamówił. Polegało to na tym, że było koło, na tym kole pięciolinia i nuty. Myśmy chodzili wokół i mieliśmy te nuty jakoś obgrywać. Był Namysłowski, Stańko, ja, Ptaszyn i Szukalski. No i tak chodzimy, gramy te nuty, gramy i któryś wreszcie mówi: „Panowie, olejmy te nuty, muzykujmy między sobą, rozwijajmy muzykę samodzielnie". No i na koncercie chodziliśmy w koło, ale graliśmy swoje. Skończyliśmy, a tu szał! Standing ovation! Patrzymy, a do publiczności wyskakuje kompozytor, pięć razy się kłaniał. Ani jednej jego nuty...

Granie w orkiestrze, granie muzyki filmowej... Wybrał pan tę drogę świadomie czy tak wyszło?

– I tak, i nie. Przeprowadziliśmy się z moją żoną Grażyną do Warszawy, studiowaliśmy, tu skończyliśmy Akademię Muzyczną. Urodziła nam się Dorotka, potem syn Michał. Warszawa była wtedy miastem zamkniętym. Nie można było dostać pracy na etacie, gdy się nie miało zameldowania. Nie można było dostać meldunku, gdy się nie miało mieszkania. I nie można było kupić mieszkania, gdy się nie miało etatu. Te trzy rzeczy trzeba było zrobić naraz. A ponieważ Andrzejowi Trzaskowskiemu zależało na tym, żebym grał w Orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji, gdzie był dyrektorem i dyrygentem, tak załatwił z władzami telewizji, że te zgody przyszły. Naraz. I mogłem równocześnie i kupić mieszkanie, i się zameldować, bo on dawał mi w swojej orkiestrze etat. W związku z tym zadłużyliśmy się u całej rodziny. W konsekwencji

eprasa.pl 1f84aa2a4f

czego grałem wszystko, co popadło. Żeby spłacić dług.

A życie jazzowe? Chodził pan grać do klubów?

– Podczas pierwszych dwóch lat od zakupu mieszkania od dziesiątej rano byłem w studiu u Trzaskowskiego. Do trzeciej. O trzeciej było pierwsze nagranie, do filmu. Do dziewiątej wieczorem. I od dziewiątej do trzeciej w nocy – drugie nagranie… To trwało dwa lata. Dopiero później zacząłem chodzić po klubach.

No tak…

– Ale dług spłaciliśmy. Wszystko się udało.

Jak zaczął pan chodzić po klubach, to mówiono, że jak gdzieś jest kwintet albo sekstet, to wiadomo, że tam gra Miśkiewicz.

– Byłem zapraszany. Grałem w sekstecie Ptaszyna Wróblewskiego. I w jego Chałturniku. Ale od albumu „More Love", to już były lata 90., miałem swoje zespoły. I od razu nagrałem drugą płytę, z muzyką filmową, „Remembrances".

Piękna płyta. Bardzo lubię „More Love". Delikatna, sensualna…

– Jest w niej dużo romantyzmu, na pewno. To była pierwsza moja płyta w roli lidera. Dużo zawdzięczam Marcinowi Kydryńskiemu, to on mnie do jej nagrania namawiał. A w ogóle to pierwszy raz jako lider wystąpiłem dzięki Janowi Ptaszynowi Wróblewskiemu…

Ptaszyn zaprosił pana na Jazz Jamboree?

– Wywalczył to na zebraniu Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego – że Henryk Miśkiewicz potrafi być liderem. Bo przyklejono mi opinię, że raczej jestem sidemanem.

Skromny, cichy Misiek gra wszystko. Ale dobrze.

– Zawsze mówili mi od nazwiska – Misiek.

Był pan koalą czy grizzly?

– Trochę jednym i drugim (śmiech). Będąc liderem, przede wszystkim trzeba przygotować repertuar. Samemu. Za który bierze się odpowiedzialność. Ściągnąć ludzi, namówić.

A to jest ważne, z kim się gra?

– To jest podstawa. Muzycy specjalnie się dobierają, żeby czuć tak samo muzykę. Jeżeli dusze są wspólne, można bez słowa od razu coś zbudować, coś zagrać. Nie trzeba żadnych uwag, nic. Bo wszystko jest niemal idealne od razu. Ale czasami spotykasz muzyków… z innego świata. I co chwilę trzeba poprawiać. „Nie tak, ja to inaczej słyszę". Więc to, jak się dobierzemy, jest istotne!



Rodzinnie, z kilkumiesięczną Dorotką, z okresu studiów na ówczesnej PWSM w Warszawie.

No i jeszcze repertuar. Gra się pod widownię czy pod siebie?

– Zawsze pod siebie. Ludzie od razu wiedzą – czy w muzyce jest szczerość, czy jej nie ma. To się czuje.

Rozmawiacie o tym?

– Po każdym graniu mówiliśmy sobie, co było fajne, co nie. Sprzyjało temu jeszcze jedno – masa spotkań towarzyskich. Nie było telefonów, więc ludzie się odwiedzali. U nas dom był otwarty. Nasze dzieci to w ogóle myślały – Dorota tak opowiadała – że świat poza muzyką nie istnieje.

Wydawało im się, że każdy gra?

– Dzieci innego świata nie znały. Michał bardzo chciał być perkusistą. Grał więc, na czym mógł. Mieliśmy obtłuczone wszystkie garnki, srebrne tace rodzinne… Jak zaczął grać na perkusji, mieszkaliśmy w Warszawie, w bloku. Mieszkania były akustyczne nieprawdopodobnie! I nie było gdzie ćwiczyć. Obok było przedszkole, do którego wcześniej chodził, Grażyna tam prowadziła zajęcia, więc załatwiliśmy, że Michał może ćwiczyć w bibliotece. Była nieużywana. Ile miał wtedy lat? 15-16… Ale potem, jak remontowali przedszkole, syn musiał się przenieść do piwnicy, gdzie trzymano kartofelki. Przychodzę, a on w kurtce, zziębnięty, bo w piwnicy zimno. I ćwiczy.

I co pan na to?

– Razem tłukliśmy w tych kartoflach, on na perkusji, ja na saksofonie. On zaczął się już wtedy interesować muzyką Coltrane'a, Milesa Davisa. I te coltrane'owskie frazy graliśmy w duecie. Miał 16 lat…

Tyle, ile pan miał we Wrocławiu, na festiwalu Jazz nad Odrą…

– Ptaszyn wziął go wtedy do swojego zespołu, pograli razem i pojechali do Lublina na koncert. To był debiut artystyczny Michała, płytę tam nagrali. I cały rok koncertowali.

16-latek poszedł w ślady ojca.

– Może dzięki temu, że tak z nim grałem?

Dlaczego pan z nim grał? Żeby pilnować chłopaka? Czy żeby być razem, bo nie miał gdzie ćwiczyć?

– Ja też nie miałem wtedy gdzie ćwiczyć. To po pierwsze. A po drugie, to była wspólna mobilizacja. Poznawaliśmy jazz. Coś podpowiadałem, on się do tego dostosowywał, ja z kolei do niego. Takie jam session graliśmy, w piwnicy, we dwójkę. My i kartofle. Miło to wspominam.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Pana żona Grażyna opowiada, jak przyjechał pan ze statku, na którym pan grał, a tu zaproszenie na koncert: Dorota Miśkiewicz, warszawskie Stare Miasto, klub Manekin… To był jej debiut.

– Wtedy listy szły długo, komunikacja była żadna, bo to statek… Przyjechałem, a tu Dorota mnie zaprasza na koncert. Na jutro. Jej pierwszy! Też chyba miała wtedy 16 lat. Michał też był, pierwszy raz grał, ledwo dosięgał do tych bębnów. Szok! Nie wiedziałem, że córka pisze piosenki, że śpiewa (bo uczyła się gry na skrzypcach), że cały koncert wymyśliła i zorganizowała.

Pańskie wyjazdy na statki wycieczkowe były dla pieniędzy?

– Żeby zarobić na większe mieszkanie, bo to pierwsze było malutkie. Dużo koncertowaliśmy. Pamiętam trasę z Ewą Bem, miesięczną, po Skandynawii. Było minus 10 stopni na dworze, a myśmy spali, cały zespół, w domku kempingowym. Albo w przyczepie samochodowej, podgrzewanej.

A na statkach?

– Tam trzeba było występ za występem grać. Na statku, na którym pływaliśmy, grała też Harry James and His Orchestra. To stara orkiestra, założona jeszcze w latach 30. tamtego wieku, śpiewał z nią Frank Sinatra – do tej pory działa! Grali świetnie. Chodziłem na każde ich show i nie mogłem się nasłuchać. I oni nas pytają, co my robimy. „Jak to co? Gramy". „To, że gracie, to my widzimy, ale z czego żyjecie w kraju?". „Żyjemy z grania". „Jak to z grania?", zaczęli się dziwić. Oni wszyscy w tej orkiestrze – jeden był fryzjerem, drugi prawnikiem, trzeci nauczycielem. Każdy żył z czego innego, a grali, bo lubili i kształcili się, żeby dobrze grać, bo konkurencja w Ameryce jest ogromna. Mówili: „W Stanach z grania to żyje Herbie Hancock, żyje Miles Davis i jeszcze paru. Inni to gdzieś pracują". I u nas idzie chyba w tę stronę, jak to widzę…

Pan miał etat w orkiestrze Polskiego Radia.

– 10 lat tam grałem. Dzięki temu mam emeryturę. Na tym etacie dostawałem równowartość 28 dol. miesięcznie. A jak wyjechałem na statek, kontrakt opiewał na 1,5 tys. dol. Dziwi się pan, że muzycy chcieli tam jeździć?

Co graliście na statkach?

– Przeważnie standardy jazzowe. Ale też przyjeżdżali wokaliści, tancerze, do tańca również się grało. Trzy zespoły były na statku – był bardzo ekskluzywny. Dla milionerów amerykańskich.

Kto panu te wyjazdy załatwiał?

– Jurek Bartz, który był bandleaderem, świetny perkusista. To on załatwiał te wspaniałe wyprawy. Był szefem na Polskę i wybierał trasy. Cały świat, najpiękniejsze zakątki. W Rio de Janeiro byliśmy dwa tygodnie przed karnawałem. Poszliśmy do szkoły tańca. Wielka hala i dwie orkiestry, jedna po jednej stronie sali, druga po drugiej. W środku tysiące tańczących ludzi. Nie wiedziałem, czy patrzeć na orkiestrę, czy na tańczących.

A dzisiejsza muzyka? Współczesny jazz?

– Trochę się w niej gubię. Jest skomplikowana rytmicznie i harmonicznie, brakuje w niej melodii. A ja lubię melodię.

I dodaje pan do niej swoje charakterystyczne brzmienie…

– Trzeba mieć swój dźwięk, swój język. To się ceni. Nuty – można się ich nauczyć. Ale samego brzmienia, takiego, żeby każdy to rozpoznał…

A panu jak się to udało? Samo wyszło?

– Dużo dało mi klasyczne wykształcenie muzyczne, gdzie bardzo zwraca się uwagę na dźwięk. Nad brzmieniem się pracuje. Żeby było ładne, stylowe i charakterystyczne. Ale nie wiem, jak to mi wyszło, chyba z duszy. I z serca. Jedni to mają, drudzy nie. Stańko ma. Rozpoznaje się go od razu. Ptaszyn i Namysłowski też mają. Natomiast młodzi ludzie, którzy teraz grają… Nie rozpoznaję ich. Szkoły są te same. We wszystkich uczą tych samych standardów. Wszyscy to samo ćwiczą. Są świetni technicznie, ale… Jazz to nie tylko nuty, trzeba mieć własny język muzyczny. Kiedyś, jak się coś spodobało, musieliśmy posłuchać na płycie, spisać solówkę i się jej nauczyć. W ten sposób człowiek się wgłębił w muzykę. Bardziej, niż jak się dostaje gotowe nuty. Zdarzają się jednak wyjątki, wielkie talenty.

I chyba trzeba dużo koncertować, bawić się z publicznością. Pan lubi koncerty.

– To jest całe moje życie. To nagroda za wszystkie próby muzyczne, przygotowania materiałów, komponowanie i aranżowanie utworów. Ale najpierw jestem kierowcą. Wiozę zespół. Jak dojedziemy, zwiedzam miasto, zjem coś dobrego w restauracji… A wieczorem mogę sobie pograć. I jeszcze zapłacą (śmiech). Po koncercie – impreza z muzykami. Wspaniale jest! Jak święto.

Teraz koncertuje pan z okazji 75. urodzin. 2 czerwca były Łomianki, gdzie pan mieszka. Pełna sala plus dostawki.

– Mam jeszcze koncerty urodzinowe w Katowicach (NOSPR) i we Wrocławiu (NFM), gdzie będzie wielu wspaniałych muzyków, a zaśpiewają m.in. Kuba Badach, Anna Maria Jopek i Grzegorz Turnau. Koncerty poprowadzi Artur Andrus. Też zapowiada się pełna sala.

To ważne, prawda?

– Zawsze jest to samo uczucie. Przyjeżdżamy, kiedy jest pół godziny do koncertu, już po próbie, wszystko gotowe. A jednak. Człowiek patrzy: jak jest? Czy będzie komplet? Kto przyszedł? Jest jakaś niepewność. Dreszczyk emocji. Bo zawsze jest inna publiczność. A potem koncert – i gramy, i są brawa!

Wszystko wam się z Grażyną udało. Rodzina, dzieci, zawsze jesteście razem, kariera, dom, ogród…

– Udało się, tak. Szczęśliwy jestem. I nie tracę apetytu na dalsze muzyczne przygody.

Muzyki słucham coraz mniej, koncertów gram coraz więcej.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), Z ARCHIWUM H. MIŚKIEWICZA

eprasa.pl 1f84aa2a4f

WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Christie Dashiell 4tet – Journey in Black



To jeden z niewielu w Polsce i Europie tego typu festiwali – o międzynarodowym zasięgu, adresowany do szerokiej publiczności i – podkreślmy – o całkowicie bezpłatnej formule. Rynek Starego Miasta w letnie sobotnie wieczory już od 30 lat rozbrzmiewa jazzem. Najlepszym. W tej malowniczej scenerii każdy może posłuchać światowych gwiazd oraz wybitnych polskich artystów, być świadkiem wydarzeń o międzynarodowym charakterze, zapoznać się z premierami i projektami prezentującymi różnorodne oblicza jazzu.

Cykl rozpoczyna wokalistka i kompozytorka żyjąca na muzycznym skrzyżowaniu, gdzie spotykają się jazz, soul, R&B, blues i gospel. Koncerty Christie Dashiell są celebracją czarnej muzyki i potęgi głosu. Usłyszymy jej najnowszy album „Journey in Black", który został nominowany do Grammy w kategorii Najlepszy jazzowy album wokalny. Zawiera głównie autorskie kompozycje, łączące brzmienia muzyki improwizowanej z różnymi stylami muzyki afroamerykańskiej.

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 4 lipca, godz. 19

(ap)

MIĘDZY OKŁADKAMI



Sławek Gortych
Święto Karkonoszy
W.A.B., Warszawa 2026

Cykl schroniskowy Gortycha – kryminalnych historii sięgających II wojny i momentu przejmowania Dolnego Śląska przez Polaków, podkreśla wyjątkowość tych ziem, leżących na styku trzech krajów. Tożsamość i dziedzictwo regionu budzą coraz mniej obaw, a coraz większe zainteresowanie i potrzebę ich upamiętnienia. Autor inspiruje się prawdziwymi wydarzeniami, tym razem nie losami poszczególnych schronisk, lecz całego miasta, Jeleniej Góry. Materii twórczej dostarczyły zaś opowieści czytelników, potomków ludzi, którzy szukali tu domu po powrocie z wojennej tułaczki lub przesiedleni ze Wschodu i albo starali się stworzyć ten dom w nowym miejscu, albo trawiła ich tęsknota za dawnym. Na wielki plus trzeba autorowi zapisać nie tylko propagowanie historii, ale też wpajanie w bardzo atrakcyjnej formie szacunku dla Karkonoszy. Kto go czyta, nie wyruszy na szlaki nieprzygotowany na zmienne warunki i nie będzie się naigrawał z Ducha Gór.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

Gorzka komedia

Gabriela Zapolska opatrzyła „Ich czworo" podtytułem „Tragedia ludzi głupich". Najwyraźniej chciała określić stosunek do bohaterów, którzy zapatrzeni w swoje egoistyczne gry zapomnieli o kimś naprawdę bezbronnym – o dziecku. Aby wzmocnić społeczną wymowę sztuki, w spisie osób określiła tylko funkcję postaci (Mąż, Żona itp.), bez imion i nazwisk. Całość wzięła w nawias przypowieści w duchu Dickensa – rozpoczyna i kończy komedię monolog Mandragory, ducha opowieści, wyrażający opinie autorki.



Marek Kalita w rzetelnie zbudowanym spektaklu poszedł tym tropem, a nawet wzmocnił postać Mandragory (Maksymilian Termin), obdarzając go talentem iluzjonistycznym i przydzielając tekst kilku pobocznych postaci. W ten sposób duch opowieści niemal cały czas towarzyszy wydarzeniom.

Ta lekka poetyzacja nie zatarła charakterystycznych cech postaci, zarysowanych u Zapolskiej zamaszyście, z intencją karykaturalną. Skorzystali z tego aktorzy, tworząc soczyste portrety profesora safanduły (Mariusz Zaniewski), pogubionej Zony (Aleksandra Popławska), przedsiębiorczego Kochanka (Kamil Szeptycki), naiwnej a kochliwej Wdowy (Renata Dancewicz w brawurowej roli) i sprytnej Krawcowej (Joanna Balasz). Wszyscy są zajęci sobą i nie liczą się z uczuciami osamotnionej dziewczynki (Zosia Orłowska na zmianę z Niną Różewską), jedynie Wdowa, osoba obca, zwraca na nią uwagę.

Akcja toczy się w dobrym tempie, bywa śmiesznie i w pewnym sensie strasznie. Kalita dowodzi, że mimo zmienionych okoliczności w ludzkiej psychice nie wygasły te same płaskie marzenia i zgubne namiętności. Tragedia ludzi głupich trwa.

Tomasz Miłkowski

Gabriela Zapolska, „Ich czworo", reżyseria Marek Kalita, Teatr Komedia w Warszawie, premiera 16 maja 2026

Latawica w TR Warszawa



Spektakl byłby w tradycyjnych środowiskach prowincjonalnych potraktowany terminem „latawica", ale w stolicy może uchodzić za apoteozę feminizmu. Dlatego tylko 0,5-1% widzów opuszcza salę przed końcem. Pozostali śmieją się często i gęsto. Teatr ostrzega osoby nieletnie i bardziej pruderyjne.

Bronisław Tumiłowicz

Erica Jong, „Strach przed lataniem", tłumaczenie Anna Dzierzgowska, reżyseria Weronika Szczawińska, adaptacja i dramaturgia Piotr Wawer jr, TR Warszawa, premiera 13 czerwca 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAREK ZIMAKIEWICZ, ADRIAN LACH, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 1f84aa2a4f



Oko w oko Tomasz Jastrun

Rozszarpywanie krzyża

Robert Bąkiewicz i jego szturmowy oddział pojechali do Berlina dźwigać duży, drewniany krzyż. Zamierzali go postawić na pohybel szwabom obok miejsca upamiętniającego męczeństwo Polski. Bąkiewicz nam dojrzewa i rośnie w oczach. Uderza w tym człowieku niezwykła harmonia, jego uroda i duchowość tworzą godną podziwu jedność. To dziecko PiS, ich wychowanek i ulubieniec. Czasami tylko z lekka od niego się dystansują, porządny chłopak, ale bywa, że przesadza. Generalnie to jednak nasz człowiek. Tak, to jest wasza prawdziwa twarz, niekiedy ukrywana pod maską. Prezesowi zresztą coraz częściej ta maska spada, stał się nerwowy, też dlatego, że traci kontrolę nad partią.

Niemiecka policja zarekwirowała niesiony krzyż, była wielka szarpanina, wyrywano go sobie, szarpano jak kawał sukna, w końcu skuto kajdankami naszych wysłanników Chrystusa. Skuwani wołali: „Gestapo, gestapo!". Niemcy nas biją! Wzruszyłem się. A prezes woła w związku z tym wielkim głosem: „Jedynego, czego możemy się spodziewać ze strony Niemiec, które ani nie przepracowały swojej nazistowskiej i imperialistycznej przeszłości, ani swojego stosunku do Polaków, to noża w plecy".

Polska jest w strasznej sytuacji, zupełnie jak w 1939 r. Niemcy nam nóż w plecy, a Ukraińcy nóż w brzuch. A tak naprawdę to groźni jesteśmy sami dla siebie, co ma długą tradycję. I aktualne jest, co pisał Jan Pasek w „Pamiętnikach" z roku Pańskiego 1664. Uprzykrzyła się nam wojna z nieprzyjacielem, zachciało się nam spróbować samym ze sobą.

•

Afera szpitalna i jazgot prawicy, nagonka z udziałem licznych czworonogów. Oczywiście, że zarobki tego lekarza w państwowym szpitalu to horror. A to, że był radnym PO, obciąża tę partię. Chyba nie kradł, nie brał łapówek, wszystko było zgodne z prawem (ale teraz zaczęto go nawet podejrzewać, że krzywdził pacjentów). Był bezkarny, więc system jest chory, za to odpowiedzialne są wszystkie partie. Jeśli istniała „szybka ścieżka" dla znajomych polityków, to można powiedzieć, że skandal, ale przecież to norma. Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto nie korzystał z medycznych znajomości. Jeśli czeka się na zabieg czasami kilka lat, musi to rodzić korupcję. Ja mam inną szybką ścieżkę badań i zabiegów. Jako „antykomunistyczny bojownik" posiadam legitymację, która mnie upoważnia, by nie czekać w kolejce. Nigdy z tego nie korzystałem, bo jakoś głupio, a miałem kilka operacji i zabiegów. Ale który chory, gdy jest w potrzebie, nie szuka znajomych lekarzy albo znajomych mających znajomych lekarzy? Nie znam nikogo, kto tego nie robi. Ci, co dobrze zarabiają, idą zwykle do znanego profesora i ten uruchamia błyskawiczną ścieżkę do zabiegu i leczenia. Jeśli ta sprawa ma być kolejną „ośmiorniczką" i zatopi KO, wszyscy pójdziemy z nią na dno. A tam są tylko ryby głębinowe.

•

I odebrali Order Orła Białego Zełenskiemu. Odesłał go kurierem. Odznaczenie należy wstawić do gabloty w muzeum polskich głupot. A to duże muzeum. Dawni prezydenci Ukrainy też odsyłają swoje odznaczenia. Najwięcej mówi komentarz Dmitrija Miedwiediewa, kiedyś prezydenta, premiera, obecnie wiceprzewodniczącego rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa. „Prezydent Polski w końcu pozbawił nazistowskiego degenerata z Kijowa Orderu Orła Białego. Jestem pewien, że nie będzie to problemem dla naczelnego banderowca – teraz na jego zielonej bluzie będzie więcej miejsca na hitlerowski Krzyż Żelazny". Nawrocki i nasi nacjonaliści są w dobrym towarzystwie, idą ramię w ramię.

Tak naprawdę to groźni jesteśmy sami dla siebie.

Bez względu na to, jak będziemy się oburzać na Zełenskiego – to, co zrobił, to polityczny absurd i idiotyzm – Ukraina krwawi, giną setki tysięcy ludzi, a konflikt między Polską i Ukrainą jest wielkim darem dla Putina, śmiertelnego wroga Ukrainy i naszego wroga.

Bywają sytuacje, kiedy zaciska się zęby i znosi zniewagę. Polska od XVIII w. ma poczucie historycznej krzywdy i nie toleruje konkurencji w tej sprawie, przewagi tu Żydów czy aspiracji Ukrainy do męczeństwa. Polskim dramatem jest to, że prezydentem jest tępy nacjonalista i grożą nam rządy nacjonalistów. Trafnie napisał Waldek Kuczyński: „W kraju wszystkie szczujnie prawicowe pracują pełną parą nad zaszczepianiem Polakom antyukraińskiej wścieklizny. Piękny czyn narodu, a nawet ówczesnej władzy w dniach napaści Putina na Ukrainę i kilku następnych latach wali się w gruzy, a z nim wyjątkowo ładny, wzorowy wręcz obraz polskiego społeczeństwa. Wracamy w przypisywane nam wiekowe kapcie, łachy i konwulsje". Obudzono polskie demony. I stajemy się teraz brzydsi, gorsi i głupsi. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Mundial po fazie grupowej

Radości starszych panów

Wojciech Kuczok

W fazie grupowej zrobił nam się mundial trzeciego wieku, zresztą nie tylko za sprawą piłkarzy. Dzień po dniu padały kolejne rekordy – Dick Advocaat, holenderski szkoleniowiec reprezentacji Curaçao, we wrześniu skończy 79 lat i pozostanie najstarszym trenerem, który kiedykolwiek prowadził drużynę na mundialu. Karaibscy nowicjusze urwali punkt Ekwadorowi i zdobyli gola w meczu z Niemcami, co kibice najmniejszego kraju w historii piłkarskich mistrzostw świata (liczba ludności na poziomie Gliwic) uznali za sukces. W dodatku miłośnicy antylskiego likieru wreszcie nauczyli się poprawnie wymawiać nazwę tego kraju, która ku powszechnemu zaskoczeniu wcale nie rymuje się dokładnie z kakao.

Europejscy trenerzy chętnie przerywają emeryturę dla krajów cokolwiek egzotycznych piłkarsko – Belg Hugo Broos wiosną świętował 74. urodziny i futbol wciąż go bawi, Republika Południowej Afryki pod jego wodzą wyszła z drugiego miejsca w grupie, choć przypisać to należy raczej słabości rywali, zwłaszcza naszych południowych sąsiadów. Starszy od Broosa Miroslav Koubek przywiózł na mundial słabiutką kadrę Czech, która z każdym meczem grała gorzej, by na pożegnanie imprezy przegrać trzema golami z Meksykiem. W Afryce odnalazł się także 73-letni Carlos Queiroz, trenerski obieżyświat z Portugalii, który tuż przed mundialem przejął kadrę Ghany. Afrykanie mogli sprawić największy szpryngiel drugiej serii gier grupowych, ale zostali skrzywdzeni przez sędziego, z Anglią uzyskali zatem tylko niespodziewany remis zamiast sensacyjnego zwycięstwa.

O ile życie selekcjonerskie po siedemdziesiątce ma się całkiem nieźle, o tyle życie piłkarskie po czterdziestce nigdy nie miało się tak dobrze. Na tym mundialu wystąpiło co najmniej siedmiu zawodników urodzonych przed czterema dekadami. Cristiano Ronaldo na tle kiepskich Uzbeków wyglądał całkiem żwawo i został najstarszym w historii autorem mundialowego dubletu. Luka Modrić wychodzi na boisko jako kapitan Chorwatów, Edin Džeko powiódł Bośnię i Hercegowinę do zwycięstwa z Katarem i awansu z grupy, do tego występy zaliczyli aż czterej bramkarze w wieku inżyniera Karwowskiego. Manuel Neuer w bramce niemieckiej, Fernando Muslera jako golkiper Urugwaju, Vozinha między słupkami Republiki Zielonego Przylądka i wreszcie Guillermo Ochoa, któremu trener Meksykanów pozwolił zaliczyć występ na szóstym mundialu.

Mundial w przeciwieństwie do rozgrywek klubowych jak dotąd nie okazał się festiwalem nienawiści, to prawdziwy kibicowski karnawał.

Wszyscy oni jednak są w cieniu młokosa z Argentyny – Leo Messi jest jak bohater „Ciekawego przypadku Benjamina Buttona", zamiast się starzeć, młodnieje, właśnie skończył 19 lat, nie żadne tam 39, władował pięć goli w dwóch meczach, a powinien siedem, gdyby lekko nie spalił z Algierią i trafił z jedenastki przeciw Austrii. To, co wyprawia lider Albicelestes na tym turnieju, sprawia, że nawet fanatyczni wyznawcy Kościoła maradońskiego gotowi są uznać, że wprawdzie El Diego pozostaje jedynym bogiem piłki, ale najlepszym futbolistą w historii jest pchełka z Rosario. Cokolwiek jeszcze się wydarzy z udziałem Messiego na stadionach w USA, przeszedł już do historii jako samodzielny lider mundialowych strzelców wszech czasów – przez najbliższe tygodnie zapowiada się fascynujący wyścig Messi-Mbappé, bo ten drugi także nie odpuszcza i trafia w każdym spotkaniu.

Wszyscy najlepsi snajperzy lig europejskich znajdują przyjemność w rywalizacji o tytuł króla strzelców, co cieszy tym bardziej, że mają przecież za sobą wyczerpujący sezon, zakończony ledwie kilkanaście dni przed startem mistrzostw. Oprócz Francuza Messiemu depcze po piętach fenomenalny Vinicius (siedem goli dla Brazylii zdobyło tylko dwóch graczy – Vini i Matheus Cunha) oraz jak zawsze morderczo skuteczny Erling Haaland.

Zauważalnym zjawiskiem na tegorocznym mundialu jest ostateczna deprecjacja posiadania piłki. Nader często wygrywają drużyny, które oddają grę rywalom, czyhając na kontrataki. Nie wystarczy piłkę mieć, trzeba jeszcze wiedzieć, co z nią zrobić, czego najlepszym przykładem była postawa Turków. W pierwszych dwóch meczach mieli miażdżącą przewagę posiadania, oddali 60 strzałów i nie zdobyli punktu ani bramki. W ostatnim starciu z USA to gospodarze byli przy piłce częściej, ale Turcy pożegnali się z imprezą zwycięstwem.

Nawet kiedy na murawie dzieją się rzeczy arcyciekawe, warto spoziérać na trybuny – mundial w przeciwieństwie do rozgrywek klubowych jak dotąd nie okazał się festiwalem nienawiści, to prawdziwy kibicowski karnawał. Jeśli chodzi o masowe performansy, świat podbijają norwescy wikingowie, wiosłujący rytmicznie podczas gier swojej kadry – po

eprasa.pl 1f84aa2a4f



Mboladinga w stylówie Lumumby – rogowe okulary i garniak w narodowych barwach – ani drgnie przez cały mecz kadry, bez względu na to, jak sobie radzi jego ukochana reprezentacja. Monterrey Stadium w Guadalupe, 23 czerwca 2026 r.

ostatnim zwycięstwie dołączyli do nich piłkarze.

Najciekawszym przypadkiem jest niejaki Michel Nkuka Mboladinga, znany powszechnie jako Lumumba Vea. Amerykanie go nie wpuścili, bo się boją wirusa ebola, który ponoć szaleje w środkowej Afryce. Na szczęście drugi mecz Demokratyczna Republika Konga grała po stronie meksykańskiej. Facet jest żywą kopią pomnika Patrice'a Lumumby, bohatera narodowego Kongijczyków, który przyczynił się do odzyskania niepodległości kraju, przez dekady pozostającego belgijską kolonią. Mboladinga w stylówie Lumumby (rogowe okulary i garniak w narodowych barwach) zastyga z podniesioną ręką i ani drgnie przez cały czas trwania meczów kadry, bez względu na to, jak sobie radzi jego ukochana reprezentacja.

Afryka na tej imprezie ma się całkiem nieźle, poza Tunezją wszystkie ekipy przetrwały do ostatniej serii gier grupowych z szansami na awans, powiedzieć zatem, że dodają imprezie kolorytu, wcale nie byłoby rasistowskim lapsusem. Skądinąd słabość Tunezji wzmaga bóle fantomowe kibiców reprezentacji Polski, bo mamy pełne prawo domniemywać, że gdyby nasi w marcu awansowali, po raz pierwszy od czasu orłów Górskiego zdołaliby wygrać mecz otwarcia. I choć najpewniej na tym zwycięstwie by się skończyło, mielibyśmy swoje kilka dni błogiej chwały.

Tak jak mieli je Szwedzi, dopóki nie przekonali się o sile Holendrów w jednym z najlepszych dotąd mundialowych spotkań. „Lecz przecież myśmy dwukrotnie z Holandią zremisowali!", słyszę uszami wyobraźni, „Urban ma na nich patent!". Ach, alternatywna historia tych mistrzostw świata rozkręca mi się w głowie na dobre: oto Polska po dwóch meczach ma cztery punkty i pewny awans. A potem, jeszcze przed grą z samurajami, Tusk obiecałby Polakom premię za awans (jak sama nazwa wskazuje, premier jest od premii), a Nawrocki natychmiast by się żachnął i nagrodę podwoił. Biało-Czerwonym znowu by się we łbach poprzewracało od dzielenia obiecanego hajsu, dostaliby od Japonii łomot, wyszli z trzeciej lokaty i trafili na Francję, z którą jak zwykle Lewandowski strzeliłby honorowo z powtórzonego karnego na pożegnanie turnieju.

Gdyby kto chciał nacieszyć oko nie tylko kwestiami pozaboiskowymi, ale i tymi spoza trybun, niech śledzi mecze rozgrywane na Monterrey Stadium w Guadalupe. Oszałamiający widok na pobliskie Cerro de la Silla czyni go jednym z najpiękniej położonych obiektów sportowych na świecie. W nocy z poniedziałku na wtorek rozegrany zostanie na nim jeden z hitów pierwszej fazy play-off: Maroko zagra z Holandią i zaprawdę wyjątkowo parszywy to regulamin, skoro jedna z tych wyśmienitych ekip będzie musiała z mundialem się pożegnać. Drabinka jest dość bezpardonowo ułożona pod gospodarzy – do trzeciej rundy Kanadyjczykom wystarczy pokonać RPA, USA zmierzą się z Bośnią, a i Meksykanie trafiają na przeciętnych rywali. Na razie zatem gospodarzom pomagają szczeble, być może ściany, pozostaje mieć nadzieję, że nie zaczną tego robić także sędziowie. ■

FOT. NAYRA HALM/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Kogo przegna rewolucja flamingów

Albańczycy chcą innej wizji przyszłości niż ta, którą oferuje im premier Rama

Chrystian Ślusarczyk

Inwestycja zięcia Donalda Trumpa na albańskiej lagunie stoi pod coraz większym znakiem zapytania. Jared Kushner nie przewidział buntu młodych Albańczyków, ich nienawiści do rodzimych polityków.

Powiedzieć, że w Albanii Amerykanie są lubiani, to jak nic nie powiedzieć. Stany Zjednoczone są tam postrzegane jako największy obrońca praw człowieka. USA to dla Albańczyków synonim wolnego świata. Miłość tę pogłębiło militarne, dyplomatyczne i gospodarcze wsparcie Ameryki dla braci z Kosowa, których interesy Albania reprezentuje na arenie międzynarodowej. Poza tym USA ułatwiły trzymilionowej Albanii drogę do NATO. Tę atencję Albańczyków widać wszędzie: od Jeziora Szkoderskiego na północy po Sarandę na południu. Dozgonna wdzięczność przejawia się m.in. w wymyślnych graffiti, wizerunkach prezydenta USA czy rozmaitych hasłach o wiecznej przyjaźni pisanych perfekcyjną angielszczyzną. Wybór Donalda Trumpa na prezydenta i zmiany w otoczeniu Białego Domu nijak tego uwielbienia nie zmniejszyły.



Protesty w Tiranie. Albańscy ekolodzy, którzy protestują także w okolicach laguny, niosą wielkie flagi z wizerunkami różowych flamingów. 4 czerwca 2026 r.

Laguna Vjosë-Nartë zagrożona

Większość turystów odwiedzających południe Albanii i okolice miasta Wlora decyduje się na „pasywny" wypoczynek na okolicznych plażach. Nie wszyscy jednak wylegują się nad błękitną wodą. Niektórzy wybierają wypady nad Vjosë-Nartë, lagunę oddzieloną od morza wąskim pasem dzikiej zieleni i niezabudowanych plaż Dalan i Hidrovori. Odwiedzają je nieprzepadający za plażowymi drinkami z parasolką kamperowcy z Europy Zachodniej. Uroku Vjosë-Nartë dodaje bliskość nie tylko szmaragdowych wód Adriatyku, ale i dzikich gór.

Krajobraz chroniony Vjosë-Nartë to duma Albańczyków, naturalny obszar blisko wybrzeża Adriatyku z terenami podmokłymi, gruntami rolnymi i lasami. Rozciąga się na ok. 19,7 ha. W rejonie laguny lokalna społeczność od pokoleń uprawia rybołówstwo i inne zajęcia związane z wodą. Ludzie doskonale też zdają sobie sprawę, że w tym niezwykłym zakątku każda ingerencja we florę i faunę stanowi zagrożenie ich bytu. Nie dziwi zatem, że mieszkańcy aktywnie uczestniczą w wysiłkach na rzecz objęcia pieczą okolicznych terenów. Obszar uzyskał status krajobrazu chronionego w 2004 r. Ta decyzja albańskiego rządu stała się punktem zwrotnym w wysiłkach mających na celu ochronę naturalnych ekosystemów i zasobów regionu.

Szczególnie upodobały sobie Vjosë-Nartë flamingi, stając się symbolem tego regionu. Zarówno tutejsze flamingi (jest ich ok. 3 tys.), jak i pelikany dalmatyńskie to gatunki zagrożone, które w okolicach laguny budują gniazda i składają jaja. Vjosë-Nartë słynie też z żółwi morskich i fok, jest poza tym domem dla połowy populacji kaczek krzyżówek występujących w Albanii i znacznej części krajowej populacji

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 1f84aa2a4f

łyski zwyczajnej z rodziny chruścieli. Znajdują się tam również trzy pomniki przyrody: laguna Limopuo, Wyspa Klasztorna (znana jako Zvërnec) oraz rzadkie wydmy, na których żółwie morskie składają jaja.

Kushner i szemrana spółka

Rząd premiera Ramy na poważnie zainteresował się inwestycjami w tej części Albanii w roku 2020. Jak podaje portal Balkan Insight, status krajobrazu chronionego nie powstrzymał kolejnych rządów przed zatwierdzaniem planów zagospodarowania przestrzennego tego obszaru, w wyniku czego przedsiębiorcy rozpoczęli skup ziemi od osób fizycznych, których roszczenia własnościowe były i są często przedmiotem sporów sądowych. W 2021 r. rząd Ramy znacznie zmniejszył obszar objęty ochroną i dał zielone światło budowie nowego lotniska w pobliskim Akërni koło Wlory.

Bajkowym otoczeniem laguny Vjosë-Nartë zaczęli się interesować także zagraniczni biznesmeni. Jest wśród nich Jared Kushner, mąż córki prezydenta Trumpa Ivanki, polityk i inwestor, oraz jego fundusz Affinity Partners zarządzający aktywami o wartości przekraczającej 4,8 mld dol., pozyskanymi m.in. z saudyjskich, katarskich i emirackich funduszy majątkowych.

Miliarder z prezydenckiej rodziny wyszedł z założenia, że każda inwestycja w tym dziewiczym zakątku Europy, w dodatku w kraju turystycznym miało się znaleźć kilka hoteli, kilkadziesiąt willi i apartamentów, bary, restauracje i odkryte baseny. Waszyngtoński biznesmen gwarantował władzom albańskim, że przy budowie, a później w trakcie funkcjonowania kompleksu, stałą pracę znajdą setki, a może i tysiące Albańczyków. W Tiranie haczyk połknęli. Zarówno premier Edi Rama, który stoi na czele rządu już 13 lat, jak i znany albański polityk Sali Berisha, lider opozycyjnej Demokratycznej

Bajkowym otoczeniem laguny Vjosë-Nartë zaczęli się interesować zagraniczni biznesmeni. Jest wśród nich Jared Kushner, zięć prezydenta Trumpa.

Partii Albanii, uznali, że projekt Kushnera oraz jego partnera biznesowego Ashera Abehsera jest dla Albańczyków nad wyraz korzystny. Obaj politycy od początku zaprzeczali, że działania Kushnera mogą zagrażać tamtejszej florze i faunie. Wsparła ich w tym Albańska Narodowa Rada ds. Terytorium i Wody (Këshilli Kombëtar i Territorit dhe Ujit, KKTU). KKTU wydała pozwolenie na budowę pomimo trwających sporów prawnych dotyczących własności gruntu, na którym mają powstać luksusowe kurorty.

Poczynania Kushnera i spółki wzbudziły gniew Albańczyków. Mieszkańcy okolic Vjosë-Nartë są oburzeni faktem, że nie mają dostępu do podstawowych informacji o osobach, które wchodzą w posiadanie gruntów tak cennych dla kraju.

Niezadowolenie rośnie w Albańczykach z dnia na dzień. Protesty nasiliły się w maju br., kiedy teren budowy został ogrodzony drutem kolczastym.

spoglądającym tak przychylnym okiem na Amerykanów, będzie gwarancją biznesowego sukcesu. Już pierwsze wizyty Jareda i Ivanki w Albanii potwierdziły słuszność tego domysłu – firma Atlantic Incubation Partners LLC powiązana z Kushnerem, która ma realizować inwestycje na obszarze laguny, otrzymała od władz Albanii status inwestora specjalnego. W wielkim kompleksie

A jeśli mimo wszystko, jak to często w Albanii bywa, od przyjaciela znajomego czy znudzonego ochroniarza dane uzyskają, dziwią się, kto tak naprawdę gra biznesowe pierwsze skrzypce. Niedowierzanie wywołały np. niedawne orzeczenia sądowe, z których wynika, że znaczna część tego terenu jest powiązana z amerykańskim biznesmenem pochodzącym z Wlory, Arturem Shehu, oraz byłym prawnikiem rodziny Shehu, Pëllumbem Petritajem. Petritaj odwołuje się obecnie od wyroku skazującego za fałszowanie dokumentów w związku z roszczeniami Shehu do nadmorskich terenów, w tym gruntów, na których ma się rozwijać turystyczny biznes. A niedawno włoska stacja RAI wymieniła Artura Shehu jako objętego śledztwem w sprawie organizacji mafijnej Sacra Corona Unita z siedzibą w południowych Włoszech.

Z fałszowaniem dokumentów własnościowych związani są też dwaj dżentelmeni posiadający paszporty katarskie. Albańska prokuratura zdecydowała o zamrożeniu aktywów katarskich oligarchów, braci Mutaza i Rameza Al-Hajjatów, którzy wcześniej zakupili część terenów na chronionym odcinku koło Wlory.

Albania nie jest na sprzedaż

I Kushnerowi, i jego partnerom biznesowym wydawało się, że reakcja Albańczyków sprowadzi się do narzekania pomiędzy poranną kawą a wieczorną rakiją. Jednak niezadowolenie i poczucie, że są oszukiwani, rośnie w Albańczykach z dnia na dzień. Protesty nasiliły się w maju br., kiedy teren budowy wokół laguny został ogrodzony drutem kolczastym. Takie środki bezpieczeństwa wydały się Albańczykom sporą przesadą. Oliwy do ognia dolała napaść prywatnych ochroniarzy na jednego z protestujących. Na ulice i place Tirany wyległy tysiące wściekłych ludzi. I Albańczycy nie opuszczają ich do dziś. „Widziałem dżentelmena, którego wywlekli. Gość transmitował protest na żywo z drona – mówił portalowi Balkan Insight Akil Cala, jeden z protestujących. – To był moment, w którym całkowicie straciłem zaufanie do władz. Poczułem wtedy, że w ogóle nie mamy państwa".

„Rama, zrezygnuj! Precz z rządem", od wielu dni skanduje tłum

eprasa.pl 1f84aa2a4f

gromadzący się w centrum Tirany. Protestujących, głównie młodych mieszkańców stolicy, tych z pokolenia Z, wspiera melodia setek klaksonów. Protesty w Tiranie, głównie na Placu Skanderbega, nie słabną. Dołączają się ekolodzy, albańscy i nie tylko, którzy protestują w bezpośredniej bliskości laguny. Ci gromadzący się nad Vjosë-Nartë niosą wielkie flagi z wizerunkami różowych flamingów. Uczestnicy demonstracji zupełnie już nie ufają własnym władzom państwowym.

Kiedy żona Kushnera odwiedziła lagunę w styczniu br., na zdjęciach z wizyty zauważono Musę Kastratiego, syna Shefqeta Kastratiego, właściciela Kastrati Group, albańskiego koncernu zajmującego się dystrybucją paliw, ubezpieczeniami i wyłącznym zarządzaniem lotniskiem w Tiranie. Ale Kastrati Group to również turystyka i nieruchomości. Albańczycy twierdzą, że firma od dawna korzysta z preferencyjnego traktowania przez rząd. Obecność Musy Kastratiego podczas wizyty Ivanki Trump nie była pierwszym sygnałem zaangażowania Kastratich w projekt. Właściciele gruntów w okolicy w wywiadach dla Balkan Insight mówili, że przedstawiciele grupy Kastrati wielokrotnie się z nimi kontaktowali, a niektórzy mieszkańcy Zvërnec donieśli, że na planowanym placu budowy widzieli maszyny z logo Kastrati Group.

13 czerwca do protestów dołączyli mieszkańcy miejscowości Rrjoll na północnym zachodzie kraju. Tam z kolei 200 rodzin sprzeciwia się – a ich protesty są coraz gwałtowniejsze – budowie pięciogwiazdkowego kurortu nad Morzem Adriatyckim. Mieszkańcy tej nadmorskiej miejscowości twierdzą, że ich ziemie zostały bezprawnie przejęte pod inwestycje rządowe, w dodatku inwestorzy zignorowali konsultacje społeczne.

Inwestycje Kushnera wzbudziły czujność Brukseli, która zaczęła bacznie się przyglądać poczynaniom Tirany. Komisja Europejska zgłasza poważne zastrzeżenia wobec planów zabudowy cennego ekosystemu. Albańskie władze zdają sobie sprawę, że budowa i towarzyszące jej niejasności czy wręcz nadużycia mogą zaszkodzić unijnym aspiracjom Tirany. „W ramach końcowego etapu dla rozdziału 27 dotyczącego środowiska i zmian klimatu Albania ma w pełni dostosować się do przepisów UE, w tym do dyrektyw ptasiej i siedliskowej, a także do przepisów z 2015 r. dotyczących inwestycji strategicznych. Oczekujemy, że władze Albanii podejmą działania bezzwłocznie”, powiedział rzecznik Komisji Europejskiej Guillaume Mercier, powołując się na zapisy dokumentu akcesyjnego Albanii w zakresie środowiska i zmian klimatu.

Władze zdają sobie sprawę, że budowa i towarzyszące jej niejasności mogą zaszkodzić unijnym aspiracjom Tirany.

Czy groźby ze strony Brukseli przestraszyły rząd w Tiranie? I tak i nie. Minister środowiska Sofjan Jaupaj zobowiązał się podobno do wstrzymania budowy i zlecił przeprowadzenie kompleksowej oceny jej wpływu na środowisko, po tym jak KE wyraziła obawy dotyczące potencjalnych niedociągnięć projektu.

Jednak premier Edi Rama o planowanej inwestycji mówi tak: „To będzie piękny projekt! Zrealizujemy go i będziemy dumni, że możemy wnieść swój wkład w rozwój Europy”. Mało tego, Rama uważa, że projekt ten będzie miał pozytywny wpływ na środowisko i „doprowadzi do wzrostu liczby drzew i terenów zielonych o ok. 25% w porównaniu ze stanem obecnym”! Dodał też, że inwestycja w lagunie „to wielkie marzenie, a wielkie marzenia zawsze budziły kontrowersje”.

W Albanii budować chce nie tylko Kushner. Szybko rozwijająca się Tirana stała się architektoniczno-inwestycyjnym poligonem doświadczalnym dla odważnych projektów, m.in. słynnej brytyjskiej pracowni Zaha Hadid Architects. Ale Albańczyków mało to dziś interesuje. Dumni mieszkańcy bałkańskiego kraju mają już dość kłamstw i półprawd. Poprzez rewolucję flamingów chcą pokazać własnym politykom czerwoną kartkę i zmusić ich, by znaleźli sobie inne zajęcie. A przy okazji protesty mogą przegnać z Albanii zięcia Donalda Trumpa i jego mocno nietransparentnych partnerów.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl 1f84aa2a4f

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Świstowość, litworowość

Lato nareszcie. Zosia, córka moja szkocka, tradycyjnie wpadła z zięciem na czerwcowe chaszczowanie po Tatrach. W zeszłym roku jakoś nam się nie zebrało, wziąłem ich na Babią, widoczki, pogoda, nawet jakaś mszyca polowa na szczycie. Myślałem, że im wystarczy Królowa Beskidów, ale czuli niedosyt, bo za dużo turystów, no i to jednak nie to samo, co skaliste góry wysokie. Oni są parą miejską, od miasta uzależnioną, ale raz do roku uwielbiają być przeze mnie prowadzeni na manowce, w bezludne zakamary tatrzańskie. Zażywają w ten sposób porcji dzikości i przez kilkanaście godzin dziennie są offline, co dla ich zmęczonych korporacyjną harówą umysłów ma walor detoksykacyjny.

Na całej długości Doliny Białej Wody i jej prawych orograficznie odnóg nie ma zasięgu ani internetu. To jest być może jedna z przyczyn, dla których po słowackiej stronie Białki poza taternikami pedałującymi na táborisko pod Wysoką i pojedynczymi egzemplarzami ambitnych turystów, chcących się przeczesać Polskim Grzebieniem, nie spotyka się nikogo. Podczas gdy z polskiej strony z tejże samej Łysej Polany startują codziennie tysięczne tłumy i drepczą asfaltem do Morskiego Oka w ciżbie i harmidrze niczym na Krupówkach.

Chłopiec z Ukrainy dreptać nie chciał, szlabanu nie było, bo akurat remont drogi, to sobie podjechał pod samą taflę – no i dostał szlaban, pięcioletni, na Schengen. Wrogość wobec Ukraińców już się ulewa narodowi na każdym kroku, Nawrocki order odebrał, Zełenski go odesłał na koszt adresata i nie przyjechał na konferencję do Gdańska – mężczyźni unoszą się honorem, bogiem i ojczyzną, za którą potem każą ginąć chłopcom.

Lubię jeździć Boltami po Warszawie, odgaduję po imieniu kierowcy, z jakiego kraju pochodzi, co bardzo ich otwiera, można sobie pogwarzyć z Hindusem, Uzbekiem czy Tadżykiem o ich miejscach urodzenia. Tymczasem ostatnio ukraińscy taksówkarze, zapytywani przeze mnie, przyjmują postawę lękliwie defensywną, zanim się spostrzegą, że chcę tylko pogadać o losach Szachtara czy Dynama. Są bowiem smagani pogardą i nienawiścią, podsycaną przez populistów i nacków, lud to połyka i wydala w postaci resentymentów; każdy zakompleksiony naród musi mieć kozły ofiarne na podorędziu. Żydy się skończyły, trza się brać za Ukry – śpieszmy się nienawidzić ludzi, to szybko odejdą.

Abym nie oszalał od tego zmasowania prymitywnych instynktów, wybieram zanurzenie w górskie dale, gdzie się każdy kamień ludzkiej stopie dziwi. Jest kanikuła, nie chce mi się śledzić coraz to nowszych nagonek, raz naganiacze wskazują palcem lekarzy, innym razem artystów, jeszcze innym reżysera, który nie czuł się w obowiązku być miłym dla durnowatego krytyka. A wszystko to, panie, polityka. Oto więc wędruję z młodymi pod górę przez pralas reglowy, a potem wśród kosówek, trawników, niewytopionych śniegów, lodowatych stawów, świstaki nam gwiżdżą, litwory nam pachną, chmury nas chronią, nie mamy widoków na przyszłość, mamy widoki na co dzień.

Zośka przywiozła w tym roku jakiś miotacz gazu pieprzowego, bo przeczytała, że w Polsce niedźwiedź oskalpował grzybiarkę, tłumaczę, że owszem, ale po raz ostatni to się zdarzyło bodaj sto lat temu, poza tym było to gdzieś w Otrycie, w gęstym młodniku, tatrzańskie misiołaki są bardziej uprzejme. Nie dała się przekonać, z duszą na ramieniu i gazem u pasa podśpiewywała nerwowo przez całą wycieczkę, żeby tylko niedźwiedzia nie zaskoczyć. Zostawiła mi to, wyjeżdżając, mówi, że będę miał w razie czego na złodziei, odpowiadam, że żaden złodziej mi niestraszny, od kiedy wszystko straciłem. Wszelako jestem teraz uzbrojony, gdyby kto chciał mnie napaść i prewencyjnie wybatożyć jako artystę darmozjada, co to chce pasożytować na podatnikach, uprzedzam, że nie sprzedam skóry tanio. Będzie piekło (w oczy i w nos).

> Jakże nudną, szpetną i obmierzłą jest wizja „Polski dla Polaków”.

Tymczasem zaproszony do Nowego Sącza na spotkanie autorskie (kiedyś to się jeździło, ach, wciąż w trasie się było, teraz zapraszają gdzieś raz do roku), idę na kirkut i z dala słyszę modlitwy chasydów, dobiegające z ohelu cadyka Halberstama. I tak mi się cni, bo te macewy na łące niekoszonej, ta hebrajszczyzna, to wszystko umaja i umila, i uwzniośla późne popołudnie w Małopolsce – i tak sobie myślę, jakimż przekleństwem jest dla świata idea państw narodowych, jakąż trucizną, z której się biorą czystki etniczne i plemienne waśnie, jakże nudną, szpetną i obmierzłą jest wizja „Polski dla Polaków”. ■

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Zatrzymani koczownicy

Nie mówcie „Gałgazja”. Jedźcie do Gagauzji

Monika Radzikowska

Wioska nazywała się Pięć Jabłoni. Podobno dawno, dawno temu szło tędy kilku pielgrzymów. Strudzeni drogą i południowym skwarem, zobaczyli pięć rozłożystych jabłonek, które swoim cieniem dały im wytchnienie. I tak nazwali to miejsce: Pięć Jabłoni. W języku Gagauzów: Beşalma.

Marszrutka z Komratu, gagauskiej stolicy, wysadza mnie na skrzyżowaniu, skąd do Beşalmy mam jeszcze jakieś 2, może 3 km. Dzień jest ładny, wędruję więc poboczem w kierunku wsi. Nagle, tuż obok mnie, zatrzymuje się samochód ze starszym małżeństwem w środku. Mężczyzna siedzący za kierownicą wychyla się przez otwartą szybę i woła po rosyjsku:

– A czemu nie *gołosujesz*?!

Gołosowat' to po rosyjsku „łapać stopa”. *Gołosujesz* albo łowisz, gdy wystawiasz rękę i machasz, czekając na okazję.

– To blisko – odpowiadam. – Myślałam, że się przejdę.

– Jakie blisko! Ze dwa kilometry jeszcze tobie iść! Zmęczysz się, wsiadaj, podwieziemy.

Wsiadam więc i krótko się przedstawiam. Starsza pani kiwa głową ze zrozumieniem.

– A i u nas kiedyś Polaki nocowali. I Niemcy też.

Krótka droga schodzi nam na szybkim kursie gagauskiego. Mimo że – tak jak w całej Mołdawii – wszyscy znają i powszechnie używają rosyjskiego, rodzimy język ma się dobrze. Starsi państwo zapraszają mnie do domu, gdzie pokazują, jak mieszkają i opowiadają o swojej rodzinie. Ich dzieci wyemigrowały do Moskwy. Do domu już nie wrócą. Oni zaś nigdy nie opuścili Gagauzji. Gospodarz przyznaje, że służył w sowieckiej armii, ale w miejscowym oddziale. Nigdy nie widział Rosji. Nie był też w Kiszyniowie. Wszystkie sprawy załatwiał zawsze w Komracie.

– W wojnie z Naddniestrzem nie braliśmy udziału – mówi. – To było daleko. U nas było spokojniej. Może nie zawsze bezpiecznie, ale spokojniej.

Żegnam się i ruszam do muzeum. Mimo że Komrat jest stolicą Gagauzji, to właśnie Beşalma uznawana jest przez wielu za serce regionu, ośrodek jego tradycji i historii. Przyjechała akurat niemiecka wycieczka.

– Rozumie pani po niemiecku? – pyta kobieta w kasie.

– Nie.

– A po rosyjsku dobrze?

– Tak, po rosyjsku tak.

– No to może się pani podłączyć, przewodniczka mówi po rosyjsku, Niemcy mają swojego tłumacza.

Podłączam się więc do grupy i słucham. Wystawa prezentuje głównie zbiory etnograficzne, kilka gablotek z archiwalnymi dokumentami i zabytkami archeologicznymi. Ludowe stroje są prezentowane na drewnianych manekinach, które pół wieku temu wykonał założyciel muzeum.

Przewodniczka porusza temat odwiecznego problemu, z którym zderzają się wszyscy, którzy zaczynają czytać cokolwiek o Gagauzach:



Wjazd do Komratu.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

skąd oni się w ogóle wzięli? Teorii ich pochodzenia jest co najmniej 25. Ta najbardziej prawdopodobna głosi, że Gagauzom najbliżej do tureckojęzycznych stepowych koczowników – Kumanów, których nazwy przewijają się na kartach średniowiecznych kronik.

Przodkowie Gagauzów przybyli w okolice dzisiejszej Mołdawii w XI w. jako wyznawcy tradycyjnych religii stepowych. Porzucili starą wiarę na rzecz chrześcijaństwa, które przejęli z Bizancjum. Dziś Gagauzi należą do wyznawców prawosławia. Gagauzja przeżyła lata komunizmu, jak wszystkie narody żyjące pod sowieckim dyktandem – najpierw głód, potem chwila złotego okresu, gdzie państwo zapewniało wszystkim pracę, propaganda sukcesu, cenzura, kobiety na traktory. Aż nadszedł zmierzch epoki kolektywizacji i każdy próbował się określić na nowo. Na fali narodowych wystąpień przełomu lat 80. i 90. Gagauzja również ogłosiła się niezależną republiką. Mołdawia, która sama dopiero co próbowała jakoś pozbierać swoje granice, walcząca ze zbuntowanym Naddniestrzem, nie chciała oddawać więcej ziemi. Republiki nie uznano. W Gagauzji zawrzało: wybuchły antyrządowe protesty. Zawrzało więc także wśród Mołdawian.

– Szli na nas z widłami i toporami – przewodniczka wspomina lata 90. – Dzięki Bogu nie doszło jednak do przelewu krwi.

Zmęczona wojną z Naddniestrzem Mołdawia podpisała w 1994 r. proklamację gagauskiej republiki z własnym parlamentem. Dziś mapa Gagauzji wygląda jak rozrzucone puzzle. Większość jej terytorium skupia się wokół największego z miast, Komratu, będącego stolicą autonomii. Pozostałe skrawki są o wiele mniejsze, rozsiane po południowej Mołdawii, zależnie od tego, gdzie znajdowały się osiedla Gagauzów.

Kiedy doszliśmy do ostatniej sali muzeum, zostaliśmy poinformowani, że obejrzymy zwyczaj poświęcenia czosnku praktykowany w dniu świętego Andrzeja. Usadzono nas na ławkach przed ekranem, więc byłam pewna, że zaraz wyświetlą nam jakiś film etnograficzny. Jakie było moje zdziwienie, gdy na scenę wkroczyły



Tradycje ludowe w Gagauzji.

pracownice muzeum w ludowych strojach i rozpoczęły inscenizację na żywo, komentowaną na bieżąco przez naszą przewodniczkę.

Kobiety zbierały się zwykle w domu wdowy. Schodziły się wszystkie ze wsi i z szacunkiem witały gospodynię. Każda z nich rzucała na ziemię banknot – jako ofiarę – i wkładała ząbek czosnku do przygotowanej wcześniej glinianej miseczki, przy której paliła się świeca. Przez cały wieczór kobiety zajmowały się wyszywaniem, przędzeniem i innymi

Co dziewiąty człowiek w Komracie ma polskie korzenie – mówi pani Ludmiła ze Stowarzyszenia Polaków Gagauzji.

domowymi robotami. Wdowa zamiatała pieniądze rzucone na podłogę, a potem przyłączała się do śpiewu przy pracy. W pewnym momencie między kobietami pojawiła się kukła dziecka. Do niej wkładano wszystkie ząbki czosnku. Następnie „niemowlę" podawano sobie z rąk do rąk, coś do niego szepcząc i udając, że becik zawiera żywą istotę. Gdy wieczór dobiegał końca, kobiety zabierały z powrotem swoje poświęcone w ten sposób ząbki czosnku i wracały do siebie.

Inne święto, obchodzone w maju, polegało z kolei na przywoływaniu deszczu. Obrzędy z nim związane powoli zanikają, lecz w niektórych wioskach ponoć wciąż są żywe. Ba, była nawet grupa Polaków, która co roku przyjeżdżała na obchody! Rytuał przywoływania deszczu również zaczynał się w domu wdowy lub najstarszej we wsi kobiety. Tam zbierały się młode dziewczyny i przygotowywały glinianą figurkę chłopca. Przyozdabiały ją kwiatami, czasem malowały. Potem oddawały ją dzieciom, które ruszały w radosny obchód po wszystkich domach w wiosce. Przy okazji tych odwiedzin zbierały od dorosłych słodycze i różne smakołyki. Wieczorem kukłę puszczano na wodę w drewnianej łódeczce. Miała to być ofiara dla Boga (bądź, w przedchrześcijańskiej historii Gagauzów, skąd pewnie wywodzi się ten zwyczaj – dla bogów) w zamian za sprowadzenie deszczu. Po spławieniu figurki wszyscy znów spotykali się u wdowy i konsumowali zebrane słodycze. Następnego dnia podobno zawsze padał deszcz.

Słuchałam o tym, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że brzmi to jak skrzyżowanie topienia Marzanny z Halloween. Kilka przypadkowych słów spowodowało, że kiedy niemiecka wycieczka sobie poszła, usiadłam z dyrektorką muzeum przy herbacie. Kobieta zdjęła z głowy czarną chustę – w inscenizacji grała wdowę, u której święcono czosnek – i wyjęła dwa kubki.

eprasa.pl 1f84aa2a4f


Katedra Świętego Jana Chrzciciela w Komracie.

– Dziś nie odróżnisz Gagauza od Mołdawianina, Ruskiego czy Turka – mówi, zalewając wrzątkiem czarną herbatę. – Dlatego warto pamiętać o swoich tradycjach i zachowywać je. Dobrze, że nas odwiedziłaś! Czy wiesz, że to najstarsze gagauskie muzeum na świecie? A te manekiny wykonał mój ojciec.

– Ten, który założył to muzeum?

– Ten sam. Widzisz, u nas miłość do tradycji się dziedziczy. Nie widziałam innej możliwości, jak przejąć to po nim. O swoje dziedzictwo trzeba dbać.

Zawiesiła na chwilę głos, a potem dodała:

– Czekasz na autobus? Zrobię ci kanapkę z pasztetem, bo głodna będziesz.

– Co dziewiąty człowiek w Komracie ma polskie korzenie – mówi pani Ludmiła ze Stowarzyszenia Polaków Gagauzji.

Próbuję zapamiętać, żeby potem to wszystko zapisać w kajecie: pierwsza fala osadnictwa związana była z upadkiem powstania kościuszkowskiego i rozbiorami Polski. Tu były Dzikie Pola, więc aby je ucywilizować, Katarzyna II dawała każdej chętnej rodzinie ziemię w tej części imperium. Scenariusz trochę jak z Wierszyny na Syberii. Tylko cieplej. I winogrona rosną.

Druga fala przyszła po I wojnie światowej – szukano tu do pracy lekarzy, nauczycieli i urzędników, więc przyjechała inteligencja. Z czasem coraz więcej osób tu mieszkających przyznawało się do bycia Polakami. Wcześniej nie było to proste: podczas II wojny światowej Niemcy i Rumuni wywieźli do Oświęcimia 8 tys. naszych rodaków. Pozostali wyjechali lub uciekli. Zostawali najczęściej ci, którzy byli tu najdłużej – od XVIII w.

Stowarzyszenie Polaków działa i uczy tutaj języka od niemal 20 lat. Dzieci przychodzą na zajęcia popołudniami, bo wcześniej mają lekcje w szkole: rosyjskiej lub gagauskiej. Od małego stają się poliglotami, bo uczą się rosyjskiego, mołdawskiego, gagauskiego, angielskiego, no i jeszcze polskiego po godzinach. Czasem też bułgarskiego. Jest też w Komracie szkoła turecka. Wszyscy tu są.

– Polak katolik to stereotyp, który tutaj rozbija się o mur. Tutaj nie było kościołów, więc Polacy chodzili do cerkwi. I tak stali się prawosławni.

Turcy czują z Gagauzami szczególną więź z uwagi na wspólne korzenie. Dlatego Turcja bardzo dużo inwestuje w Komrat i okolice – powstają szpitale, przedszkola, boiska, domy pracy twórczej, a niedaleko stolicy działa szwalnia „markowych" butów zatrudniająca trzy tysiące osób. Coraz więcej jest też kebabiarni i innych tureckich restauracji.

– A Polacy boją się tu inwestować. – słyszałam wielokrotnie od miejscowych.

W okolicy jest nawet wieś Wiszniowka – od Wiśniewskich. Ale ponoć wielu Bułgarów ma też polsko brzmiące nazwiska.

W polskiej szkole, pod okiem polskiej nauczycielki, uczy się siedemdziesięcioro pięcioro dzieci (dane z 2019 r.). Choć ta liczba będzie maleć.

– Nasi wychowankowie często dostają się na studia do Polski i już nie wracają – mówi pani Ania.

W Komracie działa też zespół taneczny Polacy Budziaka. Jeżdżą na liczne festiwale po całej Europie, także do Polski. Siedząc w pustej klasie (uczniowie przyjdą dopiero popołudniu) oglądamy fragment ich występu.

– O, ten już wyjechał. Tego też już w Komracie nie ma…

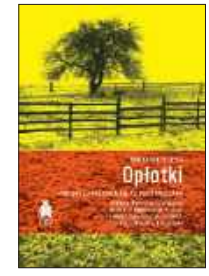
– Wiele osób, które wiedzą o swoich polskich korzeniach, wcześniej nie miało okazji nauczyć się języka – mówi pani Ludmiła. – Więc teraz posyłają na naukę swoje dzieci. I one przekazują wiedzę rodzicom.

Pewnego razu do nauczycielki przyszła zdenerwowana matka i skarżyła się, że jej córka wpychała pod obrus siano podczas wigilii i uparcie dostawiała dodatkowy talerz na stole. Potem wyjaśniło się, że dzieci miały lekcję o polskich tradycjach świątecznych. I tak rodzice poznają dzięki nim swoje korzenie.

Młodzi Polacy, którzy uczą się i żyją wśród Gagauzów, na co dzień mówią po rosyjsku. Mają bułgarskich przyjaciół, dorabiają sobie w tureckiej szwalni. W tym tyglu tradycje mieszają się i przenikają, jak choćby podczas święta Hederlez. Miejscowi pasterze wypędzają wtedy po raz pierwszy w roku bydło na pola, wcześniej nie można. A Polacy Budziaka tańczą podczas obchodów. Bo są stąd i zarówno święta wypędzania, jak i rozpędzania bydła znają od dziecka.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego tylu Polaków mówi o naszym kraju „Gałgazja" zamiast „Gagauzja". To przecież nie jest trudna nazwa. Skąd to się wzięło? Może od gałgana?

Nie mówcie „Gałgazja". Jedźcie do Gagauzji.



Fragment książki Moniki Radzikowskiej *Opłotki. Zapiski z pałętania się po pograniczach*, Paśny Buriat, Suwałki 2026

FOT. SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl 1f84aa2a4f



DLACZEGO PAMIĘĆ SIĘ MYLI

JAK PROCES PRZYPOMINANIA WPŁYWA NA ZMIANĘ WSPOMNIEŃ

Charan Ranganath

Popularnym motywem w fantastyce naukowej jest przenoszenie się bohatera w czasie i przypadkowe lub celowe zmienianie przeszłości, zazwyczaj z tragicznymi konsekwencjami. Tak jak fizyczne podróże w czasie mogą skutkować pętlami sprzężenia zwrotnego ze zmianami w teraźniejszości lub przyszłości, podobna zasada ma zastosowanie do mentalnych podróży w czasie, które odbywamy podczas przypominania sobie przeszłych wydarzeń. Jeśli wrócisz do przeszłości i wprowadzisz do wspomnienia coś nowego, możesz zmienić przeszłość. A przynajmniej twoje wspomnienie o niej może zostać zmodyfikowane, co dla mózgu jest mniej więcej tym samym, jakbyś cofnął się w czasie i zmienił samo wydarzenie.

W 1906 r. Hugo Munsterberg, dyrektor laboratorium psychologicznego na Uniwersytecie Harvarda i aktywny badacz zawodności pamięci w postępowaniach karnych, otrzymał od dr. J. Sandersona Christisona list dotyczący sprawy młodego mężczyzny o nazwisku Richard Ivens, który przyznał się do brutalnego morderstwa. Ofiara, Elizabeth Hollister, została uduszona miedzianym drutem, a jej ciało porzucono kilka godzin później na śmietniku cztery przecznice od jej domu na przedmieściach Chicago. Brakowało jej biżuterii i torebki, co wskazywało na rabunek jako możliwy motyw.

Richard Ivens zajmował się koniem ojca w pobliskiej stajni, kiedy odkrył ciało Hollister. Mężczyzna nie był notowany, nie zdarzały mu się wcześniej agresywne zachowania ani nie wiązały go z zabójstwem żadne dowody. Ponadto początkowo zaprzeczał udziałowi w morderstwie. Jednak po wielu godzinach bezustannych przesłuchań, podczas których policja naciskała na niego, aby przypomniał sobie popełnienie przestępstwa, a co najmniej jeden funkcjonariusz wymachiwał bronią, ostatecznie załamał się i przyznał, i to dwukrotnie. Pierwsze zeznanie było zwięzłe i miało wiele luk. Druga, pisemna relacja z morderstwa sporządzona zaraz po pierwszej, była znacznie bardziej szczegółowa, chociaż wspomnienia mężczyzny nadal zawierały wiele niespójności. Ivens został następnie przesłuchany przez asystenta prokuratora stanowego, a jego odpowiedzi w dużej mierze potwierdziły pisemne zeznania.

Gazety z całego kraju rzuciły się na tę historię. Na pierwszych stronach publikowały artykuły, w których przedstawiano Ivensa jako winnego, ale sprawa była pełna niejasności.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Podczas procesu wielu świadków, w tym rodzice, przyjaciele i inni członkowie rodziny, przedstawili wiarygodne alibi, wskazujące na to, że Ivens nie mógł być mordercą. Nawet prokurator stanowy zauważył, że zgodnie z linią czasu przedstawioną przez samego Ivensa, oskarżony nie mógł popełnić zbrodni. Co więcej, podczas przesłuchania początkowa historia Ivensa o jego działaniach podczas popełniania przestępstwa była sprzeczna z kluczowymi szczegółami zbrodni (później została skorygowana na podstawie informacji przekazanych Ivensowi przez przesłuchujących).

Sześć dni przed planowaną egzekucją Ivens zapewnił o swojej niewinności i zaprzeczył, jakoby pamiętał, że choćby przyznał się do popełnienia przestępstwa:

„Sądzę, że od momentu aresztowania mnie przez chwilę nie byłem sobą. (…) Przypuszczam, że musiałem złożyć te zeznania, ponieważ wszyscy twierdzą, że to zrobiłem. Ale nie przypominam sobie ich składania i nie popełniłem tego przestępstwa. (…) Wiem, że pierwszą rzeczą, jaką powiedział do mnie inspektor, gdy zostałem do niego przyprowadzony, było: »Zrobiłeś to«. Nie zrobiłem tego i wiedziałem, że tak było. Nie wiem jednak, co powiedziałem lub zrobiłem w trakcie pobytu na posterunku".

Hugo Munsterberg, który prowadził pionierskie badania nad błędami ludzkiej pamięci, został wciągnięty w tę sprawę i mimowolnie stał się obiektem zainteresowania opinii publicznej z powodu listu od dr. Christisona. Po zapoznaniu się z dowodami Munsterberg doszedł do wniosku, że Ivens był rzeczywiście niewinny. Odpowiedział dr. Christisonowi, że przyznanie się Ivensa wyglądało „dokładnie jak mimowolne rozwinięcie sugestii wprowadzonej do jego umysłu (…) typowy przypadek licznych doświadczeń granicznych, w których neurotyczny umysł rozwija iluzoryczną pamięć".

W momencie przypominania jesteśmy szczególnie podatni na błędne informacje.

List Munsterberga, który wyciekł do prasy, stał się źródłem wielu nagłówków gazet („Zniewaga sądu przez naukowca z Harvardu", „Szaleństwa nauki") i był pierwszą salwą w trwającej przez następne stulecie zaciekłej debacie na temat plastyczności pamięci.

Mimo że Ivens wycofał zeznania, a Munsterberg i wielu innych wybitnych psychologów przedstawiło obszerne argumenty na rzecz jego niewinności, ława przysięgłych potrzebowała zaledwie 30 minut, aby uznać go winnym morderstwa pierwszego stopnia. Ivens został powieszony miesiąc później, niecałe pięć miesięcy po znalezieniu ciała Elizabeth Hollister.

Może być trudno zrozumieć, dlaczego niewinny człowiek miałby przyznać się do morderstwa, którego nie popełnił, ale niestety przypadek Ivensa nie jest wyjątkowy. Kroniki wymiaru sprawiedliwości są pełne przypadków osób z przekonującymi wspomnieniami swojego udziału w makabrycznych zbrodniach, których nie popełniły. Nasuwa się więc pytanie: „Jak ktoś może pamiętać, że popełnił przestępstwo, skoro tego nie zrobił?". Potraktuj to jako nieprzyjemny efekt uboczny mentalnych podróży w czasie.

Wspomnienia nie są wyryte w kamieniu. Nieustannie się zmieniają, ponieważ są aktualizowane, aby odzwierciedlać to, czego właśnie się nauczyliśmy i doświadczyliśmy. Choć może się to wydawać sprzeczne z intuicją, katalizatorem aktualizacji pamięci jest sam akt wspominania. Kiedy coś sobie przypominamy, nie odtwarzamy biernie przeszłości. Uzyskanie dostępu do wspomnienia przypomina bardziej jednoczesne naciśnięcie przycisków „play" i „record". Za każdym razem, gdy powracamy w umyśle do przeszłości, wprowadzamy do niej informacje z teraźniejszości, które mogą subtelnie (a nawet poważnie, jak w sprawie Ivensa) zmieniać treść wspomnień.

W rezultacie, za każdym razem, gdy przypominamy sobie jakieś doświadczenie, wspomnienie jest przesiąknięte pozostałościami z ostatniego razu, kiedy je przywoływaliśmy. Jest to ciągły proces. Każdy krok jest jednym ogniwem w neuronowym łańcuchu podlegającym zmianom i aktualizacjom. Dlatego z czasem nasze wspomnienia mogą coraz bardziej różnić się od rzeczywistego przebiegu pierwotnego wydarzenia.

•

Kiedy profesor psychologii Elizabeth Loftus z Uniwersytetu



eprasa.pl 1f84aa2a4f

Kalifornijskiego w Irvine miała 14 lat, jej matka utonęła w basenie. Kilkadziesiąt lat później, na spotkaniu rodzinnym z okazji 90. urodzin wuja, krewny poruszył temat śmierci matki Elizabeth i utrzymywał, że to ona znalazła ciało. Było to zaskoczeniem dla Elizabeth, która zapamiętała, że to ciotka znalazła jej matkę unoszącą się w basenie. Jednak ów członek rodziny był przekonany, że zrobiła to Elizabeth.

W kolejnych dniach badaczka wielokrotnie wracała myślami do tamtego dnia, a mgliste obrazy zaczęły unosić się niczym duchy na obrzeżach jej pamięci. Matka unosząca się twarzą w dół w wodzie… Strażak pojawiający się na scenie i przyciskający maskę tlenową do twarzy matki.

Wspomnienia zaczęły pokrywać się z opowieściami członka rodziny, a Elizabeth zaczęła myśleć, że być może rzeczywiście odnalazła matkę. Tydzień później krewny zadzwonił z przeprosinami. Inni członkowie rodziny potwierdzili, że to rzeczywiście ciotka Elizabeth znalazła ciało.

Loftus była w szoku. Nie dlatego, że jej mózg wyczarował żywe szczegóły czegoś, czego nie była świadkiem, ale dlatego, że kto jak kto, ale ona powinna była wiedzieć, że coś takiego może się zdarzyć. Do dziś jest prawdopodobnie jednym z najbardziej znanych – i kontrowersyjnych – badaczy pamięci pracujących w tej dziedzinie. Jak więc to możliwe, że wspomnienie tak traumatycznego momentu w jej życiu mogło zostać tak łatwo zniekształcone?

Odpowiedź, którą Loftus odkryła w swoich przełomowych badaniach, jest taka, że w momencie przypominania jesteśmy szczególnie podatni na błędne informacje. W jednym z klasycznych eksperymentów Loftus prosiła badanych o przyjrzenie się serii slajdów przedstawiających samochód zatrzymujący się na skrzyżowaniu ze znakiem stopu. Po pokazie slajdów uczestnicy wypełniali kwestionariusz, a niektórzy badani otrzymali następujące pytanie: „Czy inny samochód minął czerwonego datsuna, gdy ten zatrzymał się przed znakiem ustąp pierwszeństwa?”

Było to podchwytliwe pytanie. Na slajdach widoczny był znak stopu, a nie znak ustąp pierwszeństwa. Jednak ta drobna dezinformacja trafiła do pamięci badanych. Tydzień później większość uczestników pamiętała, że widziała znak ustąp pierwszeństwa.

Ten rodzaj zniekształceń pamięci odegrał kluczową rolę w zaburzeniu wspomnień okoliczności śmierci matki Loftus. Elizabeth otrzymała od krewnego błędne informacje, co doprowadziło ją do wielokrotnych prób przypomnienia sobie traumatycznej sceny. W procesie wyobrażania sobie, co mogło się wydarzyć, pamięć zaczynała coraz bardziej odbiegać od pierwotnego wydarzenia – do tego stopnia, że Loftus stała się niemal przekonana co do prawdziwości wyobrażonego wydarzenia.

Nawet jeśli nie jesteśmy narażeni na dezinformację, wielokrotny dostęp do wspomnień może prowadzić do ich aktualizacji na bardziej subtelne sposoby. Frederic Bartlett, który opisał przywoływanie wspomnień jako „rekonstrukcję dokonywaną z użyciem wyobraźni”, przeprowadził szereg badań, które wykazały, w jaki sposób wspomnienia mogą być modyfikowane w procesie ich przywoływania. W ramach eksperymentów nad przypominaniem Bartlett poprosił studentów z Cambridge o przyjrzenie się serii wymyślonych piktogramów lub przeczytanie krótkiej historii. Następnie, przy kolejnych okazjach, wielokrotnie prosił badanych o odtworzenie tego, czego się nauczyli.

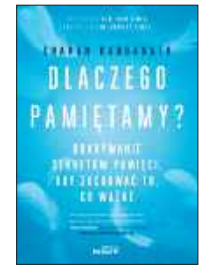
Zaobserwował, że początkowo badani potrafili przypomnieć sobie wiele z tego, czego się nauczyli, ale z czasem przedstawiane rekonstrukcje zaczynały odbiegać od materiału źródłowego. Z każdym kolejnym wspomnieniem zanikały charakterystyczne szczegóły, a do narracji wkradały się nieścisłości.

Kiedy wielokrotnie powracamy do jakiegoś wspomnienia, za każdym razem mogą wkradać się w nie subtelne zmiany.

Kiedy myślę o codziennej aktualizacji pamięci, przypominają mi się czasy studiów, kiedy grałem koncerty z zespołem punkrockowym w pubach i barach w Berkeley. Aby promować występy, robiliśmy plakaty i rozwieszaliśmy je po całym mieście. Chcieliśmy, aby się wyróżniały, więc informacje o występach pisaliśmy na starej elektrycznej maszynie do pisania, a następnie kserowaliśmy tekst w maksymalnym powiększeniu. Następnie powiększaliśmy i kopiowaliśmy kopię, potem powiększaliśmy i kopiowaliśmy tak uzyskaną kopię, i tak dalej, aż wpisane litery stawały się bardzo duże. Z każdą kopią tekst stawał się coraz większy, ale także coraz bardziej zniekształcony. Drobne niedoskonałości w kroju pisma, maleńkie plamki kurzu na szklanej powierzchni kopiarki i smugi atramentu z drukarki stawały się coraz większe i bardziej widoczne. Efekt był całkiem ciekawy; plakaty wyglądały prawie jak artefakt z zabytkowej prasy drukarskiej. Podstawowe informacje, które zapisaliśmy za pierwszym razem, pozostały takie same, ale ich wygląd i styl uległy zmianie.

Kiedy wielokrotnie powracamy do jakiegoś wspomnienia, za każdym razem mogą wkradać się w nie subtelne zmiany. Przypomina to trochę tworzenie kopii kopii kopii. Połączenia neuronowe reprezentujące wspomnienie ulegają zmianom, które mogą zwiększać znaczenie niektórych aspektów doświadczenia, a jednocześnie powodować utratę niektórych szczegółów.

Podobnie jak niewyraźne litery na ulotkach uczelnianej kapeli, wydarzenia z odległej przeszłości mogą wydawać się bardziej odległe i rozmyte za każdym razem, gdy je przywołujemy. Szum staje się coraz bardziej odczuwalny i każdorazowo trochę bardziej zakłóca wspomnienie.



Fragmenty książki Charana Ranganatha *Dlaczego pamiętamy? Odkrywanie sekretów pamięci, aby zachować to, co ważne*, tłum. Tomasz Walczak, Wydawnictwo Helion, Gliwice 2025

eprasa.pl 1f84aa2a4f





Upały, upały, upały...

Rekordowo wysokie temperatury odnotowano na prawie całym kontynencie. Na Wyspach Brytyjskich, gdzie 24 czerwca było 36,1 st. C, pobity został rekord sprzed pół wieku. „Londyn się gotuje", grzmiał sekretarz generalny ONZ António Guterres. Najwyższe temperatury w historii pomiarów odnotowano również we Francji. W Bordeaux termometr pokazał 44,6 st. C. W aż 54 departamentach temperatury wynosiły 40 st. Fala upałów sięgnęła od Hiszpanii aż do Polski.





eprasa.pl 1f84aa2a4f







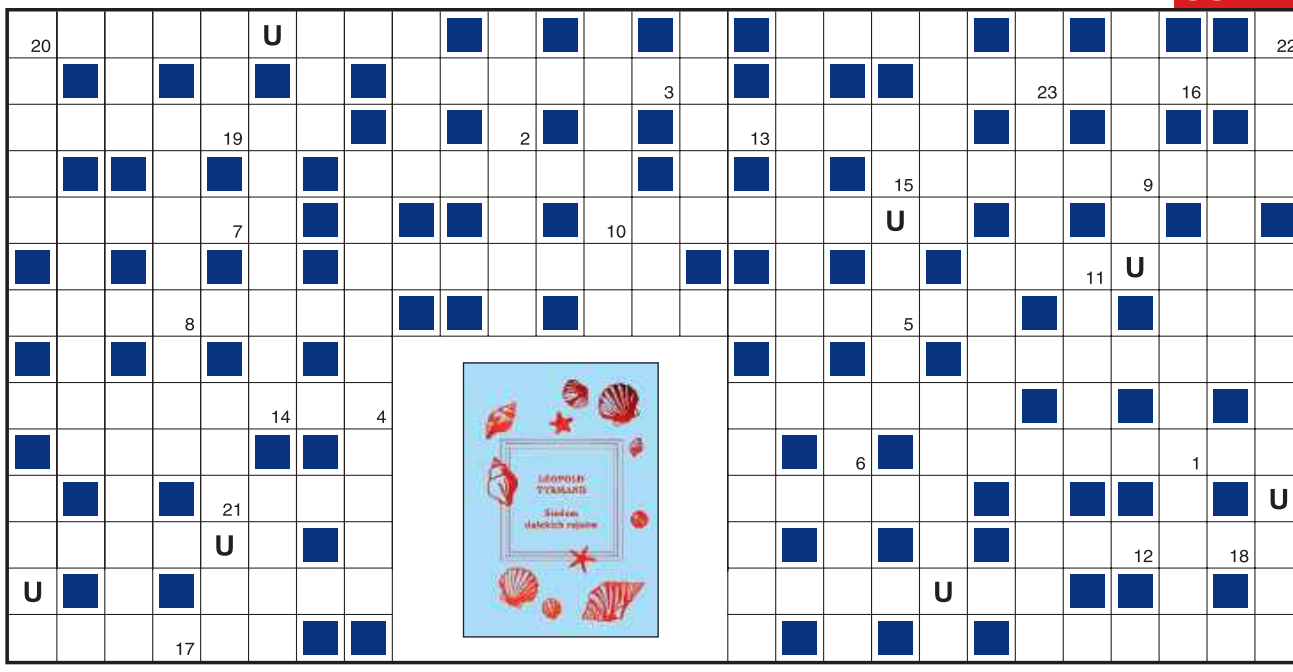
FOT. AFP/EAST NEWS(2), ABACA/EAST NEWS, IMAGO/EAST NEWS, REUTERS/FORUM (2), ABACA/FORUM





eprasa.pl 1f84aa2a4f

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- anglosaski „hektar”
- jednolite tło drukarskie
- syn Zeusa i Kallisto, został królem Arkadii
- tętnice lub ważne drogi
- krótki tekścik w czasopiśmie
- …Strike z powieści detektywistycznych J.K. Rowling
- ciepłe okrycie grzbietu konia lub psa
- wybrany przez związek do reprezentowania
- wysadzana drogimi kamieniami opaska na głowę
- pi razy… – w przybliżeniu
- aż… bierze – jakie to zaskakujące
- gdy jedna ciecz jest rozproszona w drugiej
- Objawienie Pańskie lub nagłe olśnienie
- …Zaruski, gdański żaglowiec
- przepływa przez Stargard i Goleniów
- główny element konstrukcji statku, samolotu
- najstarsze miasto w Hiszpanii
- hop siup po niej, Bączyński mnie nie złapie!
- …dożylna – wenflon
- w Ameryce mieszka ten rena koleżka
- czarny materiał symbolizujący żałobę
- opera z muzyką Jana Wańskiego i librettem Józefa Wybickiego
- popularny w PRL płyn do prania
- Makuszyński lub Ujejski
- „Upiorny…” Joanny Chmielewskiej
- popisują się na nim łyżwiarze
- metalowa listwa łącząca kilka naboi
- do nagrywania i odtwarzania filmów na taśmie
- …naskalne z Lascaux i jaskini Chauveta
- ze stolicą w Rabacie
- pitny trójniak lub czwórniak
- manipulowanie przepisami, jeszcze nie łamanie prawa
- Sedaka, Young lub Diamond
- kłamstwo, niezgodność z rzeczywistością
- instytucja (w skrócie), którą kierował Banaś
- …społeczne – warstwy najuboższe
- zbytnia bezpośredniość, gwałtowność
- niania lub święta patronka
- …informacyjny u dołu ekranu telewizora
- miasto nad Gwdą lub narzędzie
- podpuszczenie, ukradkowa namowa
- dokonywany termometrem lub suwmiarką
- …dziejów – giną w niej dawne zdarzenia
- Marcin występujący z Dorotą Wellman
- imię króla Polski z lat 1295-1296
- splątany figiel
- ktoś tej samej narodowości
- budowla albo sala na planie koła
- opiekuje się wspólną kasą
- punkt pełen makulatury
- i urządzenia, i zwózka plonów
- połowa szpaleru
- choroba dawnych marynarzy
- powieściowy dobry wojak
- dawna, duża moneta srebrna
- włoski fanatyczny kibic
- głębokie zamyślenie
- tam Scypion pokonał wojska Hannibala
- bandzior, oprych
- z koniecznym trzeba się pogodzić

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1280”. Do rozlosowania książki „Siedem dalekich rejsów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 lipca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1277” z nr. 24: *Zwada nie utuczy*.
Nagrody otrzymują: Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Juliusz Kidawa z Połańca, Marta Ostrowska z Mieleszyna.

eprasa.pl 1f84aa2a4f

Pominęli nas jak zawsze

Ludzie w MSZ wciąż o tym mówią – szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas ogłosiła niedawno nazwiska 33 nowych ambasadorów UE i siedmiu zastępców szefów misji. A dodajmy, że Unia ma swoje ambasady w 145 krajach. Nowi ambasadorowie pochodzą z Francji, Włoch, Niemiec, Hiszpanii, Belgii, Portugalii, Holandii, Irlandii, Malty, Grecji, Danii, Czech, Szwecji oraz Finlandii. I koniec. Wśród nominowanych nie znalazł się ani jeden Polak.

W ten sposób tradycji stało się zadość. Możemy bowiem sięgać w przeszłość – i nic tu się nie zmienia. Na przykład w roku 2018 nowych ambasadorów prezentowała ówczesna szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini. Opowiadała długo: że w gronie 43 nowo mianowanych 14 to kobiety, potem wymieniała nazwiska. A Polaka w tym gronie nie było.

Nawiasem mówiąc, wówczas to nie dziwiło, bo PiS nie chciało, by „uwolscy dyplomaci" mieli dobre stanowiska, więc ich kandydatury nie miały oficjalnego wsparcia. Ale dziś? Szósta gospodarka Unii? Największe państwo wschodniej flanki?

Radość ma zatem opozycja. Marek Magierowski, pisowski ambasador w Izraelu i USA, już napisał, że premier Donald Tusk i wicepremier Radosław Sikorski „powinni się głęboko zastanowić, co zrobili źle, albo czego nie zrobili, żeby uniknąć tego blamażu". Trudno z tym polemizować, zastanówmy się raczej, dlaczego tak się dzieje, dlaczego Polacy są pomijani.

Co ciekawe, w historii MSZ już parokrotnie powoływano mniej lub bardziej formalnych pełnomocników, którzy mieli popychać kariery polskich dyplomatów w instytucjach międzynarodowych, a unijnych w szczególności. I zawsze efekt ich działań okazywał się skromny. Z drugiej strony, jeżeli spojrzymy na CV polskich ambasadorów w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych, od razu widać, że ich kandydatury były nie do odrzucenia. Że to byli fachowcy.

Zobaczmy, kto tam pracował. Jan Tombiński, który był ambasadorem UE na Ukrainie, a potem przy Stolicy Apostolskiej, wcześniej był ambasadorem RP w Słowenii, Francji i przy Unii Europejskiej. Dziś kieruje ambasadą RP w Berlinie. Piotr Świtalski, który był ambasadorem UE w Armenii, to były wiceminister spraw zagranicznych i stały przedstawiciel RP przy Radzie Europy. Teraz kieruje ambasadą RP w New Delhi. Tomasz Kozłowski był z kolei ambasadorem Unii w Republice Korei i w Indiach. I nikt temu się nie dziwił – bo to specjalista od Azji, wcześniej ambasador RP w Pakistanie, a potem wieloletni współpracownik Javiera Solany. Zmarły w 2022 r. Adam Kułach, ambasador UE w Arabii Saudyjskiej, a potem w Dżibuti, był zaś wybitnym orientalistą, ambasadorem RP w Arabii Saudyjskiej…

Co ciekawe, Świtalski, Kozłowski i Kułach to absolwenci MGIMO. Między innymi, bo wykształcenie uzupełniali też w USA. W każdym razie za czasów PiS w polskim MSZ nie mieliby czego szukać, minister Rau takich wywalał. A w Brukseli to nie przeszkadzało.

I może tu jest pies pogrzebany. Bo unijne konkursy obnażają politykę kadrową MSZ. Brak czytelnych reguł awansu, rozwoju, budowania kariery dyplomaty. Kogo bowiem mieliśmy Unii proponować? Albo emerytów, albo dyplomatów w połowie zawodowej drogi… Więc wyszło tak jak zawsze.

Attaché



Gdy sztuka nie jest już bezkonkurencyjna. Turyści w Narodowym Muzeum Archeologicznym w Atenach obojętni na piękno posągu Afrodyty. 24 czerwca 2026 r.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 1f84aa2a4f







PENETRACJE

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Przestraszona wojną, kryzysem i nieprzewidywalnością swojego najważniejszego sojusznika Europa traci właśnie resztki swoich powabów. Gdzie się podziały marzenia o pogłębieniu integracji? A język postępu i modernizacji? Nawet jeśli ta pierwsza była kulawa, a drugi stanowi tylko żargon unijnej biurokracji, to o ileż były one lepsze niż obecny kurs na budowanie bunkrów, zbrojenia i odmienianie przez wszystkie przypadki enigmatycznego pojęcia odporności. Jedno się jednak nie zmienia – europejska elita polityczna jak zawsze pokłada nadzieję w zaciskaniu pasa biednym i stara się dotrzymać kroku swojemu amerykańskiemu patronowi. Niestety, nie chodzi tylko o retorykę. Miarą upadku standardów polityczno-prawnych w Unii jest przede wszystkim Ursula von der Leyen.

TYGODNIK ANGORA

PROF. LEOKADIA ORĘZIAK,
EKONOMISTKA, SGH

ZUS nigdy nie zbankrutuje, ponieważ jest instytucją nastawioną na realizację celu publicznego, mającą wsparcie finansowe z budżetu państwa. Oczywiście trzeba zrobić wszystko, żeby emerytury w jak największym stopniu były finansowane ze składek i nie było większej potrzeby dopłat z budżetu. Moim zdaniem ZUS to jedna z najlepiej funkcjonujących w Polsce instytucji, która stanowi polskie dobro narodowe. Oczernianie ZUS było swego czasu standardem, w czym celowali ludzie opowiadający się za prywatyzacją systemu emerytalnego.

PANI

JAN KLATA,
DYREKTOR TEATRU NARODOWEGO

Skończyłem Liceum Batorego i jak każdy porządny Batorak poszedłem na prawo na UW. Na pierwszym roku trochę się rozbisurmaniłem i rozleniwiłem, więc postanowiłem zdawać na reżyserię teatralną, żeby się nieco ogarnąć. Dostałem się i przez dwa lata studiowałem równolegle dwa kierunki. Gdy uciekłem do Krakowa, porzuciłem prawo. Gdybym wtedy kontynuował studia na UJ, prawdopodobnie spotkałbym się z byłym prezydentem i byłym ministrem, do niedawna mieszkańcem Budapesztu. Byłoby to ciekawe doznanie, ale los mi go oszczędził.

VIVA!

ANNA BOCEK,
MALARKA

Próbowano kopiować twoje prace?

– Nie raz. Ale w końcu z moją macierzystą galerią uznałam, że szkoda naszego czasu, by z tym walczyć. Jeśli chodzi o sztuczną inteligencję… Powstała lista uznanych twórców, których twórczość AI wykorzystała do nauki algorytmów, na tej liście znalazłam się również ja. Ale mnie przed tym kopiowaniem ratuje technika autorska. Używam farb olejnych, pracuję grubymi impastami, tworzę mocną, warstwową strukturę na wielkich formatach. Tego nie da się precyzyjnie podrobić, bo to nie jest płaski wydruk czy hiperrealizm. Nawet ja sama nie byłabym w stanie odtworzyć swojego obrazu jeden do jednego.

FOT. SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA, OGLĄDAM WIADOMOŚCI BO NIE STAĆ MNIE NA DOPALACZE

eprasa.pl 1f84aa2a4f

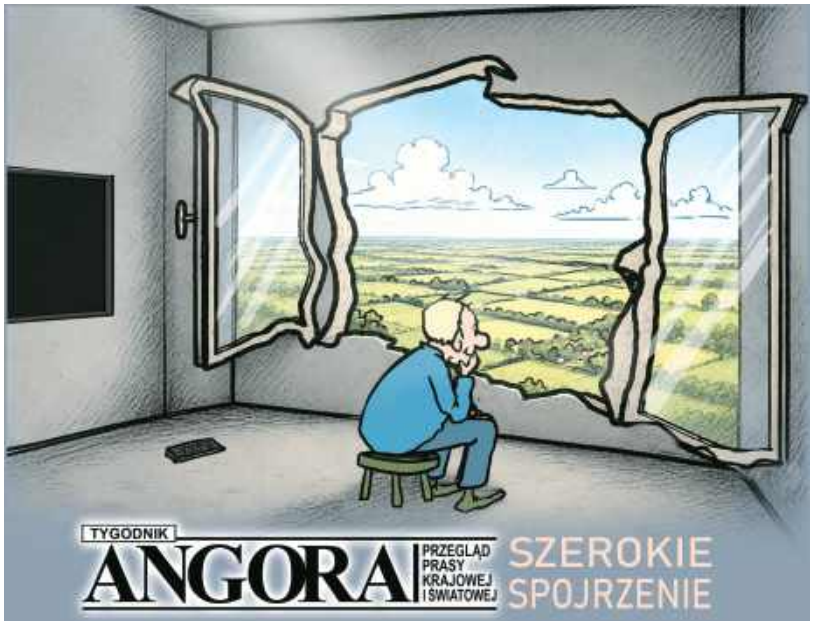
ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* podrzuca maczugi — E L O N R Ż
* lista spraw — A A D K O W
* ma skrzydła, a nie lata — A A I K R W
* pachnąca w laskach — A A I I L N

T W G N

ROZWIĄZANIA: ŻONGLER, WOKANDA, WIATRAK, WANILIA



Aby język giętki…

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O GRUPIE BILDERBERG

Przecieki prawie się nie zdarzają. Osoby zaproszone poczytują sobie obecność za honor, a honor zobowiązuje.

PAWEŁ PAWLIKOWSKI
O TĘSKNOCIE ZA PROSTOTĄ

Podoba mi się, że w filmach mogę uporządkować świat, wyeliminować hałas i bałagan. Że każdy element i ruch coś znaczą.

KRZYSZTOF VARGA
O BOGOBOJNYCH PATRIOTACH

Ssą kasę publiczną jak odkurzacze, powołując jednocześnie fundacje o bombastycznych nazwach, jak Polska Wielki Projekt.

ANDRZEJ SEWERYN O MAMIE

Mam chłopskie pochodzenie. Moja mama pochodzi spod Kielc. Całe życie musiałem siebie budować. Co sobie wywalczyłem, to mam.

WIESŁAW KOMASA O POWOŁANIU

Janko Muzykant też miał powołanie do muzyki, ale nie miał możliwości. Ja możliwości miałem.

JACEK DUKAJ O GRACH WIDEO

Gry nie są gorszymi filmami czy ułomną formą literatury.

KAMILLA BAAR O MIŁOŚCI

Miłość romantyczna istnieje. Choć przeciwieństwa się przyciągają, to jednak w związku ważniejsze są podobieństwa.

JERZY BOŃCZAK O WIDOWNI

Jeśli w dramacie na widowni jest cisza, to ja nie wiem, czy widz ogląda w skupieniu, czy zasnął. W farsie odpowiedź mam od razu.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

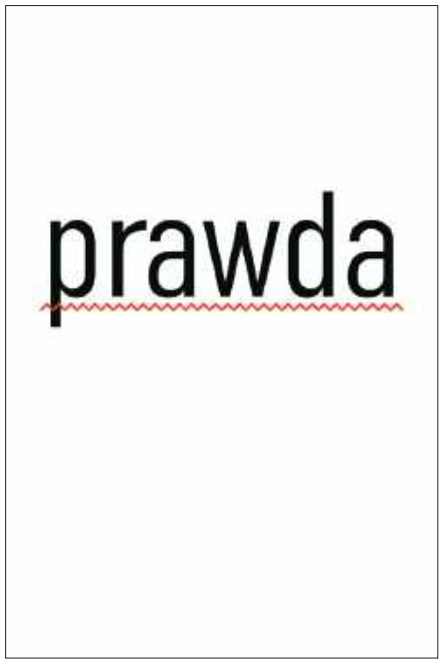
eprasa.pl 1f84aa2a4f



Taber Calderon, USA, Hunger



Jędrzej Pilip, Polska, Routine



Piotr Górski, Polska, False

17. PLASTER

Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu

Toruń, Wały gen. Sikorskiego 13
do 13 września



Zuo Biao Peng, Hongkong, AI

Tegoroczny 17. Międzynarodowy Festiwal Grafiki Projektowej PLASTER poświęcony jest sile słowa we współczesnej komunikacji wizualnej i temu, w jaki sposób typografia, obraz, narracja stają się narzędziami komentowania rzeczywistości oraz wyrażania emocji. Program przybliża najnowsze zjawiska w projektowaniu graficznym, plakacie i eksperymentach z ruchem. Obejmuje międzynarodowy projekt 17P ukazujący typografię jako język współczesnej kultury, wystawę tajwańskiego projektanta Goyena Chena, laureata PLASTRA 2024, czy ekspozycję pokonkursową „Słowo", prezentującą plakaty artystów z całego świata.



Łukasz Zwolan, Polska, Deforestation

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1f84aa2a4f

15-19 LIPCA 2026

KAZIMIERNIKEJSZYN

WYDARZENIE BEZ SPINKI

KAZIMIERNIKEJSZYN

KAZIMIERZ DOLNY
KAMIENIOŁOMY

KAŚKA SOCHACKA
KACPERCZYK
IGO

PAKTOFONIKA ORKIESTRA • ŁĄKI ŁAN
GRZEGORZ TURNAU • BRASS ASTRAL
PROJEKT SPECJALNY
KASIA SIENKIEWICZ • NATALIA PRZYBYSZ

KATHIA • NATALIA MUIANGA
KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA

John Scofield's
LONG DAYS QUARTET

23 sierpnia NOSPR, Katowice





SKRZEK/PIOTROWSKI/ANTHIMOS

SBB

WARSZAWA
KLUB STODOŁA
13 PAŹDZIERNIKA

SZCZECIN
FILHARMONIA
IM. M. KARŁOWICZA
14 PAŹDZIERNIKA

SŁAWA PRZYBYLSKA

KONCERT URODZINOWY
Z ZESPOŁEM
TANGO ATTACK



4 LISTOPADA
KLUB STODOŁA



KRZYSZTOF
CUGOWSKI
Z ZESPOŁEM MISTRZÓW

8 LISTOPADA
KLUB STODOŁA

WIEK TO TYLKO LICZBA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 1f84aa2a4f

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA



LEWE INTERESY

PREMIERA WRZESIEŃ 2026

KUP BILET TEATR CAPITOL

www.teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL EVENTS

ZRÓB Z NAMI EVENT!

FOKSAL 11 BY TEATR CAPITOL TO MIEJSCE STWORZONE DLA NIEZAPOMNIANYCH SPOTKAŃ I PRESTIŻOWYCH WYDARZEŃ

- **DOSKONAŁA LOKALIZACJA**
  W SAMYM SERCU WARSZAWY
- **SPEKTAKLE I SHOW NA WYŁĄCZNOŚĆ**
  UNIKALNE DOŚWIADCZENIA DLA TWOICH GOŚCI
- **SPEKTAKULARNE GALE I KONFERENCJE**
  WYDARZENIA, KTÓRE ROBIĄ WRAŻENIE
- **ELEGANCKIE IMPREZY FIRMOWE**
  SPOTKANIA W WYJĄTKOWEJ OPRAWIE



KONTAKT EVENTY@TEATRCAPITOL.PL / EVENTY@FOKSAL11.PL

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1f84aaza4f